Jak polubić podatki ▪ Rosyjska dywersja w Europie ▪ Kraków Bonieckiego
Wolność według Szczepkowskiej ▪ Uwierz w Ducha ▪ Liga dla szejków

Kraków 4 – 10 czerwca 2025 nr 23 (3961) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

EKSTRA STRONY
▪ KSIĄŻKI W TYGODNIKU – JUŻ OD 30 LAT
▪ HONOROWY OBYWATEL KRAKOWA BONIECKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Czy koalicja przetrwa
Jak zrozumieć wyborców
Ile może głowa państwa

NAWROCKI PREZYDENTEM: WSZYSTKO SIĘ ZMIENIA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 850a91878d

MATERIAŁ REKLAMOWY

Pekao TFI
Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych

Przed podjęciem decyzji zapoznaj się z prospektem informacyjnym funduszu zawierającym opis ryzyk związanych z inwestowaniem i praw uczestników, Dokumentem zawierającym kluczowe informacje oraz, w przypadku specjalistycznego funduszu inwestycyjnego otwartego, Informacją dla klienta alternatywnego funduszu inwestycyjnego, które, wraz z informacjami o opłatach, są dostępne u podmiotów prowadzących dystrybucję i na www.pekaotfi.pl. Pekao Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych S.A. z siedzibą w Warszawie, 01-066 Warszawa, ul. Żubra 1, wpisana do rejestru przedsiębiorców Krajowego Rejestru Sądowego Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy w Warszawie, XIII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego, pod numerem KRS 0000016956, NIP 521 11 82 650. Kapitał zakładowy: 50 504 000 zł, w pełni opłacony. Pekao TFI S.A. działa na podstawie zezwolenia Komisji Nadzoru Finansowego.

KS. ADAM

Boniecki: *Pół na pół*

Było wiadomo, że jest prawie pół na pół. Dlatego nie do uniknięcia była sytuacja, że kiedy jedni świętowali wybór swojego kandydata, drudzy – niemal równa połowa, kilkaset tysięcy głosujących mniej – byli wściekli, rozżaleni lub co najmniej smutni, że ich kandydat nie zwyciężył. Rafał Trzaskowski, gdy jeszcze sądził po ogłoszeniu pierwszych wyników sondażowych, że wygrał wybory, zadeklarował, że będzie „prezydentem wszystkich Polek i Polaków" i powiedział, że „pierwszym i najważniejszym zadaniem prezydenta będzie wyciągnięcie ręki do tych wszystkich, którzy na niego nie zagłosowali". Karol Nawrocki zaczął od cytatu z... 2. Księgi Kronik: „jeśli upokorzy się mój lud, nad którym zostało wezwane moje Imię, i będą błagać, i będą szukać mego oblicza, a odwrócą się od swoich złych dróg, Ja z nieba wysłucham i przebaczę im grzechy, a kraj ich ocalę" (2 Krn 7, 14). Czy te złe drogi to głosowanie nie na niego? Jak wyobraża sobie to upokorzenie się? I czy on, zdeklarowany katolik, nie czuje niestosowności upolityczniania Biblii? W przemowie podczas wieczoru wyborczego Nawrocki miano patriotów zarezerwował tylko dla swoich wyborców, deklaracja „poskładania na pół pękniętej Polski" padła jakby mimochodem, ale teraz czeka go bycie prezydentem przepołowionego społeczeństwa. A to nie jest łatwe, o czym niebawem się przekona.

Jedna strona musi się pogodzić z wynikiem głosowania, bo taka była demokratyczna decyzja społeczeństwa. Nawet gdyby werdykt wyborców był odwrotny, nie byłoby ani łatwiej, ani sympatyczniej. Trudno bowiem sobie wyobrazić nasze społeczeństwo nagle pojednane w imię samej (niewielkiej) większości. Dlatego tak intrygujące będzie postępowanie nowego prezydenta.

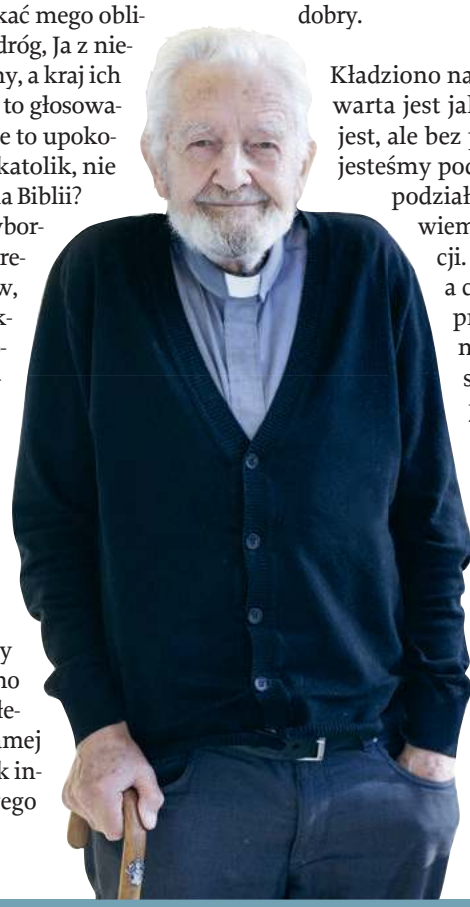

GRAŻYNA MAKARA

Powiedzmy szczerze: jego pole władzy jest dość ograniczone. Nie jest on jednak tylko elementem dekoracyjnym. Reprezentuje Polskę i w Polsce też rządzi, a uprawnienia ma dość konkretne. Powiedzmy też wyraźnie, że nawet gdyby zadeklarował gotowość rozmowy ze wszystkimi, to nie wszyscy do takiego dialogu i współpracy by się garnęli. Wybory zamykają jakiś okres naszej historii. Otwierający się etap stawia nade wszystko – naiwne? – pytanie, czy będziemy w stanie dojść do porozumienia. Oczywiście, żaden kandydat nigdy nie jest idealny. Wielu Polaków głosuje albo kierując się rozsądkiem („mniejsze zło"), albo chęcią utrącenia tego drugiego, bez wnikliwego rozsądzania, który jest lepszy. Na pewno jednak wrogi podział nie jest dobry.

Kładziono nam w głowę, że w tych wyborach zawarta jest jakaś wizja przyszłości. Pewnie jakaś jest, ale bez przesady, wybory ukazują za to, jak jesteśmy podzieleni. Uśmierzenie tego wrogiego podziału jest sprawą najpilniejszą. Albo powiem realistycznie: choćby osłabienie emocji. Czymś innym bowiem jest różnić się, a czym innym – być wrogiem. Wybory prezydenta sporu bynajmniej nie zamknęły, raczej go uwypukliły. Przyszłość, jeśli nawet nie jest czystą kartą, jest przestrzenią do zagospodarowania.

Mamy prezydenta, jakiego wybrała (niewielka) większość. Teraz najpilniejsze jest pytanie, czy okaże się człowiekiem potrafiącym też łączyć różnych ludzi, czy się nie okaże. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA"

JAKUB DYMEK
krajobraz po wyborach: czego nie nauczyły się elity

MONIKA BIAŁKOWSKA
historie katoliczek, które odrzucają antykoncepcję i czekają na menopauzę

MARCIN TUSIŃSKI
o przyjaźni na czasy samotności w nowym dziale „Psyche"

Może wpierw o tym, czego Państwo w tym numerze nie dostaniecie. Nie damy Wam oburzenia, darcia szat, finalnej relacji z „Bitwy końca świata", którą karykaturalnie odtwarza, nie znając jeszcze wyniku wyborów, **WOJCIECH BONOWICZ** („Zwarły się hufce nieprzeliczone w boju ostatecznym, od którego losy nie tylko Polski, ale i cywilizacji całej zawisły" itd.).

Nie dostaniecie od nas wyższościowo potępieńczego portretu ponad 10 mln współrodaków, którzy zagłosowali „nie tak, jak należy". A w zasadzie to dostaniecie, ale również w wersji karykaturalnej, kreślonej (też przed wyborami) przez **TOMASZA STAWISZYŃSKIEGO** („Mają to być, bez wyjątku, osobnicy sfrustrowani, brzydcy, zapóźnieni intelektualnie, w dzieciństwie bici i poniewierani zarówno w domu, jak i w szkole, miast wyszukanych wędlin jadający siermiężną kiełbasę" itd.).

Nie napiszemy o tym, co teraz niektórzy prawicowi publicyści poczną z naszykowaną już w ciągu wyborczej niedzieli tezą o sfałszowanych wyborach. Nie napiszemy o tym, gdyż to kompletnie nieistotne, a i przewidywalne (poradzą sobie świetnie; nie takie się szpagaty robi, gdy się jest prawicowym publicystą walczącym o lepszy świat).

Zamiast tego spróbujemy Wam pomóc zrozumieć, co się wydarzyło, ale też co może się dalej wydarzyć w Polsce. „PiS (...) udało się opisać Nawrockim historię transformacji człowieka, który od chłopaka z bloku przeszedł drogę do tego, żeby zostać prezydentem RP. Z perspektywy marketingu politycznego taka opowieść to święty graal internetu, majstersztyk narracyjny dla grup docelowych" – mówi w wywiadzie analityk sieci **MICHAŁ FEDOROWICZ**, dodając, że po raz pierwszy kampania wyborcza odbyła się z dala od tradycyjnych mediów, za to blisko tych społecznościowych. A **MAREK KĘSKRAWIEC** kreśli scenariusze na przyszłość: „Przed rządem bardzo ciężki czas. Z wybranym bezpośrednio przez naród prezydentem, przy którym Andrzej Duda to wzór łagodności, ciężko będzie realizować jakiekolwiek plany".

Na koniec dobra wieść dla zmęczonych. Tak, z tym numerem „TP" – i to z większością jego stronic – da się również od wyborów odpocząć. ©℗

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor i dziennikarz „TP" piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Nominowany do Grand Press i MediaTorów, laureat m.in. Nagrody im. Barbary Łopieńskiej za najlepszy wywiad. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło".

18 Wyborcy byli gdzie indziej
ROZMOWA Z MICHAŁEM FEDOROWICZEM, ANALITYKIEM INTERNETU:
Po raz pierwszy cała kampania rozegrała się w mediach społecznościowych. A tu prawda jest w lajkach i komentarzach, które potwierdzą słuszność przekonań.

88 Historia jednego zdania
ROZMOWA Z JOANNĄ SZCZEPKOWSKĄ
Po moim występie Jerzy Urban napisał, że mam ćwierć mózgu. Potem ktoś mu odpowiedział, że mam cały mózg. No i tak rozmowa o wielkości mojego mózgu trwa do dzisiaj.

102 Prawdziwa gwiazda Paryża
MICHAŁ OKOŃSKI
Nie sposób kibicować temu klubowi. A równocześnie nie sposób nie kibicować temu trenerowi i tym piłkarzom. Odpowiedź na pytanie, czy cieszy nas triumf Paris Saint-Germain w finale Ligi Mistrzów, mówi też o tym, jak patrzymy na współczesny futbol.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // MARCIN OBARA / PAP // GRAŻYNA MAKARA // MATTHIAS SCHRADER / AP PHOTO / EAST NEWS

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Porażka Donalda Tuska
MAREK KĘSKRAWIEC

8-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Wyborcy byli gdzie indziej
ROZMOWA Z MICHAŁEM FEDOROWICZEM

22 Tanie państwo dobrobytu
MAREK RABIJ: *W przekonaniu, że płacimy za wysokie podatki, jesteśmy zadziwiająco zgodni*

■ ■ ŚWIAT

28 Strategia dzięcioła
AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Jak działa rosyjska dywersja w Europie*

31 Rodzynki, patrole i Harvard
MARTA ZDZIEBORSKA: *Pytamy Amerykanów, jak zmieniło się ich życie pod rządami Trumpa*

34 Dwanaście milionów dziennie
MARIA WIŚNIEWSKA: *Shein i Temu budowały swój sukces w USA na sprzedaży bardzo tanich ubrań i produktów AGD. Cła Trumpa podważają ten model biznesowy. Czy uda im się przestawić na Europę?*

36 Donbas topnieje
ANTONINA PALARCZYK *z przyfrontowych miast obwodu donieckiego*

■ ■ WIARA

44 Duch, wiatr i oddech
PIOTR SIKORA *na Zesłanie Ducha Świętego o tym, jak zmienić swoje religijne przyzwyczajenia*

48 Opiłek w oku
IGNACY DUDKIEWICZ: *Sprawa ks. Puzewicza to nie rozczarowanie księdzem czy instytucją, ale światem, w którym są punkty odniesienia. Gdy one upadają, zostaje tylko pustka*

TEMAT TYGODNIKA

12 Po co nam ta głowa
PIOTR ŚMIŁOWICZ
Kompetencje prezydenta nie przystają do jego silnego społecznego mandatu. Model prezydentury musi się zmienić.

14 Charaktery i struktury
ROZMOWA Z BRONISŁAWEM KOMOROWSKIM

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

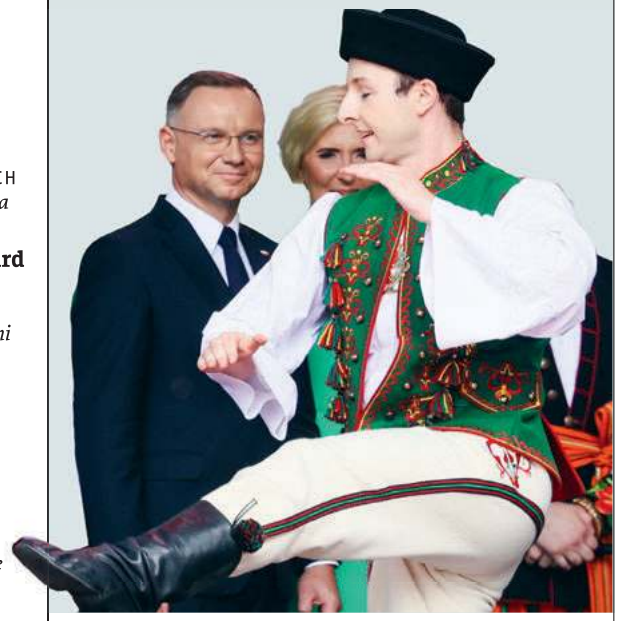

■ EKSTRA STRONY ■

26 WYSTAWA W ZAMKU KRÓLEWSKIM NA WAWELU
38 OBYWATEL BONIECKI
63 KSIĄŻKI W TYGODNIKU

■ FELIETONY ■

25 OLGA DRENDA **63** STANISŁAW MANCEWICZ
87 WOJCIECH BONOWICZ
100 PAWEŁ BRAVO **106** TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:
PLAKATY Z KANDYDATEM NA WIECU W WARSZAWIE, 23 MAJA 2025 R.
FOT.: ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

50 Ekumenizm nie dla mięczaków
ROZMOWA Z KATOLICZKĄ I EWANGELIKIEM: *Co o sobie myślimy, czego zazdrościmy, co nas zadziwia*

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Od Jurka do Georges'a, europejska nić
SZYMON ŁUCYK: *Za młodu dzielny żołnierz AK, później emigrant i cichy współtwórca zjednoczonej Europy, a po 1989 r. doradca polskich rządów*

■ ■ NAUKA

58 Daj się zaskoczyć
KATARZYNA DZIADOWICZ: *Nie każdy lubi niespodziewane sytuacje, ale każdy się z nich uczy*

■ ■ KULTURA

88 Historia jednego zdania
ROZMOWA Z JOANNĄ SZCZEPKOWSKĄ

93 Polska, wykroje i wzory
ZIEMOWIT SZCZEREK: *Tęsknię do jakiejś formy, w której zamanifestowałaby się siła i atrakcyjność mojego państwa*

97 Polecamy
GRA, PŁYTA, WYSTAWA

98 Życie toczy się dalej
ANITA PIOTROWSKA *o filmie dokumentalnym „Gaucho Gaucho"*

99 Świat, który wraca
LEKTOR *o książce „Trzy kobiety. Wiersze i storie" Jerzego Jarniewicza*

■ ■ ZMYSŁY

102 Prawdziwa gwiazda Paryża
MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ NOWĄ OFERTĘ NA STRONIE 107

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

PORAŻKA DONALDA TUSKA

Przed rządem bardzo ciężki czas. Z wybranym bezpośrednio przez naród prezydentem, przy którym Andrzej Duda to wzór łagodności, ciężko będzie realizować jakiekolwiek plany.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:
Donald Tusk przed lokalem wyborczym po głosowaniu w drugiej turze wyborów prezydenckich. Sopot, 1 czerwca 2025 r.

Zwycięstwo Karola Nawrockiego to klęska całej koalicji 15 października, ale twarzą tej porażki będzie nie tyle Rafał Trzaskowski, co Donald Tusk – polityk, któremu przy rekordowej frekwencji udało się zakończyć 8-letnią epokę PiS, ale potem roztrwonić poparcie w 20 miesięcy.

To nie jest oczywiście koniec jego projektu, ale trudno mi sobie wyobrazić, co mógłby zrobić, by do kolejnych wyborów (teoretycznie jesienią 2027 r.) odzyskać inicjatywę. Dziś bardziej realnym scenariuszem jest upadek jego gabinetu i wcześniejsze wybory, które na nowo ukształtują polską scenę polityczną.

OSTATNIEGO DNIA kampanii Nawrocki oskarżał Tuska o różne rzeczy, m.in. o zadłużanie państwa, dodając, że lider Koalicji Obywatelskiej „będzie to robił jeszcze przez kilka miesięcy". Gdy się do tego doda wypowiedzi prominentnych polityków PiS, widać wyraźnie, na co będzie grał obóz Jarosława Kaczyńskiego. A właściwie obóz jego i Nawrockiego.

Nie jest bowiem wykluczone, że nowy prezydent z czasem stanie na czele środowiska: ma przecież potężny mandat społeczny i będzie mu sprzyjał młody wiek (oraz podeszły wiek obecnego lidera). Biorąc pod uwagę, jak brutalna była to kampania i jakie rzeczy

mówili o sobie nawzajem przedstawiciele głównych sił, możemy się spodziewać zupełnie innej prezydentury niż 10 lat Andrzeja Dudy.

Nawrocki nie kierował swej oferty – jak robił to w drodze po władzę ustępujący prezydent – do elektoratu centrum. Jego mocno konfrontacyjny przekaz, na czele z jednoznacznym opowiedzeniem się za Donaldem Trumpem, a przeciwko liderom Unii Europejskiej i ich dotychczasowej polityce wobec Ukrainy (choć Tusk był tu kontynuatorem polityki PiS i rządu Morawieckiego), oznacza polityczną wojnę w Polsce na skalę dotychczas nieznaną, być może z ostrym pojedynkiem o panowanie nad armią. Priorytety zagraniczne i cele wewnętrzne są dziś tak sprzeczne, jak nie były jeszcze nigdy w czasach, gdy polscy prezydenci i premierzy pochodzili ze zwaśnionych partii. A biorąc pod uwagę fatalne notowania rządu (44 proc. przeciwników, 32 proc. zwolenników w majowym badaniu CBOS) i to, jak niepopularny jest dziś sam premier (53 proc. negatywnych ocen w tym samym sondażu), nie wierzę, że obecna koalicja będzie w stanie przetrwać kryzys. Przez większość kampanii prezydenckiej Tusk nie był dla niej wartością dodaną, a gdy w końcu się wprosił do pomocy Trzaskowskiemu, robił to zbyt emocjonalnie, a czasem wręcz dostarczał paliwa przeciwnikom, jak wówczas, gdy powoływał się na skompromitowanego freakfightera.

TRZASKOWSKI PRZEGRAŁ nie tylko z Nawrockim. Fakt: kandydat PiS szybko się uczył i mimo chuligańskiej przeszłości oraz kompromitującego przejęcia słynnego komunalnego mieszkania, wykazał się dużą odpornością psychiczną. Nie byłoby jednak tego sukcesu, gdyby nie mocne przesunięcie ideowe polskiego społeczeństwa, dzięki któremu na kandydatów prawicy zagłosowało w pierwszej turze 52 proc. wyborców. Nawet gdyby koalicji udało się znaleźć w Sejmie większość dla związków partnerskich i liberalizacji prawa aborcyjnego, Trzaskowskiemu nie udałoby się wygrać.

Klucz do umysłów polskich wyborców tkwił chyba gdzie indziej. O ile dla wiernego elektoratu Koalicji Obywatelskiej, który pomógł Tuskowi wrócić do władzy, istotne znaczenie miało zmęczenie łamiącym konstytucję PiS-em, a z drugiej strony progresywna agenda – o tyle dla wielu ludzi, którzy przenieśli swe głosy na koalicję 15 października warunkowo, istotniejsze były obietnice ekonomiczne. Czyli powrót na ścieżkę wzrostu, którą kroczyliśmy do pandemii, a która miała być znowu możliwa, gdy tylko uda się odsunąć od władzy tych „nieudaczników" z PiS, którzy nawet pieniędzy z KPO nie umieli załatwić.

Zostawmy na boku pytanie, jakie możliwości spełnienia obietnic ze stu konkretów miał naprawdę Donald Tusk, niemniej snute dwa lata temu marzenia i wizje nie stały się rzeczywistością. Polakom nie żyje się dziś dobrze; wielu, zwłaszcza młodych ludzi czuje, że funkcjonują z dnia na dzień i np. własne mieszkanie jest zupełnie poza ich zasięgiem. Bo choć pracy w Polsce jest w bród, to głównie słabo płatnej, w oparciu o którą ciężko snuć plany na przyszłość. Wystarczy zresztą spojrzeć na wyniki niedzielnych wyborów w grupie 18-39: młodzi ludzie postawili bardziej na konserwatywnego Nawrockiego, a to zupełne odwrócenie trendów, zgodnie z którymi kandydat PiS powinien mieć przewagę głównie wśród seniorów.

STAŁO SIĘ odwrotnie. I trudno się dziwić, bo młody wyborca nie otrzymał od Trzaskowskiego żadnej oferty. Słyszeliśmy o locie na Księżyc, ale co się za tym kryje, już się nie dowiedzieliśmy. Zresztą tak samo było w przypadku Nawrockiego. Obaj główni kandydaci straszyli sobą nawzajem, i w sumie niewiele dostaliśmy od nich ciekawych pomysłów. Może gdyby czas poświęcony na załamywanie rąk nad uzależnieniem Nawrockiego od nikotyny sztab KO przeniósł na agendę pozytywną i strategiczne plany rozwojowe dla Polski, najlepiej z rozpisaniem na etapy kolejnych wspólnych działań tandemu Trzaskowski-Tusk, więcej młodych uwierzyłoby, że sto konkretów to coś więcej niż „a cóż szkodzi obiecać" i że obecnej władzy warto dać jeszcze trochę czasu na zrealizowanie planów z jesieni 2023 r. Zapewne wtedy występ posłanki Gajewskiej, rozdającej ziemniaki w hospicjum, pozostałby gafą, a nie symbolem odklejenia rządzącego establishmentu od życia.

Coraz więcej badań społecznych sugeruje, że XIX-wieczny podział na lewicę i prawicę ma niewiele wspólnego z realiami. Klasa robotnicza zanika, a jej poglądom bliżej do konserwatywnego PiS niż do lewicy Włodzimierza Czarzastego. Jeśli dziś jakiś podział ma w Polsce sens, to chyba bardziej ten na elity i lud, do którego można włączyć nie tylko mieszkańców wsi i miasteczek, ale też sporą liczbę ludzi z dużych miast (często napływowych), którym może i starcza na życie, ale nie na marzenia. Dla nich Trzaskowski, syn znanego muzyka i przewodniczący samorządu w elitarnym warszawskim liceum im. Reja, będzie mimo wszystko odleglejszy niż Nawrocki, syn tokarza.

NIE PRZYPADKIEM sztab Trzaskowskiego dość oszczędnie wykorzystywał w tej kampanii wizerunki celebrytów i w ogóle ludzi sukcesu. Oni są *passé*. Raczej złoszczą niż motywują, nie są wzorem, tylko symbolem zablokowania ścieżek awansu.

To znamienne, że młodzi wyborcy uznali za swoje przede wszystkim dwie radykalne wizje państwa. Tę Sławomira Mentzena, w której państwo jest siecią układów i tylko rzuca kłody pod nogi, więc powinno być go jak najmniej. I tę Adriana Zandberga, w którym państwo ma się uleczyć i wziąć na siebie dużo większą odpowiedzialność. Dbać o nasze zdrowie, żłobki dla dzieci i promować budownictwo społeczne.

Popularność obu tych ofert będzie tylko rosła, bo społeczeństwo ma dość dwóch dekad życia w klinczu starzejących się Tuska i Kaczyńskiego. Dla 39 proc. wyborców z pierwszej tury duopol jest już nieznośny. To znacząca zmiana, tak jak fakt, że frekwencja wśród młodych pragnących nowej polityki była wyższa niż wśród sklejonych z duopolem seniorów. Kaczyński z Nawrockim powinni pamiętać też o tym, bo o ile nie zabrną na skraj autorytaryzmu jak Orbán (co wcale nie jest wykluczone, biorąc pod uwagę, że Tuskowi i Bodnarowi otwarcie grozi się więzieniem), w kolejnym demokratycznym rozdaniu mogą jeszcze szybciej zmarnować swój potencjał niż obecna koalicja rządząca.

NA NADROBIENIE straconego czasu gabinet Tuska teoretycznie ma niemal 2,5 roku, ale nie bardzo chce mi się wierzyć w jego potencjał. Z wybranym bezpośrednio przez naród prezydentem, przy którym Duda to wzór łagodności, ciężko będzie realizować jakiekolwiek plany. Do tego wewnętrzna sytuacja w koalicji może ją ciągnąć ostro w dół. Prorządowa lewica będzie podgryzana przez Razem, a Trzecia Droga zapewne się rozpadnie. Polska 2050, której lider Szymon Hołownia nie przekonał wyborców, że naprawdę idzie własną drogą, podzieli pewnie los Ruchu Palikota, Nowoczesnej czy Kukiz'15, być może topiąc przy okazji skutecznie PSL, partię anachroniczną (mimo młodego kierownictwa), która może nie mieć już siły na kolejny „obrót".

Czekają nas ciężkie czasy. Jedyne pocieszenie, że będzie nam darowane przyglądanie się żenującemu sporowi o ważność tych wyborów. ©

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

GRAŻYNA MAKARA

JAROSŁAW FLIS, SOCJOLOG:

Trzaskowski przegrał, bo koledzy z PO, a także premier Tusk za bardzo mu chcieli pomóc

PIOTR ŚMIŁOWICZ: Dlaczego wygrał Karol Nawrocki?

JAROSŁAW FLIS: Bo okazało się, że suma błędów, jakie ma na swoim koncie Rafał Trzaskowski i obóz rządzący, jest większa niż suma błędów, jakie miała na koncie główna partia opozycyjna. Po pierwsze, rząd nie jest popularny. Za dużo opowiada o opozycji, a za mało troszczy się o to, by wszyscy, którzy na niego głosowali, uważali, że to jest ich rząd. Albo dominują w nim spory, albo Platforma Obywatelska. Poza tym na jego czele stoi bardzo niepopularny polityk. W rankingach zaufania społecznego Donald Tusk oscyluje mniej więcej w tych rejonach co Jarosław Kaczyński.

Jego nadzwyczajna aktywność w ostatnim tygodniu kampanii raczej Trzaskowskiemu zaszkodziła, niż pomogła?

Moim zdaniem tak. Jeżeli PiS przez całą kampanię usiłował zrobić wszystko, żeby to był plebiscyt na temat rządu, to albo trzeba było zrobić coś pozytywnego, by ten plebiscyt wygrać, albo Tuska nie eksponować, by nie drażnił.

Według niektórych przecieków Tusk zaktywizował się wbrew sztabowi.

Powiem złośliwie, że jak ktoś chce być panną młodą na każdym weselu i nieboszczykiem na każdym pogrzebie, wtedy to drugie może się udać.

Dlaczego nie zadziałały negatywne informacje o przeszłości Nawrockiego?

Nie wiemy, czy nie miały żadnego wpływu. Być może jest tak, że bez nich Nawrocki uzyskałby 60 procent głosów.

Niewątpliwie jednak zadziałały też w drugą stronę, tak jak w przypadku Trumpa w 2024 r. i w przypadku Tuska w 2023 r. Dlaczego wszystkie negatywne informacje na temat obecnego premiera nie zadziałały wtedy w kampanii PiS? Zapewne miały jakiś wpływ, może bez nich Koalicja Obywatelska miałaby 35 procent, a nie 30. Z drugiej strony jest tak, że jak takich informacji jest za dużo, zaczynają one drażnić i działają na korzyść oskarżanego. Poza tym nigdy dość powtarzania: rządzący są od walki z problemami, a od walki z politykami jest opozycja. Rząd walczący z opozycją strzela sobie w stopę. To był właśnie ten przypadek: politycy koalicji znacznie więcej mówili o opozycji niż o swojej działalności.

Jednak kampania Trzaskowskiego nie była przesadnie agresywna wobec PiS.

Ale w debatach Trzaskowski atakował partię Kaczyńskiego. Poza tym w tych wyborach nie udało się zniwelować polaryzacji, choć kandydat KO początkowo jeździł po wschodniej Polsce. Znów można powiedzieć złośliwie, że notowania były świetne, dopóki zwolennicy kręcili nosem. A jak zaczął się im podobać, bo stał się twardszy, notowania poleciały w dół. To znaczy, jak zaczął mobilizować wyborców, dla których jego wcześniejsza agenda była ważna, zmobilizowało to wyborców przeciwnika.

Gdy zaczął bardziej akcentować treści lewicowe?

To wynika z danych. Że dopóki zwolennicy marudzili, był liderem, a jak przestali marudzić, zaczął przegrywać.

Dostrzega Pan jakieś konkretne błędy Trzaskowskiego w kampanii?

Na pewno nieszczęsna debata w Końskich, rzucenie wyzwania Nawrockiemu. Do debat powinni wzywać pretendenci, a nie rządzący. Druga sprawa to ataki polityczne sztabowców Trzaskowskiego w związku ze sprawą kawalerki. To było niepotrzebne, media to naprawdę świetnie rozgrywały i wystarczyło się schować. No i cała nieszczęsna akcja z ostatniego tygodnia, zajmowanie się doniesieniami Onetu przez polityków PO.

Źródła Onetu twierdziły, że Nawrocki był *de facto* sutenerem.

Sprawa kawalerki została przykryta przez rzeczy dużo mniej przekonujące, oparte na zeznaniach podejrzanych osób. Te doniesienia było też znacznie łatwiej odeprzeć, a poza tym co za dużo, to niezdrowo. Od 25 lat uczę, że nie można przekazywać zbyt wielu negatywnych komunikatów, wystarczy koncentracja na jednym. Wiele negatywnych przekazów jest łatwiejsze do odbicia: wystarczy odbić jeden, dwa i wtedy wszystkie pozostałe też się unieważnią.

Atak na Nawrockiego związany z ustawkami kibolskimi był przekonujący dla ważniaków, ale utrwalał przekonanie, że kandydat ważniaków walczy z kandydatem pozostałych. Podobnie te zarzuty związane z sutenerstwem. Nie były świeże, kiedyś już je podnoszono. Pytanie, po co serwować odgrzane kotlety w ostatnim tygodniu kampanii. Po sprawie kawalerki była cała sekwencja fałszywych tłumaczeń Nawrockiego. To był moment, kiedy się wydawało, że kandydat leży na łopatkach, ale wtedy druga strona postanowiła położyć się obok niego.

Czy Sławomir Mentzen pomógł Nawrockiemu?

Mógł bardziej. I tak sztabowi Trzaskowskiego udało się urwać kilkanaście procent z tych kilku milionów. Na kandydata KO zagłosowała w drugiej turze jedna ósma elektoratu Mentzena, czyli 400 tys. ludzi.

Trzaskowski mógł wygrać?

Tak, tylko trzeba było się do wyborów lepiej przygotować, nie nakręcać się na atakowanie kandydata opozycji, a cieszyć się, że on ma problemy. Zarazem zajmować się wtedy swoimi sprawami.

A skąd różnica między *exit poll* a finalnym wynikiem?

Exit poll był generalnie trafny, bo wynik się zmieścił w zakresie plus minus 2 procent błędu, choć wszyscy myśleli, że podany rezultat jest dosłowny. Być może sondażownie, jeśli chcą wychodzić z wyborów z twarzą, powinny podawać wynik w widełkach. Np: rezultat pomiędzy 48,7 a 52,7 proc. I więcej nie możemy powiedzieć, prosimy czekać na ostateczne wyniki. ©℗ Rozmawiał PIOTR ŚMIŁOWICZ

NA PUNKTY

UZALEŻNIENIE
Główny Inspektorat Sanitarny z okazji Światowego Dnia bez Tytoniu przestrzega przed stosowaniem woreczków nikotynowych, tzw. snusów, które silnie uzależniają, uszkadzają śluzówkę i podnoszą ciśnienie.

HOBBY
Słuchaczom Radia Zet ciśnienie podniosła odpowiedź Bronisława Komorowskiego na pytanie, z czego jako myśliwy jest najbardziej dumny. „Z dubleta do kaczorów" – wypalił były prezydent.

MAJĄTEK
À propos powodów do dumy, poznaliśmy tegoroczne oświadczenia majątkowe polityków. Na koncie Donalda Tuska jest 220 tys. zł i 290 tys. euro, Jarosław Kaczyński jest właścicielem 400 tys. zł w gotówce i jednej trzeciej domu o wartości 2,2 mln zł, Sławomir Mentzen deklaruje własność bitcoinów wartych ok. 13 mln zł.

KLIMAT
Idzie susza, od początku roku strażacy odnotowali prawie 2,5 tys. pożarów lasów, a Janusz Piechociński informuje na portalu X o tragicznej sytuacji wiśniowych sadów po przymrozkach. ©℗

Dlaczego Nawrocki był z teflonu

JACEK K. SOKOŁOWSKI

To była wyjątkowa kampania. Padł kolejny rekord frekwencyjny. Padł też rekord zwrotów akcji i zaskoczeń, nawet w stosunku do pamiętnej klęski Bronisława Komorowskiego w 2015 r. Nigdy też dotąd nie wysunięto pod adresem jednego z głównych kandydatów tak daleko idących, popartych mocnymi poszlakami oskarżeń.

Zwyciężył ktoś, komu do końca marca nikt nie dawał szans na zwycięstwo, ktoś nominowany przez prezesa PiS przede wszystkim po to, by zintegrować partię po utracie władzy, a nie by przyciągać nowy elektorat. I tak też do końca marca wyglądała jego kampania: pozbawiona werwy, oryginalnych pomysłów i prób wyjścia poza krąg partyjnych wyborców. Skierowana przede wszystkim do przekonanych.

Trzaskowski na swoje spodziewane zwycięstwo pracował bez fajerwerków, ale rzetelnie: obiecywał ludziom, których głosy wyniosły do władzy rządzącą koalicję, „dowiezienie" tego, co obiecano im już dwa lata wcześniej. To wydawało się działać.

Dynamikę kampanii zmieniły pierwsza debata w Końskich i internet. To do sieci przeniósł się główny ciężar komunikacji politycznej; to w sieci wyborcy poznali Nawrockiego jako sympatycznego everymana i zobaczyli sztuczność uśmiechu Trzaskowskiego. To w mediach społecznościowych analizowano zarzuty stawiane kandydatowi PiS i ostatecznie lekceważące zdyskontowanie ich przez „sosziale" jako mało wiarygodne zadecydowało o „teflonowości" kandydata PiS.

O wyniku wyborów przesądziło – moim zdaniem – niedające się uniknąć sprzężenie zwrotne. I tura przyniosła remis, jednak ze wskazaniem na kandydata PiS: ponad 4 miliony głosów oddanych na Mentzena i Brauna stanowiły rezerwę, o którą mógł skutecznie zawalczyć. „Zapas" Trzaskowskiego był wyraźnie mniejszy, gdyż Szymon Hołownia stracił w stosunku do 2023 r. 2 miliony wyborców.

Czując zagrożenie, Platforma rzuciła do walki wszystkie siły, w tym premiera. I to obciążyło jej kandydata. II tura stała się bowiem plebiscytem nad rządami koalicji 15 X. Rządami ocenianymi jako „złe" lub „bardzo złe" przez 47 proc. respondentów.

Tak trzeba odczytywać ten wynik. Pamiętając, że w I turze mieliśmy najniższy łączny wynik PO-PiSu od dekad. To nie apogeum polaryzacji, lecz zwiastun jej nadchodzącego końca. ©

Rosyjska ofensywa: na froncie i w polityce

WOJCIECH PIĘCIAK

Czy to już? Zaczęło się? Nowa rosyjska ofensywa oczekiwana była latem, ale są przesłanki, że już trwa. Chyba że mamy do czynienia ze słabnięciem ukraińskiego oporu. Co też byłoby groźne.

Zdjęcia płonących samolotów na lotniskach w głębi Rosji – efekt brawurowej operacji ukraińskiego wywiadu – nie mogą przesłonić istotniejszych faktów. A te są takie: maj był tym miesiącem, w którym Rosjanie zdobyli najwięcej terenu w skali ostatniego półrocza, licząc od jesieni 2024 r. (gdy dokonali włamania, podchodząc pod Pokrowsk). Tylko w ostatnim tygodniu maja agresor zdobył 18 miejscowości.

Prócz Donbasu punkt ciężkości natarcia to obwód sumski. Po tym, jak Rosjanie wyparli w końcu Ukraińców z zajętego przez nich regionu kurskiego, przeszli granicę i zwiększają presję, tworząc podstawy do uderzenia na Sumy (miasto od granicy dzieli 30 km). Władze ukraińskie nakazały właśnie ewakuację ludzi z ponad 200 miejscowości w tym obwodzie. Są też obawy, że agresor może wznowić atak na Charków – ma tam gromadzić duże siły.

Presja na froncie wpisuje się w strategię Putina, obliczoną na maksymalizację żądań przed ewentualnymi rozmowami. Warunki zakończenia wojny, które określił ambasador Rosji przy ONZ, to cały czas żądanie kapitulacji – i Ukrainy, i Zachodu (m.in. żądanie nieprzyjmowania do NATO również Mołdawii). Kreml grozi, że jeśli zostanie ono odrzucone, kolejne warunki będą „boleśniejsze" (mowa m.in. o aneksji Odessy), a Rosja może prowadzić wojnę „bez końca". Jakby mimochodem Putin rozszerzył też listę deklarowanych celów, mówiąc, iż chce stworzyć „strefę buforową". Czytaj: zająć Charków i Sumy.

Rosyjska ofensywa na froncie i w polityce – to klasyczna strategia eskalacji przed negocjacjami, gdyby miało do nich dojść w takim czy innym formacie. Fakt, że prezydent USA nie jest mentalnie zdolny do sięgnięcia po „kij" – po tym, jak na oferty „marchewek" Putin odpowiada mu kolejnymi afrontami – osłabia pozycję naszej strony. Naszej, bo – powtórzmy – Rosji cały czas chodzi nie tylko o Ukrainę. ©℗

Studenci protestują

STRAJK ▪ Od piątku 23 maja trwa strajk okupacyjny na Uniwersytecie Warszawskim. Protest organizują Studencka Inicjatywa Mieszkaniowa oraz Młodzi z Inicjatywy Pracowniczej. Protestujący zajęli budynek Samorządu Studentów, a na dziedzińcu rozbili namioty. Organizatorzy podkreślają, że akcja to efekt braku dialogu z władzami uczelni w sprawie podstawowych potrzeb bytowych.

– Podjęliśmy się okupacji po wyczerpaniu innych sposobów wyrażania naszego niezadowolenia z sytuacji. Funkcjonująca na uczelni stołówka jest niewystarczająca na potrzeby wielotysięcznej społeczności. Rektor już ponad rok temu obiecał uruchomić drugą – mówi Jędrzej, jeden z protestujących.

Strajkujący przedstawili osiem postulatów – pięć skierowanych do Uniwersytetu, trzy do Ministerstwa Nauki. Wśród najważniejszych żądań są: utworzenie publicznych stołówek na kampusach oraz budowa nowych akademików. Studenci chcą, by stołówki działały w ramach uczelni, a nie były prowadzone przez prywatne firmy.

Z protestującymi 27 maja spotkał się powołany przez ministerstwo pełnomocnik ds. studenckich Daniel Kość. Przedstawił stanowisko resortu – jego treść miała zostać przesłana strajkującym w ciągu doby, jednak i tej obietnicy nie dotrzymano.

Protestujący skarżą się na lekceważący stosunek władz UW do ich protestu. W piątek, 30 maja, grupa studentów próbowała przekazać list rektorowi, prof. Alojzemu Nowakowi. Niestety spotkali się z odmową przyjęcia pisma. Film z tego zajścia studenci zamieścili w mediach społecznościowych. Wyraźnie słychać na nim głos rektora Nowaka, który stwierdza, że protestujący „nie są dla niego partnerami do rozmowy". Wcześniej z delegacją protestujących spotkał się prorektor UW ds. studenckich prof. Maciej Raś oraz dziekana Wydziału Socjologii UW prof. Julia Kubisa. Rozmowy nie przyniosły przełomu. – Ciągle powtarza się argument, że nie powinno nam zależeć, żeby to uniwersytet prowadził stołówkę, że wystarczy znaleźć inwestora – mówi Gabriela, studentka UW. – Nie zgadzamy się z tym. Uniwersytet powinien kierować się dobrem społeczności, a nie kalkulacją zysków.

Wieczorami osoby protestujące są odcinane od reszty kampusu, m.in. od dostępu do toalet. Studenci twierdzą, że są celowo izolowani przez ochronę uniwersytecką. Zapowiadają, że nie zakończą strajku, dopóki nie otrzymają pisemnego potwierdzenia realizacji postulatów.

W komunikacie wydanym przez Uniwersytet Warszawski władze uczelni odcinają się od studenckich postulatów i zapewniają, że funkcjonująca stołówka jest wystarczająca, bo przecież wydłużono godziny jej pracy, a miejsc w akademikach nie brakuje. Zapewniają też, że trwają rozmowy dotyczące funkcjonowania stołówki w przestrzeni Biblioteki Uniwersyteckiej.

©℗ JACEK TARAN

Protest studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Warszawa, 31 maja 2025 r.

MATERIAŁY PRASOWE KOŁA MŁODYCH INICJATYWY PRACOWNICZEJ

Elon Musk odchodzi z rządu Trumpa

USA ▪ Gdy najbogatszy człowiek świata przekazywał w ubiegłym roku na kampanię Donalda Trumpa 288 mln dolarów, pewnie nie spodziewał się, że ich wspólna przygoda potrwa tylko cztery miesiące i skończy się konferencją prasową w Białym Domu, na której będzie miał podbite oko i zszarganą reputację.

Oficjalna wersja jest taka, że Elonowi Muskowi – bo o nim mowa – siniaka nabił podczas zabawy jego pięcioletni syn. Jednak w Białym Domu nikt mu raczej nie współczuł, bo wedle przecieków z zaplecza prezydenta stał się on tam osobą najbardziej znienawidzoną.

Zostając w styczniu członkiem nowej administracji USA, Musk zapowiadał, że nowo utworzony i kontrolowany przez niego Departament Efektywności Rządu (DOGE) ograniczy wydatki państwowe o dwa biliony dolarów i zmniejszy biurokrację. Dziś niezależne analizy mówią, że realnie znalazł ok. 16 mld niepotrzebnych wydatków, ale jego działania miały kosztować podatników... 135 mld dolarów.

Do tego ludzie Muska zwolnili dziesiątki tysięcy pracowników federalnych, często z dnia na dzień. Po czym w wielu przypadkach trzeba ich było ponownie zatrudniać. Jakby tego było mało, działania DOGE zdewastowały kluczowe instytucje, w tym pomocową agencję USAID czy agencję NOAA, która ostrzega Amerykanów przed tornadami i huraganami.

Formalnie Musk odchodzi, bo upłynął dopuszczalny prawem czas jego zatrudnienia jako „specjalnego pracownika federalnego". Bardziej prawdopodobne jest jednak to, że zgubiła go żądza władzy. Próbował obsadzać swoimi ludźmi kluczowe stanowiska w administracji i przeszarżował. Wdał się w karczemną awanturę z sekretarzem skarbu Scottem Bessentem, która – zdaniem Steve'a Bannona, byłego zausznika Trumpa – skończyła się rękoczynami. Nie pomogły też skandale obyczajowe. Kilka dni temu dziennik „New York Times" opublikował artykuł śledczy, w którym twierdzi, że Musk przyjmował od ponad roku ogromne ilości narkotyków, od ketaminy przez ecstasy po halucynogenne grzybki.

Ostatecznie może się jednak okazać, że Elon Musk nie wyszedł źle na swojej inwestycji w Trumpa. Od stycznia jego firmy otrzymały od rządu USA kontrakty na ponad 7 mld dolarów. Do tego pracownicy DOGE, buszujący w agencjach federalnych, zdobywali dostęp do danych milionów Amerykanów, które są dla biznesu Muska praktycznie bezcenne. Jeśli rzeczywiście je przejął, to 288 mln dolarów zainwestowanych w Trumpa może mu się bardzo szybko zwrócić. Mimo podbitego oka.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI, AGATA KAŹMIERSKA

BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI / PAP

Noc Bibliotek, wspólne odczytanie wiersza „Lokomotywa" Juliana Tuwima w Multimedialnej Bibliotece dla Dzieci i Młodzieży w Warszawie. 3 czerwca 2017 r.

Jak zapewnić Polakom równy dostęp do książki

RYNEK KSIĄŻKI ▪ Dyskusje na temat rynku książki oraz kiepskiej sytuacji materialnej autorek i autorów nabrały w ostatnich miesiącach tempa. Z zapowiedzi Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz ministerialnego zespołu ds. pola literackiego, działającego pod przewodnictwem Agaty Diduszko-Zyglewskiej, wynika, że do końca roku czeka nas sporo rozstrzygnięć.

Opublikowany pół roku temu raport Instytutu Książki wykazał, że rynek książki znajduje się w kryzysie strukturalnym, charakteryzującym się postępującą oligopolizacją. Cztery największe firmy dystrybucyjne kontrolują około 80 proc. rynku hurtowego, co prowadzi do systematycznego wypierania mniejszych podmiotów. Instytut Książki złożył w tej sprawie zawiadomienie do UOKiK, niebawem powinniśmy poznać opinię urzędu.

Ponadto zespół ds. pola literackiego kilka dni temu złożył ministrze kultury rekomendację w sprawie zmian redystrybucji środków z zakupów i wypożyczeń bibliotecznych. Przypomnijmy: za każdy wypożyczony egzemplarz książki jej autor bądź autorka otrzymuje 4 grosze. Roczna mediana wynagrodzenia z tego tytułu wynosi 360 zł. Obecna stawka – 5 proc. ceny książki, które wracało do twórców oraz wydawców – ma zostać podwojona, co w skali roku może przynieść wydawcom i autorom dodatkowe 10 mln złotych. Zmienić ma się też sposób obliczania wynagrodzeń – dotychczas były one naliczane na podstawie danych przekazywanych z 60 bibliotek, które nie stanowiły próby reprezentatywnej, uwzględnione w niej biblioteki nie były też równomiernie rozmieszczone geograficznie. Liczba bibliotek, z których przesyłane będą dane, ma wzrosnąć do 100.

Instytut Książki zamówił także raport nt. warunków pracy autorek i autorów oraz tłumaczek i tłumaczy, którego treść i wnioski poznamy jesienią. Z kolei Polska Izba Książki zleciła badanie nt. plusów i minusów planowanej regulacji rynku książki. Od pewnego czasu dyskutuje się o jednolitej cenie książki, tj. o przepisie, który wymuszałby na wszystkich sprzedawcach utrzymywanie okładkowej ceny książki np. przez pół roku od jej wydania, co wyrównałoby szanse dużych i małych księgarni. Jak pokazał raport Instytutu Książki, takiego rozwiązania nie można wprowadzić bez innych regulacji – ich zakres ma określić wspomniany raport.

W dyskusjach o rynku książki nieustannie mówi się o wymiarze ekonomicznym, rzadko podkreślając jego rolę kulturotwórczą. Książki są dobrem, które powinno być ogólnie dostępne, niezależnie od preferencji czy regulacji rynkowych. A jeśli tak, to planowanych zmian nie odczujemy w pełni aż do momentu zapewnienia wszystkim dzieciom równego dostępu do książek oraz edukacji, której celem będzie wykształcenie w nich potrzeby czytania dla przyjemności. Dziś absolwent szkoły podstawowej ma – jak głosi profil jej absolwenta – jedynie „czytać ze zrozumieniem". Z kolei w profilu absolwenta szkoły ponadpodstawowej o związkach z literaturą i stosunku do niej nie ma nawet słowa.

Czas to zmienić. Tym bardziej że rosnące różnice w dochodach przekładają się na rosnące dysproporcje szans wśród dzieci. Coraz popularniejsze i coraz chętniej wybierane szkoły prywatne, korepetycje i zajęcia dodatkowe dają dobry start w dorosłość jedynie ich wybranej, najlepiej usytuowanej grupie. Równy dostęp do książki mógłby być bardzo pomocny w przełamaniu tego trendu. ©℗ **MONIKA OCHĘDOWSKA**

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

PO CO NAM TA GŁOWA

Kompetencje prezydenta nie przystają do jego silnego społecznego mandatu. Generuje to ogromne napięcia, zwłaszcza jeśli głowa państwa ma ambicje polityczne, a w kampanii szastała obietnicami. Model prezydentury musi się zmienić.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Prezydent Andrzej Duda na Dożynkach Prezydenckich w Warszawie. 15 września 2024 r.

25 listopada 1990 r. Polacy byli w szoku. Do drugiej tury w pierwszych powszechnych wyborach prezydenckich wszedł wraz z Lechem Wałęsą kompletnie wcześniej nieznany emigrant z Peru Stanisław Tymiński. W pierwszej turze pokonał urzędującego premiera Tadeusza Mazowieckiego.

Wałęsa zmiótł w drugiej turze „uzurpatora". Tą zadziwiającą i bardzo krótką karierę Tymińskiego tłumaczono wówczas słabością świeżo zainstalowanej w Polsce demokracji. Po 35 latach niektórzy widzą podobieństwa z tamtą sytuacją: choć jednego z kandydatów wspiera najważniejsza siła opozycyjna kraju, to – jak się okazuje – jego życiorys kryje wiele tajemnic i wątpliwości. Także u tych, którzy go wspierają.

Problem dotyczy nie tylko przypadku Karola Nawrockiego. Logika współczesnej wojny politycznej, wraz z rosnącą izolacją baniek informacyjnych, która demoluje merytoryczną debatę publiczną i zaciera granice między prawdą i fałszem – sprzyjają wyborom bardziej emocjonalnym niż racjonalnym. Jeśli do tego weźmie się pod uwagę fakt, że umocowanie prezydenta w naszej konstytucji daje mu o wiele więcej kompetencji w destrukcji niż w tworzeniu, warto rozpocząć prawdziwą dyskusję nad sensem powszechnych wyborów prezydenckich.

Coraz więcej ekspertów, ale też polityków, ma co do tego wątpliwości, choć oczywiście sam proces wyłaniania głowy państwa ma wiele zalet. Są one wielkim świętem demokracji bezpośredniej, bo aktywizują obywateli poprzez swój personalny charakter, wywołując, jak żadne inne wydarzenie, zainteresowanie życiem publicznym. Wad jest jednak mnóstwo.

Podziały idą w poprzek

Zdecydowanym przeciwnikiem tej formy wyborów jest były premier Leszek Miller, który ma za sobą fatalny wybór z 2015 r., gdy wypromował na kandydatkę SLD Magdalenę Ogórek. Niedoszła pani prezydent po klęsce szybko zmieniła polityczny front i dziś jest znaną prezenterką telewizyjną o jednoznacznie prawicowych poglądach.

– Biorąc pod uwagę wszystkie dotychczasowe doświadczenia, uważam, że jedynym antidotum jest przejście na wybór prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe – mówi Miller. – Gdyby dziś obowiązywał ten system, nie wyobrażam sobie, by ktoś taki jak Karol Nawrocki mógł kandydować.

Zdaniem Millera największą wadą powszechnych wyborów jest upór w stwarzaniu wrażenia, że prezydent dysponuje niesłychanie rozległymi kompetencjami. W ten sposób utrwala się w społeczeństwie przekonanie, że w Polsce istnieje system prezydencki, a nie parlamentarno-gabinetowy. Potem może to rodzić wśród wyborców rozczarowanie (a nawet niechęć do demokracji), gdy okazuje się, że w kraju, w którym rządzi premier ze swoim gabinetem – wielu obietnic nie da się zrealizować, zwłaszcza gdy głowa państwa pochodzi z innego środowiska politycznego.

Zwolennikiem utrzymania powszechnych wyborów prezydenckich jest natomiast wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak z Konfederacji. Uważa on, że wprowadzają element ważnego urozmaicenia w nasz ustrój i dają narodowi głos w wyborze kogoś, kto będzie rzecznikiem jego interesów.

– Ten model został ukształtowany w naszym kontekście ustrojowym, ma pewne zalety, ma pewne wady. Nie widzę powodu, żeby go zmieniać tylko dlatego, że nie jest podobny do modeli zagranicznych – przekonuje Bosak.

Szef senackiej komisji ustawodawczej Krzysztof Kwiatkowski z KO jest podobnego zdania. Uważa, że obywatele przywykli już do tych wyborów; są też one najpopularniejszym rodzajem elekcji, o czym świadczy jednoznacznie frekwencja.

Jak więc widać, podziały w tej kwestii idą w poprzek różnic politycznych. Odmienne opinie spotykamy nawet wewnątrz tych samych ugrupowań.

Jak to robi świat

Powszechne wybory głowy państwa odbywają się zwykle w krajach, w których obowiązuje system prezydencki, jak np. we Francji czy w USA (tu nawet nie ma funkcji premiera). W tych krajach prezydent jest nie tylko tytularnym, ale i rzeczywistym przywódcą państwa, więc potrzebuje bardzo silnego mandatu do rządzenia.

Z kolei w krajach, w których istnieje ustrój parlamentarno-gabinetowy i politycznie najwięcej do powiedzenia ma rząd, prezydenta wybiera zwykle ↦

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

BRONISŁAW KOMOROWSKI, BYŁY PREZYDENT POLSKI:

Nie znam na świecie przypadku, by ktoś odebrał prawo do powszechnego wybierania prezydenta, jeśli zostało już ono wprowadzone.

PIOTR ŚMIŁOWICZ: Czy nie uważa Pan, że uprawnienia głowy państwa nie pasują do mandatu, który prezydent otrzymuje w wyborach? Może warto odejść od powszechnego głosowania?

BRONISŁAW KOMOROWSKI: Taką opinię często wygłaszają premierzy, którzy zawsze są zainteresowani, by nie być kontrolowanymi. W moim przekonaniu konstytucja Polski tak ukształtowała rolę prezydenta, by równoważył on rząd. To jest potrzebne, bo z moich wieloletnich obserwacji wynika jedno – każdy premier jest przekonany, że zakładane cele może osiągać na skróty. Premierzy nie lubią poczucia ograniczenia, w związku z tym zawsze jest pewne napięcie między nim a prezydentem, choć ono może się bardzo różnie ujawniać. Czasem publicznego sporu nie widać, jak za czasów moich i premiera Tuska. Wtedy napięcia oczywiście też występowały, tyle że były rozładowywane. Jeżeli konfliktu nie można było rozwiązać, stosowałem weto. Ale to były rzadkie sytuacje.

Co jest w takich momentach kluczowe?

W takich przypadkach decydują charaktery, a nie struktura państwa. Albo się dąży do uzgodnienia, albo się dąży do przewagi. Nie znam jednak na świecie przypadku, by ktoś odebrał prawo do powszechnego wybierania prezydenta, jeśli zostało ono wprowadzone. Znam procesy odwrotne, np. w naszych sąsiednich Czechach. Tam byli prezydenci wyłaniani przez parlament i oprócz Václava Havla, czyli postaci wybitnej i powołanej w szczególnych okolicznościach, dwaj pozostali prezydenci [Václav Klaus, Miloš Zeman – przyp. red.] nie byli szczytem marzeń. Natomiast pierwszy prezydent wyłoniony w wyniku wyborów powszechnych, pan Petr Pavel, jest poważnym, odpowiedzialnym i świetnie przygotowanym do pełnienia roli głowy państwa politykiem. Uważam, że model władzy kanclerskiej poza Niemcami się nie sprawdza, bo osłabianie pozycji prezydenta prowadzi do sejmokracji, a to oznacza dominację partii politycznych.

Jednak powszechne wybory stwarzają większe zagrożenie wyłonienia osoby przypadkowej, albo o wątpliwym życiorysie...

Zgadzam się, że niepokoi pojawianie się w wyborach prezydenckich kandydatów bez doświadczenia i o niejasnej proweniencji. Remedium na to mogłoby stać się wprowadzenie przepisów, jak we Francji. Tam, by zarejestrować kandydata, wymagane jest nie zebranie 100 tys. podpisów zwykłych obywateli, ale 500 podpisów osób zaufania publicznego, merów i radnych.

Byłby Pan za wzmocnieniem uprawnień prezydenta?

Rola strażnika konstytucji i kogoś wprowadzającego równowagę w ramach władzy wykonawczej to już jest dużo. Prezydentowi brak jednego uprawnienia: jest praktycznie pozbawiony możliwości kontrolowania służb specjalnych. Wie tyle, ile mu minister-koordynator, czyli *de facto* rząd, chce powiedzieć. Tymczasem powinien mieć możliwość wpływu na zmiany w kierownictwie służb. Dzisiaj ich nieszczęściem w Polsce jest to, że co kadencja i zmiana rządu – wymiatane jest całe kierownictwo i wielu funkcjonariuszy. Prezydent powinien być gwarantem ciągłości pracy w tych instytucjach. ©℗

↦ parlament. Najbardziej znane przykłady to Niemcy, Austria i Włochy. Skrajną formą tego ustroju są europejskie monarchie konstytucyjne, gdzie w miejscu prezydenta jest król, który jednak nie ma bezpośredniego wpływu na władzę. Ta spoczywa w rękach premiera, jak w Wielkiej Brytanii czy Szwecji.

Polski system jest hybrydą – kompetencje prezydenta skrojone są raczej tak, jak w systemie parlamentarno-gabinetowym, ale zarazem lider państwa wyłaniany jest w wyborach powszechnych, więc czuje swą siłę. Ten skomplikowany ustrój to efekt tworzenia prawa pod presją doraźnej sytuacji politycznej (dzieje się tak właściwie od samego początku III RP).

Kształt urzędu prezydenta wynegocjowano podczas obrad Okrągłego Stołu. Ówczesne władze PRL nie ukrywały, że jest on tworzony pod gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Namaszczało go Zgromadzenie Narodowe bezwzględną większością głosów, lecz miał kompetencje wykraczające poza uprawnienia głów państw w ustrojach parlamentarno-gabinetowych. Był wybierany na 6-letnią kadencję, jego weto do ustaw mogła odrzucić dopiero większość 2/3 głosów, sprawował też mocne zwierzchnictwo nad siłami zbrojnymi. Składał również w Sejmie wniosek w sprawie stanowiska premiera, choć już decyzje o powołaniu rządu wraz z jego szefem spoczywały w rękach posłów.

Historyk i politolog prof. Antoni Dudek przypomina, że Jaruzelski miał tak duże uprawnienia, bo dla PZPR miały być one gwarantem zachowania kontroli nad przemianami ustrojowymi. Mógł więc rozwiązać Sejm nie tylko wtedy, gdy ten w trzy miesiące nie przyjmie budżetu lub nie utworzy rządu, ale także wtedy, gdy jakąkolwiek swą decyzją parlament naruszy prerogatywy głowy państwa w zakresie wewnętrznego i zewnętrznego bezpieczeństwa kraju. A pod to podciągnąć można było niemal wszystko.

W praktyce Jaruzelski, wybrany 19 lipca 1989 r. większością jednego głosu i pasywnie piastujący swój urząd, z uprawnień tych nie korzystał i nie blokował przeprowadzanych na przełomie 1989 i 1990 r. rewolucyjnych zmian. Wówczas głównym politycznym postulatem stało się powołanie na urząd prezydenta przywódcy Solidarności Lecha

Wałęsy. Gdy lider tworzącego się Porozumienia Centrum Jarosław Kaczyński zaproponował, by zrobić to jak najszybciej, planował, by zrobiło to właśnie Zgromadzenie Narodowe.

„Wojna na górze"

Zaplecze ówczesnego premiera Tadeusza Mazowieckiego, który w związku z rozwijającą się „wojną na górze" był namawiany do startu przeciwko Wałęsie, zgłosiło inny pomysł: prezydenta mieli wybierać wszyscy obywatele. Spodobało się to pewnemu siebie Wałęsie i jego otoczeniu, zarazem też poszerzało pole demokracji. Zgromadzenie Narodowe składało się przecież nie tylko z wyłonionego demokratycznie Senatu, ale i „kontraktowego" Sejmu.

Tłumaczył to w ówczesnej debacie nad zmianą konstytucji lider Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego Bronisław Geremek, argumentując że „dla obrazu Polski w Europie i dla podtrzymania stabilizacji politycznej w kraju niezbędne jest, aby mandat prezydenta był jasny i jednoznaczny, wynikający z wolnych wyborów".

Wałęsa wybory wygrał, jednak praktyka jego pięcioletniej prezydentury mocno zaciążyła na tym, jakie dziś głowa państwa posiada kompetencje. Po przyjęciu w 1992 r. tzw. małej konstytucji, Wałęsa nadinterpretowywał jej mało precyzyjne przepisy, tak by zwiększyć swoje uprawnienia. Zyskało to nawet publicystyczny termin „falandyzacji prawa" – od nazwiska głównego prezydenckiego prawnika Lecha Falandysza. W efekcie przyjęta w 1997 r. ustawa zasadnicza pisana była w dużym stopniu „pod Wałęsę". I to mimo tego, że dwa lata wcześniej przegrał on wybory z Aleksandrem Kwaśniewskim.

W myśl małej konstytucji prezydent miał np. prawo do każdorazowego opiniowania obsady szefostwa resortów obrony, spraw wewnętrznych i spraw zagranicznych. Wałęsa interpretował to w ten sposób, że zmuszał każdy rząd niezależnie od opcji do powołania na te stanowiska jego ludzi. Rodziło to chaos, zatem w konstytucji z 1997 r. zapis o opiniowaniu zniknął. Podobnie było z interpretacją terminu trzech miesięcy, jaki ma parlament na uchwalenie ustawy budżetowej. Prezydent Wałęsa w początkach 1995 r. upierał się, że do tego czasu należy wliczyć okres, jaki on sam ma na decyzję o złożeniu podpisu i groził rozwiązaniem ówczesnego Sejmu, bo wykroczył on poza konstytucyjny termin. Doświadczenie tego szantażu sprawiło, że w nowym projekcie odebrano głowie państwa nawet prawo do wetowania budżetu.

> W krajach, w których istnieje ustrój parlamentarno-gabinetowy i politycznie najwięcej do powiedzenia ma rząd, prezydenta wybiera zwykle parlament.

– Konstytucja z 1997 r. była pisana w cieniu prezydentury Wałęsy, która była ekspansywna i chaotyczna – ocenia prof. Antoni Dudek. – Wałęsa doprowadził do tego, że rząd stał się hybrydą prezydencko-parlamentarną. Ale nikt nie próbował odebrać Polakom powszechnych wyborów prezydenckich, gdyż były zbyt popularne. Klasa polityczna drżała, co powiedziałby naród, gdyby mu odebrano takie igrzyska, więc uprawnienia prezydenckie odbierano niespójnie. Nie zadbano przy tym o precyzyjne określenie zakresów kompetencji, istnieje więc ewidentna sprzeczność między uprawnieniami prezydenta i rządu w polityce zagranicznej i obronnej.

W latach 1989-97 miała zatem miejsce ustrojowa ewolucja od prezydenta wybieranego przez Zgromadzenie Narodowe, ale posiadającego relatywnie szerokie kompetencje, do prezydenta wybieranego przez naród, ale dysponującego głównie uprawnieniami kontrolnymi.

Skazani na spory

Senator KO Krzysztof Kwiatkowski nie zgadza się z poglądem, iż kompetencje prezydenta są niewielkie: – On ma słabsze uprawnienia w proponowaniu pozytywnych scenariuszy, ale silne w zakresie negacji prawa. Stało się tak, bo Komisja Konstytucyjna tworzyła naszą ustawę zasadniczą ze świadomością, że prezydentem będzie Wałęsa. Później został nim Kwaśniewski. Dziś to trudne do wyobrażenia, ale wtedy standard prac parlamentarnych był taki, że do przegłosowanych artykułów już nie wracano.

Główny problem z prezydenturą, jak ocenia wicemarszałek Senatu Michał Kamiński z PSL (kiedyś bliski współpracownik prezydenta Lecha Kaczyńskiego), polega na zasadniczej dysproporcji pomiędzy mandatem, który dostaje prezydent od narodu, a uprawnieniami, które posiada: – Sam fakt, że Polacy wyłaniają prezydenta w głosowaniu powszechnym, powoduje, że są to wyjątkowe wybory. Nikt nie jest w stanie dostać tylu głosów, co zwycięzca drugiej tury. Tymczasem komuś takiemu zostawia się naprawdę mało uprawnień.

Jego zdaniem nie tylko Wałęsa, ale każdy z prezydentów – może w najmniejszym stopniu Bronisław Komorowski, który rządził w czasach gabinetu tworzonego przez sojuszników z PO – miał problem z odnalezieniem się w zastanej sytuacji. Każdy był skazany na jakiś konflikt z rządem, zwłaszcza w sprawach międzynarodowych i obronnych.

Kwaśniewski spierał się z pochodzącym z tego samego obozu premierem Millerem nawet o tak podstawowe kwestie jak ta, który z nich pojedzie do Dublina na uroczystość przyjęcia Polski do Unii Europejskiej – w efekcie Polska była jedynym krajem reprezentowanym zarówno przez prezydenta, jak i premiera. Do historii przeszły też kłótnie Lecha Kaczyńskiego i Donalda Tuska o samolot, którym prezydent miałby polecieć na szczyt UE do Brukseli. Premier nie chciał, by Kaczyński bywał na szczytach Unii, bo zgodnie z wcześniejszą praktyką reprezentowali tam Polskę szefowie rządów, zaś prezydenci jeździli na szczyty NATO.

Najnowszy przejaw konfliktu kompetencyjnego to spór prezydenta Andrzeja Dudy z rządem Tuska o nominacje ambasadorskie – głowa państwa nie chce podpisywać wniosków MSZ o odwołanie ambasadorów, a tym samym o powołanie nowych.

Co zrobić z wetem

Bywały w historii III RP liczne przypadki, gdy prezydenci korzystali ze swoich „negatywnych" uprawnień i wetowali ważne ustawy. Tu spory dorobek ma i Wałęsa, który nie podpisał np. liberalizacji ustawy antyaborcyjnej, i Kwaśniewski, który blokował ustawy podatkowe, ustawę reprywatyzacyjną czy ustawę ↦

↦ o IPN, choć w tym ostatnim przypadku Sejmowi udało się weto odrzucić.

Z prawa odrzucania ustaw korzystali też prezydenci Kaczyński i Komorowski, Dudzie zaś pamięta się najbardziej weta do ustaw sądowych w 2017 r. (mimo że przygotowanych przez bliski mu rząd PiS), a także weta – lub wnioski do Trybunału – wobec ważnych ustaw obecnej koalicji, takich jak ustawa o KRS, o Trybunale Konstytucyjnym, czy też ustawa obniżająca składkę zdrowotną dla przedsiębiorców.

Choć niektórzy uważają weta za element stabilizacji układu politycznego – wicemarszałek Bosak przekonuje, że niejednokrotnie uratowały nas one przed złymi decyzjami – to eksperci są zdania, iż przynoszą więcej szkód niż korzyści. Prof. Dudek uważa, że bilans wet jest negatywny, zaś skutki niektórych – jak np. sprzeciwu Kwaśniewskiego wobec ustawy reprywatyzacyjnej – nie zostały naprawione do dziś.

Zdecydowanym zwolennikiem odejścia od obecnego modelu prezydentury jest politolog prof. Tomasz Słomka, który zawodowo zajmuje się tym tematem: – Gdy broniłem doktoratu o urzędzie prezydenta, postawiłem tezę, że wybory powszechne są bardzo ważne, bo spełniają wiele pozytywnych funkcji. Dają np. legitymizację społeczną prezydentowi, który może być dzięki temu dobrym arbitrem w sporach. Przeliczyłem się i po tych dwudziestu latach uważam coś wręcz przeciwnego. Jestem gorącym zwolennikiem odejścia od wyborów powszechnych.

Prof. Antoni Dudek uważa, że bilans prezydenckich wet jest negatywny, zaś skutki niektórych – jak np. sprzeciwu Kwaśniewskiego wobec ustawy reprywatyzacyjnej – nie zostały naprawione do dziś.

Zdaniem prof. Słomki prezydenci nie stali się arbitrami, bo nie są w stanie oderwać się od własnego obozu politycznego. Zarazem są przekonani, że mają tak silny mandat, iż powinni partycypować w rządzeniu państwem. Wadą jest też fakt, że kampanie są najczęściej podszyte silnymi emocjami, a wybory mają charakter demagogiczno-populistyczny.

– Jeśli prezydent ma się wykazać tym, że lepiej tańczy disco polo lub dobrze lepi pierogi z gospodyniami wiejskimi, to nie wiem, czy to są kwalifikacje do bycia autorytetem i arbitrem – ocenia prof. Słomka. Dochodzi też do „premieryzacji" kampanii prezydenckiej – kandydaci mówią wszystko to, co powinien mówić kandydat na premiera, a co znajduje się poza zasięgiem i możliwościami prezydenta.

– Wyborom towarzyszy „syndrom pierwszego sekretarza" – ludzie wybierając prezydenta, myślą, że wybierają przywódcę, który będzie prowadził naród jak surowy ojciec i gdy huknie ręką w stół, to się wszystko ułoży – mówi prof. Słomka. Poza tym, dodaje ekspert, wybory powszechne konserwują model dominacji w życiu publicznym partii politycznych. Wygrywają w nich kandydaci największych ugrupowań, bo te mają najwięcej pieniędzy i największe struktury.

Modele przyszłości

Postulat odejścia od powszechnych wyborów od dawna głosi prof. Dudek, który zwraca uwagę na jeszcze jedno zagrożenie, związane z niejasnością przepisów konstytucyjnych. Co właściwie oznacza zwierzchnictwo prezydenta nad siłami zbrojnymi? Może się pojawić prezydent, który ten zapis zacznie rozumieć wprost, zwłaszcza jeśli porozumie się z generałami, chcącymi oddać się pod jego „komendę".

– Mamy ewidentną sprzeczność między praktyką a zapisami konstytucji, choć dotychczasowi prezydenci z tego nie korzystali, może poza Lechem Kaczyńskim, który na pokładzie samolotu jako zwierzchnik sił zbrojnych wymusił

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Katarzyna Bułtowicz, Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska, Patryk Stanik, Oliwia Świątek
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

lądowanie w Tbilisi, gdy kraj ten mierzył się z Rosją – przypomina prof. Dudek.

Zarówno on, jak i prof. Słomka są zwolennikami powrotu do wyboru prezydenta przez Zgromadzenie Narodowe, czyli do tradycji II RP. Obaj uważają zarazem, że w takim wyborze powinni brać też udział samorządowcy.

Prof. Słomka uważa za dobry model włoski: – Prezydenta wybierają parlamentarzyści, ale ich grono jest poszerzane o reprezentantów regionów; każdy z nich wybiera po trzech swoich przedstawicieli. U nas prezydenta mógłby wybierać Sejm, Senat i przedstawiciele województw. Taki wybór byłby bardziej merytoryczny, pozbawiony elementów ludycznych.

Prof. Dudek przypomina z kolei przedstawioną jakiś czas temu koncepcję decentralizacji państwa, w której prezydent byłby wybierany kwalifikowaną większością, ale nie tylko przez Sejm i Senat, ale też 560 przedstawicieli sejmików wojewódzkich – chodzi o to, żeby szukać kandydatów kompromisowych.

– W takim modelu realną władzę ma premier, natomiast prezydent jest rodzajem mediatora. Dodatkowo w sytuacji zdecentralizowanego państwa byłby strażnikiem jego jedności, bo to on miałby wyłączny nadzór nad wzmocnionymi kompetencyjnie samorządami i mógłby uchylać ich decyzje. To byłaby rekompensata za utratę prawa weta – mówi Dudek.

Prof. Słomka nie jest zwolennikiem likwidacji prawa weta, a jedynie wprowadzenia zapisu, że jest ono odrzucane większością, np. 11/20.

– Nie potrzeba nam prezydenta od otwierania wystaw chryzantem. Potrzebujemy kogoś, kto będzie mógł interweniować w sytuacji, gdy w państwie jest kryzys – przekonuje politolog.

Jeśli zaś pozostawiłoby się powszechne wybory, możliwą zmianą jest wprowadzenie ustroju prezydenckiego z prawdziwą głową państwa na czele. Ten system jednak, zdaniem prof. Dudka, szybko mógłby doprowadzić do rządów autorytarnych, tak jak stało się to w niektórych krajach Ameryki Łacińskiej. Chyba że ustalimy, iż prezydent sprawuje swój urząd tylko jedną kadencję.

Marszałek Sejmu Szymon Hołownia, pytany o perspektywy zmian ustrojowych dotyczących modelu prezydentury, przyznał, że powinny iść w takim kierunku, by nikt nie kwestionował prezydenta pod kątem jego kwalifikacji moralnych.

Michał Kamiński z kolei zwraca uwagę na bardziej ogólny problem: jak dostosować prawodawstwo wyborcze i zwyczaj polityczny do nowej, cyfrowej rzeczywistości technologicznej. Za chwilę, dodaje, zaistnieje możliwość praktykowania tzw. demokracji demoskopijnej – każdy problem państwa będzie można poddawać sondażowej weryfikacji *online*: – Już dzisiaj jest teoretycznie możliwe, by każdy został podłączony do systemu, w którym może zarządzać w czasie rzeczywistym państwem. Zarazem pojawia się tu zasadniczy moralny i techniczny problem progu kompetencji.

Może więc niebawem tryb wyboru głowy państwa przestanie być istotny, bo wszyscy staniemy się prezydentami. Ale czy przez to będziemy szczęśliwsi?

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

REKLAMA

Wstęp darmowy

ŚWIĘTO SOLI

8.06.2025 r. Niedziela, godz. 10.00-18.00

Zamek Żupny i Ogród Żupny
ul. Zamkowa 8, Wieliczka

Imprezie towarzyszy wystawa „Piękno soli" - wystawa najpiękniejszych, geologicznych okazów soli z solnych ośrodków Europy

Przemarsz Reprezentacyjnej Orkiestry Dętej Kopalni Soli „Wieliczka": Szyb Daniłowicza - Dziedziniec Zamku Żupnego 10.50

Oficjalne otwarcie 11.00

ZWIEDZANIE

Bezpłatne zwiedzanie Zamku Żupnego 12.00-18.00

Oprowadzanie po dziedzińcu zamkowym osób z niepełnosprawnością słuchu z tłumaczem PJM 12.30

Wystawa fotografii: Warzelnia soli „SALCO" z Łapczycy

RODZINNY SOLNY QUEST

11.00-16.00

SOLNA STREFA EDUKACYJNA

DZIEDZINIEC ZAMKOWY 10.00-17.00

- Stanowisko archeologiczne
- Zjazd u liny z XIV-wiecznej baszty
- Ruchoma ścianka wspinaczkowa
- Warsztaty z masą solną (solniczki)
- Malowanie solniczek
- Wykonywanie dokumentu z pieczęcią

SOLNA STREFA EDUKACYJNA

OGRÓD ŻUPNY 10.00-17.00
- Strefa dla najmłodszych (puzzle, karty pracy)

WYSTAWA

Imprezie towarzyszy wystawa „Piękno soli" - to najpiękniejsze geologiczne okazy soli z solnych ośrodków Europy

ZABAWY I AKTYWNOŚCI

SCENA - DZIEDZINIEC ZAMKOWY

- Zabawa loteryjna „Kosz z solą" 13.00, 15.30
- Magiczny pokaz iluzjonistyczny 13.30
- Bajka „Opowieść o kuchennej solniczce" 15.00

MUZYKA NA ŻYWO

SCENA – DZIEDZINIEC ZAMKOWY

- Reprezentacyjna Orkiestra Dęta Kopalni Soli „Wieliczka" 12.00
- Koncert finałowy – Kraków Street Band 17.00

Z ŻUPNEGO KOTŁA

Karczma u Żupnika – specjały z kuchni żupnej i nie tylko

WARSZTATY I POKAZY RZEMIEŚLNICZE

- Warzenie soli
- Skręcanie lin
- Lepienie garnków
- Czerpanie papieru
- Wikliniarstwo
- Wykuwanie w metalu
- Wykonywanie beczek
- Rzeźbienie w soli
- Wykonywanie solnej biżuterii

POKAZY OŚRODKÓW SOLNYCH

Kopalnia Soli „Wieliczka"
Kopalnia Soli Bochnia
Kopalnia Soli „Kłodawa"
Zakład Przeróbki Solanek „SALCO"
Góra Solna Cardona, Hiszpania
Muzeum Anchois i Soli w Escali, Hiszpania
Słowackie Muzeum Techniki - Solivar, Słowacja
Ekomuzeum Saliny Rio Maior, Portugalia

WOJTEK RADWAŃSKI / EAST NEWS

Głosowanie w drugiej turze wyborów prezydenckich. Warszawa, 1 czerwca 2025 r.

KRAJ

WYBORCY BYLI GDZIE INDZIEJ

MICHAŁ FEDOROWICZ, ANALITYK INTERNETU:

Po raz pierwszy cała kampania rozegrała się w mediach społecznościowych. A tu prawda jest w lajkach i komentarzach, które potwierdzą słuszność przekonań.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Kto decydował o wyniku wyborów?

MICHAŁ FEDOROWICZ: Mężczyźni, głównie w wieku 20-45 lat, i to, jakie wrażenie robi na nich otaczający ich świat. A oni uważają, że świat jest chaotyczny, i chcą go sobie poukładać. Jak do tej pory, państwo zajmowało się wszystkimi innymi, tylko nie nimi.

Dlaczego oni?

Z powodu wojny.

Gdy były u nas wybory parlamentarne, wojna już trwała.

W 2023 r. nie tylko sytuacja na froncie ukraińskim była inna, ale przede wszystkim nie było Donalda Trumpa, który podważył międzynarodowy system bezpieczeństwa. To on wprowadził element, którego dwa lata temu nie było. Wszystko inne – od strachu przed uchodźcami po presję inflacyjną – było już wtedy.

Co tak naprawdę różniło tę kampanię od wcześniejszych?

Po raz pierwszy kampania praktycznie w całości rozegrała się w mediach społecznościowych i – co ważne – głównych skrzypiec nie grały w nich tradycyjne media. Kluczowe role odgrywały kanały polityków i nowo powstałe byty medialne jak Kanał Zero. To bez wątpienia nowość.

Katalizatorem była pandemia, podczas której zmieniliśmy nawyki i przenieśliśmy wiele naszych aktywności do internetu. Dziś ludzie o wojnie w Ukrainie dowiadują się więcej z mediów społecznościowych niż z tradycyjnych mediów. Pojawiło się wielkie zainteresowanie geopolityką, którego wcześniej nie było, a w internecie powstał cały segment, który o tym opowiada i generuje potężne zainteresowanie. Użytkownicy znajdują tam źródła informacji na własną rękę, bo tradycyjne media im tego nie zaoferowały. Politycy wykorzystali ten trend i obeszli tradycyjne media, sami docierając do wyborców.

Kolejną nowością jest sposób wykorzystywania sztucznej inteligencji. Już podczas kampanii w 2023 r. pojawiły się znamiona jej wykorzystywania, ale dopiero teraz sztaby na dobre ją wprzęgły do kreowania przekazów językowych. Każdy taki przekaz można „obrobić" jednocześnie do wielu grup docelowych, ↦

↦ wykorzystując ich język, wrażliwość i argumentację, która dokładnie te grupy przekona. Bez sztucznej inteligencji też takie rzeczy robiono, ale było to trudne, czasochłonne i mało efektywne. Teraz, do tak stworzonych z pomocą AI ukierunkowanych komunikatów, dostosowuje się grafiki czy wideo. To jest kampania nowego typu. I kampanii, w której na taką skalę używano sztucznej inteligencji, dotąd w Europie nie było.

Znów mieliśmy plebiscyt wprasowywania się polityków w gusta wyborców?

Nie. Z jednej strony liczy się przekaz dostosowany do konkretnych grup, ale to idee stały się kluczowe. Dzisiaj użytkownik, czyli wyborca, oczekuje opisania mu świata i odpowiedzi na ważne dla niego pytania. Dlatego budowanie programów partyjnych dostosowanych do wyników sondaży opinii publicznej przestało mieć sens. Użytkownik i wyborca musi po pierwsze wiedzieć, jakie są wartości danej partii czy kandydata, co uważa za dobre, co za złe, jak widzi świat i jak patrzy na obywatela.

Takie opisy świata nie biorą się z sondaży, bo gdyby tak było, to nie powstałaby żadna partia socjaldemokratyczna czy chadecka, o komunistach nie wspominając. One powstają z czegoś więcej – z idei polityki, czyli z wymyślania świata, a dopiero później przekonywania ludzi do idei, a nie na odwrót. Od polityki robionej na sondażach, o której jeszcze niedawno sądzono, że zastąpi prawdziwą politykę, ludzie się odwracają. Internet chce idei.

Jak to się przekłada na praktykę?

Dopiero gdy jest idea, konkretna wizja świata, można sięgnąć po narzędzia sztucznej inteligencji, by dostosować przekaz do konkretnych grup. Na odwrót to nie działa. Doskonale to widać w danych z mediów społecznościowych, które pokazują jasno, że użytkownicy oczekują od polityków, że ci staną naprzeciwko siebie i będą walczyć o swoje racje.

W Polsce, ale też w innych krajach zachodnich, główne partie – przede wszystkim liberałowie – wypłukały się z idei, wciąż nie umieją sobie odpowiedzieć, czym tak naprawdę są i gdzie zmierzają. Stąd ugrupowaniom skrajnym, od prawa do lewa, łatwiej jest opisywać świat i przekonywać ludzi do swoich racji. To znalazło odzwierciedlenie nie tylko w pierwszej turze wyborów, ale też w popularności niemieckiej AfD czy Zjednoczenia Narodowego we Francji. Ludzie chcą mieć jasno opisany świat. Wracamy do XIX w., czyli do wieku idei. I mam na to dowody.

Kluczowe stały się idee i opisy rzeczywistości.
Dzisiaj wyborca oczekuje opisania mu świata i odpowiedzi na ważne dla niego pytania, a nie podążania za sondażami.

Jakie?

Dane. Zrobiliśmy dla PAP raport o tym, o czym kandydaci najczęściej mówili. Najważniejsze było bezpieczeństwo. Drugą kategorią była krytyka przeciwnika, a na trzecim miejscu – wartości. I to właśnie systemy wartości były tematem, który budził największe zainteresowanie użytkowników i najlepiej się klikał. I tu wracamy do tego, że partie – aby być atrakcyjnymi – muszą się przeformatować, stworzyć swój zbiór idei i przekonań. *Elevator pitch* populistów jest prosty: w ciągu pięciu minut są w stanie opisać świat: kto jest zły, kto jest dobry, czego chcą i czego nie chcą. Radykalna lewica, jak Razem czy Die Linke w Niemczech, ma ten program jasno opisany. Oni wiedzą dokładnie, czego chcą. Partie liberalne czy progresywne mają z tym problem.

Fakty z przeszłości Karola Nawrockiego budziły bardzo poważne wątpliwości natury etycznej, a Ty twierdzisz, że jego system wartości był decydujący dla wyborców?

Było dokładnie tak samo jak z Donaldem Trumpem. Dlaczego wygrał wybory 10 lat temu i dlaczego wygrał w zeszłym roku? Użytkownicy nie szukają kryształu i wisi im, jaką kandydat ma przeszłość. Interesuje ich, co do nich mówi i jak ich przekonuje do swoich racji.

Tylko że to, co obiecuje czy zapowiada Donald Trump, i to, co później robi, to są dwie całkiem różne rzeczy.

Bo prawda dla jego wyborców nie ma nic wspólnego z prawdą obiektywną. Dla tych ludzi prawda jest w lajkach i komentarzach, które potwierdzą słuszność ich przekonań. W Polsce emanacją tego zjawiska jest 1,2 mln głosów oddanych na Grzegorza Brauna. Jego wyborcy nie znajdują swojej prawdy w mediach mainstreamowych, więc znaleźli ją sobie na swoich kanałach, np. na YouTubie. Chociaż ich poglądy wydają się absurdalne, niekiedy nieakceptowalne, ci ludzie byli się w stanie zorganizować i znaleźli lidera, który utwierdza ich w tym, że są wyjątkowi i, podobnie jak wyborcy Trumpa, oni uważają, że „stoją w prawdzie" przeciwko systemowi.

Zwróćcie uwagę, bo to ważne, jak ci liderzy nowego typu rozmawiają ze swoimi wyborcami. Nie tylko zwracają się do nich „kochani", ale przede wszystkim ze swoimi wyborcami rzeczywiście rozmawiają, spotykają się z nimi na kanałach youtubowych, poświęcają im czas. Bardzo niewielu polityków z koalicji 15 października robi coś takiego. Zdaje im się, iż są tak zajęci bieżącymi obowiązkami, że nie muszą. A okazuje się, że wyborca chce, by o niego zabiegać, żeby się z nim kontaktować. Przekonywać go. Nie tylko w czasie kampanii.

Wyborca chce być w centrum uwagi i żeby polityk – jak influencerzy – zabiegając o niego, zwracał się do niego bezpośrednio. I gdy się patrzy na kampanię właśnie z tej perspektywy, nie ma znaczenia, jaką przeszłość ma kandydat. Ważne, czy jest „nasz", czy zdołał nas przekonać do swojej idei. Sztab Karola Nawrockiego, podobnie jak Donalda Trumpa, z założenia przyjął, że będzie komunikować się z wyborcami bez pośrednictwa tradycyjnych mediów.

Z perspektywy tego, co się działo w mediach społecznościowych, to Nawrocki zrobił najlepszą kampanię?

Najlepszy był Sławomir Mentzen. W czasie kampanii to jemu udało się pozyskać największą liczbę nowych fanów ze wszystkich kandydatów. Uzyskał też najlepsze zasięgi ilościowe i najlepszą konwersję wyświetleń w stosunku do zaangażowania i nowych zwolenników. I właśnie z tych powodów z perspektywy komunikacji politycznej znalazł się w cen-

trum uwagi przed głosowaniem w drugiej turze i był *de facto* rozdającym karty. Udało mu się też – i to jest najlepsza rekomendacja dla jego kampanii – uniknąć losu AfD czy Zjednoczenia Narodowego, wokół których powstało coś w rodzaju kordonu sanitarnego. Konfederacja, nawet jeśli ktoś początkowo rozważał tworzenie takiego kordonu, rozjechała go jak czołg. Wygranym tej kampanii w mediach społecznościowych jest Mentzen.

Kto jeszcze jest na pudle?

Adrian Zandberg uzyskał o 20-30 proc. mniejsze współczynniki od Mentzena, ale był drugim najlepszym kandydatem, jeśli idzie o skuteczność w mediach społecznościowych. Udało mu się dotrzeć do nowych odbiorców i wyprowadzić Razem z kanapy do ligi głównych rozgrywających.

Trzeci był sztab Nawrockiego. Była to jedna z lepszych kampanii, jakie PiS zrobił w ostatnich latach.

Dlaczego?

Nie tylko dlatego, że jego sztabowi udało się odkleić go od PiS i to nie były wybory dotyczące tego, co ta partia robiła w latach 2015-2023. Z perspektywy mediów społecznościowych, dzięki tej kampanii PiS jest dziś całkowicie nową partią, która walczy o wolność i pomyślność obywateli przeciw złemu systemowi.

Sukcesem sztabu Nawrockiego jest też to, jak ich kandydat zmieniał się w czasie kampanii. Jeszcze zeszłej jesieni niektóre wystąpienia czytał z kartki i wizerunkowo był słaby. Już wtedy jednak twierdziłem, że jego sztab zabiera nas w planowaną podróż. Z biegiem czasu Nawrocki zmieniał się, wyrabiał, dorastał na oczach wszystkich do roli prezydenta. Tymczasem sztab Rafała Trzaskowskiego, opierając się na tradycyjnych sondażach, od razu przyjął założenie, że to on jest najbardziej prezydencki i ich kandydat przez całą kampanię był taki sam. Jego wizerunek w mediach społecznościowych był stały, trochę defensywny i dlatego tracił.

Nawrocki, wbrew temu, co nam się może wydawać, z każdym tygodniem rósł nie tylko, jeśli idzie o liczbę fanów, ale także wizerunkowo. A media społecznościowe uwielbiają historie. PiS i Pawłowi Szefernakerowi, szefowi sztabu wyborczego, udało się opisać Nawrockim historię transformacji człowieka, który od

MARCIN OBARA / PAP

MICHAŁ FEDOROWICZ jest analitykiem internetu i mediów społecznościowych, przewodniczącym europejskiego kolektywu analitycznego Res Futura. Specjalizuje się w badaniach trendów w sieci.

chłopaka z bloku przeszedł drogę do tego, żeby zostać prezydentem RP. Z perspektywy marketingu politycznego taka opowieść to święty graal internetu, majstersztyk narracyjny dla grup docelowych.

To mocno przypomina kampanię z 2015 r., kiedy początkowo Bronisław Komorowski był pewniakiem, a PiS musiał tłumaczyć, kim właściwie jest ten Andrzej Duda.

I opowiadał historię Andrzeja Dudy. W mediach społecznościowych, takich, jakimi są one teraz, tego rodzaju historie można opowiadać znacznie lepiej. To jest trochę tak, że sztab przedstawia kandydata i obiecuje, że będzie z nim przygoda – będzie się on zmieniał, będzie rósł, będą się dziać różne straszne rzeczy, ale też będą zwycięstwa, musicie się w tę historię tylko zaangażować i ją śledzić.

Błędem sztabu Trzaskowskiego było to, że nie zabrał nas w żadną – jak to nazwałeś – przygodę?

Sztab Trzaskowskiego przyjął inną strategię niż PiS, opartą na innych danych wyjściowych. Tym, co można mu zarzucić, jest to, że za wolno odnosił się do bieżących wydarzeń, które są najczęściej komentowane i budzą największe zainteresowanie. Pod tym względem sztaby Nawrockiego, Mentzena czy Zandberga były dużo sprawniejsze. A trzeba wiedzieć, że liczba negatywnych wzmianek dotyczących Rafała Trzaskowskiego w szczytowym momencie kampanii wynosiła 1:3, czyli na jedną wzmiankę pozytywną przypadały 3 negatywne.

Jakie z perspektywy mediów społecznościowych były w tej kampanii przełomowe momenty?

Były w zasadzie tylko trzy. Pierwszy i największy to debata w Końskich. Pierwszy raz w Polsce algorytm w mediach społecznościowych zadziałał przeciw duopolowi i zaczął promować mniejszych kandydatów. Przekaz związany z wydarzeniem wygenerował w internecie ponad miliard zasięgu. To był też najgorszy moment dla kampanii Trzaskowskiego, bo wówczas zebrał najwięcej negatywnych komentarzy.

Drugim takim game changerem była debata „Super Expressu", twarzą w twarz, gdy to sami kandydaci zadawali sobie pytania. Użytkownicy stwierdzili, że chcą oglądać tylko takie debaty, gdy kandydaci sami siebie orają bez tradycyjnych mediów albo z mediami wyłącznie jako sekundantami. I wreszcie, jako trzecie, wskazałbym piwo z Mentzenem po jego rozmowie z Trzaskowskim. To jedno zdjęcie zatwittowane przez Sikorskiego miało ponad 10 mln wyświetleń i wywołało chyba największy poziom chaosu i paniki po stronie Prawa i Sprawiedliwości. To dało bardzo dużo tlenu kampanii Trzaskowskiego.

W czasie kampanii regularnie pojawiały się obawy związane z tym, że różne siły z zagranicy będą próbowały wpływać na wynik naszych wyborów. Obserwowałeś takie działania?

To były pierwsze wybory, gdzie – nie nazwałbym tego interwencją – wtrącano się w naszą kampanię ze Wschodu i z Zachodu. Sporo kont, które wcześniej wspierały Donalda Trumpa, czy nawet osób, które są w jego administracji, dość intensywnie wspierało przekazy Mentzena, Nawrockiego czy środowisk bardziej konserwatywnych. Z drugiej strony było sporo straszenia, że polskie wojska zostaną wysłane na Ukrainę, oraz szczucia na Ukraińców. To jednak były działania dużej prorosyjskiej grupy, która od dawna istnieje w polskiej infosferze. Zasadniczo jednak nikt obcy wtrącać się do nas nie musiał. W wojnie polsko-polskiej mamy mistrzostwo Polski.

© Rozmawiali AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Tanie państwo dobrobytu

MAREK RABIJ

To jeden z nielicznych tematów odpornych na wojnę polsko-polską. W przekonaniu, że płacimy za wysokie podatki, jesteśmy zadziwiająco zgodni. Jak i w tym, że w zamian należy nam się państwo jak z żurnala.

Druga tura czeka na podsumowanie, ale listę tematów poruszanych najczęściej w social mediach przez kandydatów na prezydenta analitycy firmy Res Futura skompletowali już w połowie maja. Pierwsze miejsce przypadło krytyce rywali; taką tematykę miał blisko co trzeci z ponad pięciu tysięcy przeanalizowanych postów. Na drugiej pozycji uplasowały się apele o głosowanie (16,9 proc.). Podium zamykały sprawy kobiet i prawa reprodukcyjne, którym poświęcono 14,7 proc. zbadanych wpisów.

Podatki – ujęte zresztą jako fragment szerszej tematyki gospodarczej – znalazły się dopiero na miejscu ósmym (7,2 proc.), daleko za bezpieczeństwem granic i migracjami (12,5 proc.), edukacją i ochroną zdrowia (11,1 proc.) oraz polityką zagraniczną (8,3 proc.). Nieznacznie wyprzedził je nawet tak pozornie zgrany w Polsce temat jak obrona rodziny, religii i tradycyjnych wartości (7,6 proc.).

Do kompletu brak tu jeszcze jednej liczby – 83. W badaniu Polskiego Instytutu Ekonomicznego właśnie taki odsetek Polaków twierdził, że płaci za wysokie podatki. Dlaczego więc politycy sięgają po ten temat tak rzadko, skoro to tak ważny i tak często deklarowany problem? A może narzekając na wysokość podatków, w istocie skarżymy się na coś innego?

Stawki fantomowe

W zeszłym roku państwo polskie uzyskało z podatków blisko 550 mld zł. Najwięcej, bo aż 287,7 mld zł przyniósł już tradycyjnie VAT. Dalej był PIT, czyli podatek od osób fizycznych (97,6 mld zł), wpływy z akcyzy (90,3 mld zł) oraz CIT, który odprowadzają firmy (60,2 mld zł), i wreszcie pomniejsze daniny w rodzaju podatku Belki (10,55 mld zł). Przy wydatkach z budżetu zaplanowanych na 834,3 mld zł i łącznych wpływach do kasy państwa rzędu 624 mld zł oznaczało to deficyt ponad 210 mld zł, ale sama głębokość dziury budżetowej nie mówi za wiele o zachłanności polskiego fiskusa. Należałoby raczej porównać go z innymi.

OECD szacuje, że udział dochodów publicznych (czyli głównie podatków) do PKB oscyluje w Polsce na poziomie 42 proc. Pod tym względem jesteśmy więc niemal pośrodku stawki 38 rozwiniętych państw zrzeszonych w tej organizacji. Listę otwiera tu Norwegia, która zabiera w daninach niemal 60 proc. wartości wytworzonej przez jej gospodarkę. Gdyby w podobny sposób zmierzyć opresyjność polskiego systemu podatkowego, okaże się, że rodzimy fiskus jest mniej łapczywy chociażby od greckiego, włoskiego, węgierskiego, słowackiego czy portugalskiego, nie wspominając nawet o jego skandynawskich krewniakach lub sąsiedzie zza Odry. Co zatem boli nas w polskich podatkach, jeśli nie może chodzić o samą ich wysokość? To słowo jeszcze tu nie padło, ale musi. Mowa o nierównościach.

Progresja w degresji

Fakt, że nowoczesne podatki, obmyślane także jako narzędzie wyrównywania szans, są dziś w Polsce narzędziem do mrożenia mobilności społecznej, można uznać za ponury dowcip na 36-lecie państwa współtworzonego przez ludzi Solidarności. Obywatele nie muszą znać dokładnych danych i szczegółów opracowań ekonomistów. Czują to podskórnie: państwo polskie łupi biednych i faworyzuje zamożnych, jednocześnie utrzymując, że postępuje dokładnie na odwrót.

Te intuicje polskiej ulicy, które w 2015 roku walnie przyczyniły się do wyborczej wygranej PiS-u obiecującego poprawę losu najuboższym, kilka lat później potwierdził głośny artykuł dr. Jakuba Sawulskiego z SGH, który na liczbach wydobytych z resortu finansów pokazał prawdziwy charakter naszego systemu podatkowego. Niska kwota wolna, różnorodność form opodatkowania faworyzujących osoby zarabiające najlepiej, zryczałtowana wówczas składka zdrowotna dla prowadzących działalność gospodarczą – wszystko to razem sprawiało, że polski fiskus najbardziej dawał popalić tym, od których teoretycznie powinien chcieć najmniej, czyli zatrudnionym na umowę o pracę z pensją rzędu 10-50 tys. zł rocznie. Realne obciążenie zarobków podatkami i składkami na ZUS w ich przypadku sięgało aż 37 proc. pensji. Dla porównania, samozatrudnieni na kontraktach B2B z dochodami w tym samym przedziale od każdej wypłaty musieli oddać państwu 28,5 proc. W przypadku tych, którzy zarabiali od 100 do 200 tys. zł rocznie, obciążenie fiskalne płacy spadało do 26 proc.

Autor analizy dodatkowo zwracał uwagę na podatek VAT. Pracownik z pensją na poziomie 20 tys. zł miesięcznie raczej nie wyda jej co do grosza na rachunki i zakupy obłożone tym podatkiem. Najubożsi, żyjący od wypłaty do wypłaty, całe swoje dochody mają dodatkowo obciążone VAT-em, który płacą w sklepie. Dla najbiedniejszych 10 proc. polskiej populacji efektywne obciążenie podatkiem VAT wynosiło – jak szacował Sawulski – około 14 proc. Dla najbogatszego decyla – około 9 proc.

Publikacja obiła się na tyle szerokim echem, że zainicjowała pierwszą poważną debatę o polskim systemie podatkowym, który zmniejsza obciążenia wraz ze wzrostem dochodów. Zwolennicy tej degresywności podkreślali, że w ten sposób państwo zostawia bogatszym pienią-

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

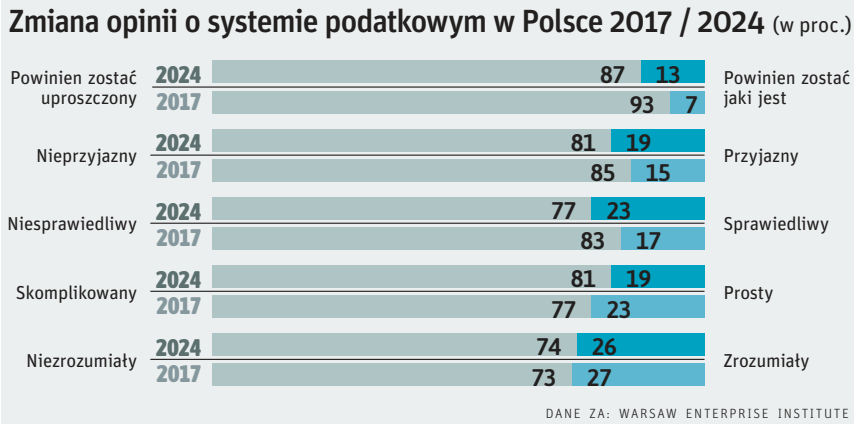

TP ONLINE

dze na inwestycje. Przeciwnicy przypominali, że większość wysoko rozwiniętych państw demokratycznych dociąża bardziej podatników wraz ze wzrostem ich zamożności, bo wyższe podatki przy wysokich zarobkach nie wiążą się ze spadkiem standardu życia. Dodawali też kąśliwie, że polski system podatkowy niezbyt skutecznie zachęca do inwestycji, skoro ich wielkość właśnie spadła do nienotowanego od lat poziomu.

Prawo i Sprawiedliwość poczuło, że czas na zmianę polskich reguł gry na bardziej progresywne, ale gdy na Polski Ład ogłoszony przez ekipę Morawieckiego spadła fala pretensji i krytyki różnych środowisk, cichaczem wycofało się z większości zmian. To, co zostało, złożyło się na dziwną hybrydę, która dawała ulgę najgorzej zarabiającym pracownikom etatowym, ale też faworyzowała podatkowo samozatrudnionych z zarobkami powyżej kilkunastu tysięcy złotych.

„Żadnych nowych podatków"

To niemal standardowe zagranie polskich rządzących w kwestiach podatkowych. W liczącej już 32 lata historii podatków osobistych PIT miała miejsca tylko jedna podwyżka stawek. Potem podatki już tylko obniżano i wprowadzono zmiany rozszczelniające system. Efekt? W Unii Europejskiej średni udział wpływów z podatku PIT do PKB wynosił w 2019 r. 7,9 proc., podczas gdy w Polsce nie przekroczył 5,4 proc.

Czy podatnicy tego chcą? Sądząc jedynie po wyniku, który w kampanii zrobili Sławomir Mentzen i Grzegorz Braun, można by powiedzieć, że istotnie tak. Konfederaci aż rwą się do taniego państwa, choć i tu w tej sprawie występuje rozpiętość poglądów. Umiarkowana frakcja Krzysztofa Bosaka łączy ten postulat z wymogiem równoważenia wpływów podatkowych z wydatkami państwa, podczas gdy środowisko Brauna chciałoby po prostu zastąpić podatek dochodowy pogłównem, czyli jedną daniną od każdego obywatela.

Rzecz w tym, że w kwestiach podatkowych Konfederacja ma na tle rywali do zaoferowania najwyżej większy radykalizm. Poza Lewicą, wszystkie partie w Polsce obiecują co najwyżej utrzymanie podatkowego *status quo*. W Polsce 2050 blisko Bosaka kroczy Ryszard Petru. PSL, który dziś pełni rolę strażnika interesów przemysłowego rolnictwa, na każdą wzmiankę o reformie systemu podatkowego reaguje ogłoszeniem końca polskiej wsi. Platforma Obywatelska szła z kolei do wyborów parlamentarnych z ostrą krytyką chaosu wywołanego przez Polski Ład, ale sama zgłosiła kilka chaotycznych punktowych zmian, które go tylko powiększają. PiS może by i chciał wrócić do pomysłu zwiększenia progresywności systemu podatkowego, ale na prawo od siebie ma Konfederatów.

Karol Nawrocki bez mrugnięcia okiem podpisał się więc pod punktem deklaracji Mentzena o wetowaniu nowych podatków, a w rzeczywistości idzie znacznie dalej od kandydata Konfederacji, bo w przeciwieństwie do niego nie widzi potrzeby jednoczesnego cięcia wydatków publicznych. W podatkowej arkadii Nawrockiego pieniądze np. na obniżkę stawki PIT do zera dla rodzin z dwójką i więcej dzieci zapewni dalsze uszczelnianie poboru VAT. W jaki sposób kandydat PiS chce jednak połączyć te dwa postulaty z trzecim, jakim jest kosztująca miliardy obniżka samej stawki VAT? To kolejna z wielu tajemnic Nawrockiego, o którą w dodatku nie pytał Rafał Trzaskowski, bo kandydat Koalicji co do zasady również nie chce „żadnych nowych podatków".

Wspólnym mianownikiem programów wszystkich ugrupowań poza Lewicą jest też kategoryczny sprzeciw wobec podatku katastralnego. Konfederacja widzi w nim ingerencję w „naturalną równowagę" polskiego rynku mieszkaniowego. Czego boją się w katastrze politycy pozostałych ugrupowań – właściwie nie wiadomo, gdyż debata o tym rozwiązaniu kończy się w Polsce rytualnym „nie, bo nie". Jednym z możliwych wyjaśnień tej zagadki może być także treść deklaracji majątkowych samych parlamentarzystów. Według stanu na koniec grudnia 2023 roku aż 73 posłów i posłanek tej kadencji miało co najmniej trzy nieruchomości mieszkaniowe. Łącznie wspomniana grupa dysponowała wówczas 102 domami i aż 174 mieszkaniami. Rekordzista, 51-letni Robert Kropiwnicki z KO, miał 11 lokali.

„Z naszych podatków"

W pewnym sensie polska klasa polityczna jest tu zakładnikiem własnych opowieści o „państwie z błota i patyków", które zostawili im poprzednicy. Rywalizując o głosy z pomocą takich argumentów, przedstawiciele dwóch głównych obozów partyjnych wbili wyborcom do głów przekonanie o chronicznej słabości naszych instytucji publicznych, w które nie warto już inwestować pieniędzy. W powszechnym wyobrażeniu mamy więc system ubezpieczeń społecznych, który lada dzień zbankrutuje. Ochronę zdrowia, do której nie sposób się dostać bez znajomości. Sądy, których wyroków można nie dożyć. Niedouczoną część nauczycielskiej kadry. Policję, która potyka się o własne pałki, i niewiele lepsze wojsko. A nad tym wszystkim, niczym duszące widmo, unosi się jeszcze niewydajna administracja utrzymywana „z naszych podatków", które zostaną przejedzone.

Ten opis jest karykaturalnym kolażem trafnych obserwacji i mocno przestrzelonych wyobrażeń. Nie sposób dziś bowiem zaprzeczyć, że opieka zdrowotna w Polska sama potrzebuje intensywnej terapii, a przeciążone sądy *de facto* przestają gwarantować obywatelom konstytucyjne ↦

↦ prawo do rozpatrzenia ich spraw „bez nieuzasadnionej zwłoki”. W tym samym zbiorze plasują się jednak także dane Eurostatu, z których wynika, że Polska jest dziś po Chorwacji i Litwie trzecim najbezpieczniejszym państwem UE, a ryzyko doświadczenia przestępstwa jest u nas statystycznie trzy razy mniejsze niż w Niemczech. Na bezpieczeństwo składa się oczywiście nie tylko praca organów ścigania, ale spokojne centra polskich miast i miasteczek świadczą, że policja radzi sobie jako tako z rzeczywistością. Praca nauczycieli również nie poddaje się łatwo ocenom. Polska szkoła na niektórych płaszczyznach nie dorasta do oczekiwań obywateli, ale ponadprzeciętnych wyników naszych uczniów w międzynarodowych testach kompetencyjnych też nie da się przecież oderwać od jakości nauczania.

Urzędy? Synonimem studni bez dna stał się Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Ten sam, któremu koszty bieżącej działalności pochłaniają co roku około 2-3 proc. zebranych składek i któremu za wzór gospodarności regularnie stawia się komercyjne towarzystwa ubezpieczeniowe, przejadające czasem i dziesięć razy więcej. W publicznym dyskursie cała administracja centralna od dawna jest uosobieniem niegospodarności. W badaniu przeprowadzonym w 2021 roku przez Polski Instytut Ekonomiczny prawie co trzeci respondent był przekonany, że to największy obszar wydatków państwa, choć na liście najkosztowniejszych do realizacji zadań państwa plasuje się w rzeczywistości dopiero na siódmej pozycji. Aż 79 proc. Polaków uważało, że wydatki na ten cel należy ściąć, bo zwiększenie finansowania nie poprawi wydajności.

Kraina marnotrawstwa

Te wyobrażenia stoją jednak w sprzeczności z analizami Eurostatu, które pokazują, że zbudowaliśmy po prostu państwo o wydolności adekwatnej do poniesionych na ten cel nakładów. Unijni statystycy w 2018 roku porównali efektywność administracji szczebla centralnego 28 krajów członkowskich, zestawiając ją z wydatkami na ten cel, ujętymi jako odsetek PKB. Badanie obejmowało m.in. pomiar efektywności wydawania pieniędzy publicznych, poziom cyfryzacji urzędów i szybkość reakcji na wnioski obywateli. Najwyżej oceniono urzędy i instytucje centralne Danii, Szwecji i Finlandii – czyli krajów wydających na ten cel najwięcej, bo odpowiednio 6, 7 i 8 proc. PKB. Polska w tym zestawieniu zajęła dopiero 17. miejsce. Nasze wydatki na państwo na szczeblu centralnym oscylowały w tym czasie na poziomie 4,2 proc. PKB.

Mieliśmy też jeden z najniższych w Europie wskaźników udziału sektora publicznego na rynku pracy, który wynosił 7 proc. dla pracowników administracji publicznej i 21 proc. – gdyby do tej grupy dodać także nauczycieli oraz zatrudnionych w służbie zdrowia. Pod tym względem słabiej od Polski wypadła jedynie Bułgaria, Rumunia oraz Czechy. W Danii podobnie liczony udział pracowników budżetówki w łącznym zatrudnieniu wyniósł aż 34 proc. Ale czy mogło być inaczej w sytuacji, gdy na pytanie, jak państwo polskie radzi sobie w roli dysponenta środków publicznych, co drugi Polak odpowiada, że władza je marnuje? Wśród respondentów, którym autorzy wspomnianego wyżej badania PIE prezentowali następnie dokładniejsze dane o takich wydatkach, odsetek podtrzymujących tak negatywną ocenę topniał jednak do 39 proc. A stąd już blisko do innego pytania – czy w ogóle wiemy, na czym polega finansowanie państwa?

Wspólnym mianownikiem programów wszystkich ugrupowań poza Lewicą **jest sprzeciw wobec podatku katastralnego.** Konfederacja widzi w nim ingerencję w „naturalną równowagę” rynku mieszkaniowego.

Nie wiemy. Jak pokazują wyniki cytowanej ankiety PIE, przeciętny Polak uważa, że emerytury i renty pochłaniają około 16 proc. wydatków publicznych. W rzeczywistości stanowią aż 34 proc. Administrację, która kosztuje państwo niespełna 5 proc., wyceniamy również na 16 proc. Ochronę środowiska – na 9 proc., choć faktycznie pochłania ona ledwie 3 proc. wydatków publicznych. Powszechne przekonanie o zbyt wysokich podatkach, jakimi rzekomo dociska nas państwo, łączymy też z równie silnym oczekiwaniem, że to samo państwo powinno bardziej angażować się w sprawy ważne dla obywateli – zwłaszcza w zapewnienie równego i darmowego dostępu do opieki zdrowotnej, wspieranie uboższych i zwalczanie nierówności oraz w rozwój gospodarczy. Marzy się nam więc klasyczne państwo w wersji minimum, gdy mowa o zobowiązaniach wobec niego, i zarazem rodzima odmiana skandynawskiego państwa dobrobytu – kiedy pada pytanie, na co powinniśmy liczyć w zamian.

Zdanie „płacę za wysokie podatki” należałoby więc odczytać na nowo. Za wysokie – owszem – ale w relacji do tych, które odprowadzają bogatsi rodacy. Rezydenci rajów podatkowych. Wysoko opłacani specjaliści na kontraktach B2B. Beneficjenci fundacji rodzinnych, które legalnie pozwalają zbić zobowiązania wobec fiskusa niemal do zera. Podatki wydają się nam „za wysokie” także w stosunku do wyobrażonej – nie prawdziwej – skali zadań, które ma do realizacji państwo. Gdy zaczynamy na nie spoglądać trzeźwo, urealniają się także oceny systemu podatkowego. Może więc czas obudzić się ze snu o tanim państwie i przyznać, że tanie rzadko znaczy dobre. ©℗ MAREK RABIJ

POŻEGNANIE

Drogiemu Przyjacielowi

Pawłowi Jasnowskiemu

wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci

Wspaniałego Taty i Człowieka

który odszedł 19 maja 2025 r.

Oddani Przyjaciele

OLGA

Drenda:
Papuga na trzy

„Oni tak specjalnie robią, żeby nikt nic nie usłyszał" – poirytowała się pani stojąca obok na peronie, gdy z głośnika zabrzmiał tradycyjnie niewyraźny komunikat. Zgodziłam się z nią w cichości ducha, bo też nigdy nie rozumiem ani słowa z ogłoszeń stacyjnych, choć założyłam, że to raczej ponury żarcik niż wymyślna teoria spiskowa. W moim przypadku zresztą też niespodziewany paradoks, bo ze względu na problemy z rozróżnianiem dźwięku od szumu przypadkowe strzępki cudzych wypowiedzi prawie nigdy nie wpadają mi w ucho. Można powiedzieć, że otrzymałam naturalny dar dyskrecji i dyskwalifikację do szpiegostwa – nawet jeśli uda mi się coś podsłuchać, to i tak zrozumiem z tego głównie „szszsz".

Oznacza to również, że choć dużo i często jeżdżę koleją, jestem całkowicie poza zasięgiem gatunku „anegdoty podróżnej", która napędzana jest wyraźnie, by pożyczyć sobie tytuł znakomitej książki Andrzeja Banacha, potrzebą egzotyki. Swego czasu były one modne: oto elokwentny człowiek jechał sobie pociągiem i dziwił się współpasażerom, bo też dziwnym trafem za każdym razem spotykały go domagające się zapisu cuda niewidy, wędrowni mędrcy, poeci, kłótnie godne „Sprawy dla reportera", przybysze z dalekich stron świata, biesiadnicy częstujący trunkami itp., przede wszystkim zaś wszyscy byli niesłychanie skłonni do interakcji ze współpasażerami. Nie wiem, gdzie można napotkać takie awanturnicze przygody, bo w pociągach, którymi ja podróżuję, czy są to Koleje Regionalne, czy ekspresy, jadą ludzie zmęczeni i żądni spokoju, którzy drzemią lub patrzą w swoje telefony. Najbardziej sensacyjnym zdarzeniem, jakie odnotowałam w trasie, był fakt, że pewien człowiek siedzący koło mnie zjadł na raz cały słoik ćwikły i faktycznie zapamiętałam to na długie lata.

Trudna krzyżówka

OLGA DRENDA

Ale ostatnio zauważyłam coś niespodziewanego. Czekało mnie kilka podróży różnymi połączeniami i pomiędzy różnymi miejscowościami. Trasy te scalił jednak pewien charakterystyczny rekwizyt. Za każdym razem ktoś niedaleko mnie, i zazwyczaj był to ktoś młody, z uwagą rozwiązywał krzyżówki.

Gdy zobaczyłam to za pierwszym razem, uznałam za sympatyczne, choć nietypowe. Krzyżówkowiczów w wieku szkolnym czy studenckim spotykałam jednak w każdym pociągu, zupełnie jakby brali udział w jakiejś zorganizowanej akcji. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że po prostu niezależnie od siebie odkryli nową rozrywkę. Może, znudzeni scrollowaniem, znaleźli coś, co zapewnia odprężenie, a zarazem to przyjemne uczucie skupienia, satysfakcji płynącej ze stopniowego rozwiązywania zagadki i, jak to niegdyś mawiano, łamania głowy.

Krzyżówki są wszechobecne, poczciwe i niedrogie. Dla wielu ludzi starszej daty to właśnie one, obok teleturniejów, były znakomitą drogą samokształcenia. Zapewniam, że nie ma mocnych na starszych krzyżówkowiczów, nawet jeśli nie mają matury. Krzyżówkowe broszurki wyglądają też zazwyczaj podobnie. Przy odrobinie determinacji samemu można nawet trafić na okładkę, jak Quebonafide czy Adelajda Truścińska. Można na nich polegać: z całą pewnością gdzieś wśród dwustu panoramicznych natrafimy na „krzyżówkową papugę" na trzy litery i „jacht Teligi" na cztery. Są zawsze z nami i zasada ich rozwiązywania zasadniczo się nie zmienia, choć oczywiście na ryzykantów czekają wirówki i moja osobista nemezis (za to specjalność mojej siostry), czyli jolki.

Przede wszystkim wymagają jednak, oprócz wydania kilku złotych, użycia zasobów, które i tak mamy w naszych głowach. To łączy je z zajęciami takimi jak spacery, domowa gimnastyka czy techniki relaksacyjne: niewielkim nakładem zyskujemy bardzo wiele, nie musząc korzystać z kosztownego instruktażu, kursu czy kupować specjalistycznego sprzętu. Jednocześnie zaspokajają potrzebę odprężenia, samodzielności, ale także pewnego sprytu. Może też dlatego zajęcia te bywają czasami niesprawiedliwie dyskredytowane, bo jak coś tak fajnego i pożytecznego zarazem, jak zdobywanie wiedzy ogólnej, może być tak niedrogie i dostępne od ręki?

W ogóle się nie dziwię kolejowym krzyżówkowiczom. Myślę, że mogę sobie wręcz wyobrazić doznanie „eureki", gdy uświadamiamy sobie, że coś tak przyjemnego znajdowało się cały czas w zasięgu ręki. To frajda, której można wręcz pozazdrościć. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

MALCZEWSKI W PODRÓŻY

W ZAMKU KRÓLEWSKIM NA WAWELU trwa wystawa „Jacek Malczewski w Anatolii". Rysunki artysty z kolekcji Lanckorońskich składają się na artystyczną kronikę wyprawy. Część prac – zwłaszcza tych o charakterze szkicowym – powstała zapewne w czasie trwania podróży w 1884 roku. Liczne noszą datę o rok późniejszą – artysta wykonywał je na podstawie szkiców, kończył rozpoczęte prace lub wykorzystywał fotografie i na ich podstawie odtwarzał miejsca i sytuacje sprzed kilku miesięcy. Prace artysty były bowiem przeznaczone na wystawę „artystycznych trofeów" – dzieł sztuki i ówczesnego rzemiosła, które Karol Lanckoroński przywiózł z dwóch wypraw: w latach 1882/1883 i 1884. Zanim powstała wawelska wystawa, dzieła Jacka Malczewskiego przeszły konserwację, która trwała od listopada 2024 roku.

Nie wiem do dziś, co mogło kierować ojcem, by zaprosić malarza do udziału jako gościa w ekspedycji archeologicznej do Pamfilii i Pizydii" – pisała Karolina Lanckorońska w 1995 roku na łamach „Tygodnika Powszechnego". I dodawała: „Nie wiem, kiedy i którędy poznał Malczewskiego mój ojciec". Ale Artysta i jego Mecenas znali się zapewne dużo wcześniej – Karol Lanckoroński musiał wiedzieć, że z powierzonego mu zadania malarz wywiąże się należycie. A zadanie to polegało zapewne na wykonywaniu na miejscu „szybkich szkiców interesujących krajobrazów lub typów" – tak bowiem Karol Lanckoroński definiował swoje oczekiwania wobec innego artysty – Leopolda Bary, uczestnika pierwszej wyprawy do południowo-zachodniej Turcji w październiku 1882 r.

PRZYGOTOWANIA

Na miejscu kupowano (lub wynajmowano) konie i muły. Ukształtowanie terenu wykluczało użycie wozów; przemieszczano się więc konno, czasem też pieszo, nierzadko pokonując wzniesienia i gęste zarośla czy przeprawiając się przez rzekę. Objuczone zwierzęta, które dźwigały cały ekwipunek, nie zawsze były w stanie podążać tam, dokąd można było dojechać konno. Kłopotów przysparzali także miejscowi pomocnicy, którzy często opóźniali marszrutę i nie chcieli się podejmować trudnych zadań. Lanckoroński tak opisuje podróż do Syrku 21 września 1884 roku: „O 7.30 rano, po długich przygotowaniach byliśmy wreszcie gotowi do podróży do Syrku, dawnego Selge (...). Kiedy przewodnik, który wczoraj obiecał wskazać bardzo obładowane zwierzęta, wyjaśnił, że przejście tą drogą ze zwierzętami jucznymi jest niemożliwe. Rozdzieliliśmy się więc (...). Nasza karawana była zbyt okazała. Zaptieh [tur. żandarm] jechał konno na przedzie, za nim podążało siedem zwierząt jucznych z dwoma poganiaczami idącymi pieszo i dwoma jadącymi na osłach, którzy jednak wkrótce zboczyli z drogi i pojawili się dopiero nazajutrz".

WIELOKULTUROWA ADALIA

Adalia – dawna stolica Pamfilii, założona w 150 r. p.n.e. przez króla Pergamonu Attalosa II (159–138 p.n.e.), liczyła w 1884 r. około 25 tys. mieszkańców. Był to wówczas jedyny tak duży port śródziemnomorski. Tutaj Malczewski szkicował, zapewne dla „śmiesznego wyrazu ust", wielbłądy, które, według opisów Lanckorońskiego, „obładowane worami i skrzyniami, ciągnęły w nieskończonych karawanach". Mieszkali tu obok siebie Grecy, Ormianie, Żydzi, Turcy i Arabowie. W porcie panował gwar i zgiełk, a tragarze i marynarze uwijali się wokół zawijających do portu statków.

Przybywających do Adalii urzekał malowniczy widok, opisany przez Lanckorońskiego: wywapienia wznoszące się na wysokość 30 m prostopadle do morza; na tym „naturalnym murze wznoszą się około zatoki inne pięknie zbudowane ręką ludzką mury okalające rozległe miasto, ponad które strzelają wysoko palmy i minarety", a w oddali majestatyczne góry Taurus. Artysta tak właśnie to namalował: wysokie, skaliste wybrzeże, fragment opasujących miasto bizantyńskich murów obronnych i łańcuch gór na horyzoncie. W łódce cumującej przy brzegu siedzą czterej członkowie ekspedycji, a Karol Lanckoroński stoi jeszcze na nabrzeżu, gdzie być może żegna się z przedstawicielem miejscowych władz. W postaci z turecka ubranego mężczyzny można się domyślać Turchana Beya, mutasarrifa Adalii.

PODRÓŻ TO WRAŻENIA

„Do naszego domu przyjeżdżamy jednocześnie z Hartlem, Malczewskim i Sokołowskim" – zapisał Lanckoroński 4 października. Wszyscy członkowie wyprawy byli więc już na miejscu. Kolejny zapis hrabiego: „Malczewski zrobił ładne rzeczy" oraz informacja o tym, że nazajutrz wybrał się „kolejny raz z malarzem do latarni", mogą świadczyć o tym, że artysta natychmiast zabrał się do pracy. W Adalii powstało stosunkowo dużo jego rysunków. Jednym z nich jest autoportret przy pracy – malarz rozłożył sztalugi w pobliżu „łuków po Hadryanie" i sportretował siebie na tle jednego z najważniejszych zabytków starożytnych Adalii: trójprzęsłowej bramy Hadriana, wzniesionej w 130 r. w celu upamiętnienia wizyty tegoż cesarza.

W Adalii wykonał Malczewski także rysunek wyobrażający członków wyprawy w rozmowie z mieszkańcami lub urzędnikami. Wskazówką do identyfikacji miejsca jest widoczna na drugim planie, z lewej strony, charakterystyczna sylwetka słynnego „żłobkowanego" minaretu Yivli, pochodzącego z czasów seldżuckiego sułtana Keykobada I (1219-1238). Inny rysunek przedstawia podwórze domu, na którym członkowie wyprawy spoglądają z drewnianej galerii na tłum żywo gestykulujących mężczyzn, zgromadzonych na schodach wiodących z podwórza na galerię. Także i ta scena rozgrywa się zapewne w Adalii, a Malczewski przedstawił opisany przez Lanckorońskiego „obszerny i wygodny dom, cały z drzewa, z galeryą na około podwórza biegnącą".

OBSERWACJE

Przedmiotem zainteresowania członków wyprawy były nie tylko starożytne ruiny i dawna sztuka, lecz także codzienne życie, zwyczaje i tradycje ówczesnych mieszkańców Anatolii, ich kultura i religia. 21 października Lanckoroński w towarzystwie mutasarrifa Turchana Beya zwiedzał „dwa meczety", a w dzienniku zanotował: „Wieczorem z Luschanem, Sokołowskim, Malczewskim u Hadgiego Alego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Partnerzy Zamku i Wystawy
Patroni Medialni
Radio Kraków
Radio Kraków Kultura
RZECZPOSPOLITA
rp.pl
DZIENNIK POLSKI
TVP 3 KRAKÓW
TVP KULTURA
SPOTKANIA Z ZABYTKAMI
Kraków Culture
TYGODNIK POWSZECHNY

ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU x2

Autoportret na tle Bramy Hadriana

Aspendos – widok obozu w nocy

Effendiego (...). Następnie turecka kawiarnia, teatr".

Być może do tej wizyty nawiązuje rysunek Jacka Malczewskiego przedstawiający wnętrze kawiarni (kafany), gdzie odbywa się przedstawienie tureckiego teatru ludowego zwanego orta oyunu („gra pośrodku"). Nie jest to jednak reporterski zapis konkretnej sytuacji – grupę trzech aktorów malarz skopiował bowiem z fotografii, którą wykonał Felix Luschan w Adalii w 1883 r. Malarz wiernie powtórzył pozę i kostium aktora grającego kobietę z zasłoniętą twarzą (role kobiece odtwarzali mężczyźni) oraz aktora z lewej strony, lekko pochylonego do przodu. Scenę, sfotografowaną przez Luschana na ulicy, Malczewski przeniósł do wnętrza, w którym wśród publiczności sportretował kilku członków wyprawy.

W TEATRZE CIENI

Z pobytem w Adalii łączy się, być może, także rysunek ukazujący turecki teatr cieni – w notatkach Karola Lanckorońskiego 7 października pojawia się zapis: „Kolacja z Whittalem i Cartezą. Następnie karagiös". Karagöz (karagiös) był jednym z dwóch (oprócz teatru lalek) rodzajów tureckich teatrów ludowych. Widowiska te, znane w Turcji od XVI wieku, odbywały się w pałacach, domach lub kawiarniach. Lalki cieniowe, wykonane z odpowiednio spreparowanej skóry zwierzęcej, która stawała się przezroczysta, wprawiane były w ruch za pomocą drążków przytwierdzonych od tyłu, tak że układały się prostopadle do specjalnie podświetlonego ekranu. Bohaterami improwizowanych przedstawień, swoistej komedii charakterów i sytuacji, były dwie postacie, reprezentujące odmienne typy i temperamenty: Hacivat – typ wykształconego mieszczanina oportunisty, operującego wytwornym językiem; i Karagöz – prosty, niewykształcony, ale wesoły człowiek z ludu. Tematem widowisk były aktualne wydarzenia, krytyka społeczna, popularne opowieści czy też parodia znanych osób.

W swoim rysunku Malczewski przedstawił niewielkie pomieszczenie ze sceną w głębi, obramioną udrapowaną i podświetloną od tyłu kotarą, na której widoczne są dwie lalki cieniowe. Linki, widoczne ponad nimi, to być może dowód na to, że malarz dokładnie nie wiedział, na czym polega ich animacja (drążki były bowiem dla widza niewidoczne), lub – wykonując rysunek dużo później – połączył dwa rodzaje przedstawień: teatr cieni z teatrem marionetek. Na podstawie własnoręcznych szkiców odtworzył zapewne publiczność – w niedużej, pustej sali siedzą wokół sceny nie tylko miejscowi widzowie, których wyróżniają nakrycia głowy (fezy), lecz także czterej członkowie ekspedycji. Karol Lanckoroński i Marian Sokołowski, ukazani z profilu, oglądają przedstawienie, Felix Luschan zwraca się natomiast w stronę widowni. Stojący mężczyzna trzymający w lewej ręce rozłożony szkicownik, w prawej ołówek i obserwujący scenę z widocznym zainteresowaniem to zapewne autoportret artysty szkicującego na żywo scenę, którą później dokładnie opracuje.

Dr Joanna Winiewicz-Wolska,
kuratorka wystawy, kustosz, kierownik Działu malarstwa w Zamku Królewskim na Wawelu

Zredagowany i skrócony fragment tekstu autorstwa dr Joanny Winiewicz-Wolskiej pochodzi z publikacji „Jacek Malczewski w Anatolii" wydanej przez Zamek Królewski w związku z otwarciem wystawy.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

STRATEGIA DZIĘCIOŁA

Agenci jednorazowego użytku, podpalenia, cyberataki: plejada narzędzi, którymi Rosja prowadzi działania dywersyjne przeciw krajom Europy, jest bogata. Przyjrzyjmy się jej.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

W jednym kraju dochodzi do podpalenia, w innym do ataku hakerskiego, jeszcze gdzie indziej do przerwy w dostępie do internetu. Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych w Waszyngtonie (CSIS) wyliczyło, że liczba aktów rosyjskiego sabotażu w Europie w latach 2022-23 zwiększyła się czterokrotnie, aby w roku 2024 ulec potrojeniu.

Z kolei dane organizacji Armed Conflict Location & Event Data wskazują, że od początku 2022 r. do kwietnia tego roku doszło w Europie do 190 wydarzeń, określanych eufemistycznie mianem „incydentów", a inspirowanych z Kremla.

Działania *de facto* wojenne, które na terenie Europy Zachodniej i Środkowej Rosja prowadzi przeciwko krajom z tej części kontynentu, toczą się pod progiem wojny klasycznej, otwartej, konwencjonalnej. Wielu ich nie zauważa. Mimo tego są jak najbardziej realne.

Wstrząsnąć morale

Na Holendrów ta wiadomość spadła jak grom z jasnego nieba. Hakerzy wykradli dane wszystkich pozostających w czynnej służbie policjantów: ich nazwiska, stanowiska, numery telefonów. Choć nie ma śladów świadczących o tym, że doszło również do wycieku danych operacyjnych, atak ten miał – wedle holenderskich mediów – „wstrząsnąć morale i poczuciem bezpieczeństwa" 65 tys. funkcjonariuszy.

To jednak tylko wierzchołek problemu. Wedle opublikowanego w zeszłym tygodniu wspólnego raportu holenderskich agencji wywiadowczych AIVD i MIVD, prawdziwym celem tego ataku były informacje dotyczące broni przesyłanej Ukrainie przez zachodnie państwa, a dane policjantów to „element poboczny", bo napastnicy chcieli „monitorować policyjne powiązania z logistyką wojskową".

Grupa hakerska, której nadano nazwę Laundry Bear, działa intensywnie od ponad roku, a ataki w Holandii są – wedle tamtejszych służb – częścią większej międzynarodowej operacji. Ta sama grupa nie dalej jak w kwietniu zaatakowała co najmniej 20 pracowników organizacji pozarządowych w Europie zaangażowanych w pomoc Ukrainie. Wysłano do nich fałszywe maile, rzekomo z zaproszeniem na Europejski Szczyt Obrony i Bezpieczeństwa. Napastnicy szukali informacji o zakupach i produkcji sprzętu wojskowego, jego komponentów i podwykonawców.

Grupa Laundry Bear nie działa sama. W ubiegłym miesiącu 21 rządowych agencji wywiadowczych i kontrwywiadowczych z Wielkiej Brytanii, Niemiec, Francji, Polski i innych krajów opublikowało ostrzeżenie przed działaniami jednostki cybernetycznej rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU nr 26165, znanej jako Fancy Bear. Prowadzi ona operacje wymierzone w kluczową infrastrukturę Zachodu, zwłaszcza w „niemal wszystkie rodzaje transportu: lotniczy, drogowy i kolejowy".

Departament specjalny

Na obrzeżach Moskwy, w rozległym kompleksie ze szkła i stali powszechnie nazywanym „Akwarium" znajduje się kwatera główna GRU. Rezyduje tu także utworzony dwa lata temu Departament Zadań Specjalnych, gdzie prawdopodobnie planowana jest większość działań przeciwko Europie.

Z raportu CSIS wynika, że trzon Departamentu stanowi kilka jednostek. Najbardziej znana to Centrum Szkolenia Specjalistów Wywiadu 161, zwane Centrum 161 (jednostka nr 29155). Istnieje od lat 60. XX w. i łączy specjalistów od wywiadu osobowego z siłami operacji specjalnych. Wysyła funkcjonariuszy do Europy w warunkach częściowej legalizacji, czyli z fikcyjną tożsamością umożliwiającą krótkotrwałe działania operacyjne.

To Centrum 161 odpowiada m.in. za nieudaną próbę zabójstwa Siergieja Skripala (funkcjonariusza rosyjskiego wywiadu, który przeszedł na stronę Brytyjczyków i mieszka w Wielkiej Brytanii), za próbę otrucia Aleksieja Nawalnego, finansowanie zamachów na siły zachodnie w Afganistanie czy próbę przewrotu w Czarnogórze w 2016 r.

Badania głębokowodne

Z kolei jednostka nr 54654, także wchodząca w skład Departamentu Zadań Specjalnych, zajmuje się budową sieci nielegalnych agentów działających w warunkach pełnej legalizacji. Rekrutuje osoby z doświadczeniem wojskowym albo cudzoziemców studiujących w Rosji. „Zatrudnia też kontraktorów poprzez firmy przykrywkowe, usuwa ich dane osobowe z rejestrów państwowych i umieszcza swoich oficerów w rosyjskich ministerstwach niezwiązanych z obroną lub w firmach prywatnych" – podaje CSIS.

W działaniach dywersyjnych Departamentu – zwłaszcza w operacjach cybernetycznych – uczestniczą także inne jednostki, jak nr 26165 (Fancy Bear).

W tych działaniach GRU jest wspierana przez inne instytucje „siłowe": Federalną Służbę Bezpieczeństwa, Służbę Wywiadu Zagranicznego czy Główny Zarząd Badań Głębokowodnych (ten operuje okrętami podwodnymi i statkami zdolnymi do działań sabotażowych).

Jak ich działania wyglądają w praktyce?

Jednorazówki

Ostatnio głośno jest o rosyjskich „agentach jednorazowego użytku" – zwykle mężczyznach w wieku 20-30 lat, rekrutowanych przez Telegram czy popularne gry online, czasem motywowanych ideologicznie, ale najczęściej działających po prostu dla pieniędzy. To oni odpowiadają za obserwacje obiektów wojskowych czy przemysłowych, za podpalenia i dostarczanie przesyłek, w których są ukryte ładunki wybuchowe.

Moskwa zaczęła ich wykorzystywać po tym, jak po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę w 2022 r. wydalono z Europy kilkuset rosyjskich oficerów wywiadu działających pod przykrywką dyplomatyczną. Autorzy raportu organizacji Horizon Intelligence stwierdzają, że nowa taktyka ma z perspektywy Kremla sporo zalet: „Pozwala oficerom GRU pozostawać w Rosji, ale prowadzić operacje w całej Europie; umożliwia prowadzenie operacji na dużą skalę niskim kosztem oraz umożliwia wiarygodne zaprzeczanie związkom z nimi".

A że nieprzeszkoleni „agenci jednorazowego użytku" popełniają błędy i dają się łatwo złapać, nie ma dla Rosjan znaczenia.

Zrekrutowane online „jednorazówki" to oczywiście nie jedyni „aktorzy niepaństwowi" (jak ich nazywają specjaliści) wykorzystywani przez Rosjan do prowadzenia działań poniżej progu wojny konwencjonalnej. Sięgają także po organizacje przestępcze. O ich sojuszu ze światem przestępczym informował niedawno Europol, podkreślając, że współpraca ↦

Pożar hali targowej przy ulicy Marywilskiej 44. Warszawa, 12 maja 2024 r.

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

↦ kryminalistów i rosyjskich służb pozwala im na „korzystanie nawzajem ze swoich zasobów, doświadczeń i ochrony w celu osiągania własnych celów”.

Siatka bułgarska

Dwa używane chryslery i mercedes viano miały od czasu do czasu przejeżdżać niedaleko amerykańskiej bazy Patch Barracks pod Stuttgartem. Tylko tyle. W samochodach zainstalowano urządzenia IMSI-catchers, które podszywają się pod stacje bazowe sieci komórkowych i przechwytują dane z telefonów znajdujących się w ich zasięgu. W Patch Barracks szkolono ponoć ukraińskich żołnierzy w obsłudze systemów obrony powietrznej Patriot. Ostatecznym celem miało być przekazanie rosyjskim służbom informacji pozwalających na zabicie operatorów i zniszczenie systemów.

Szpiegowskiej operacji pod Stuttgartem nigdy nie przeprowadzono, bo odpowiedzialna za nią siatka została rozbita tuż przed tym, jak wyruszyła z Wielkiej Brytanii do Niemiec. Z akt sądowych wynika, że sześciu Bułgarów nie tylko starannie zaplanowało tę akcję, ale również szpiegowało i planowało zamachy na co najmniej dwóch dziennikarzy, rosyjskiego śledczego na emigracji i na kazachskiego dysydenta.

Bułgarzy prowadzili też kampanie propagandowe oraz zamierzali dokonać prowokacji politycznej wymierzonej w Kazachstan. Nikt z tej grupy nie był w takich celach przeszkolony. Mimo to przez kilka lat prowadzili operacje w Hiszpanii, Niemczech, Austrii, na Węgrzech i w Czarnogórze. W marcu wszyscy usłyszeli wyroki skazujące.

Szpiegowscy kontraktorzy

Co w tej historii wydaje się najciekawsze, to fakt, iż proces ujawnił nietypową strukturę siatki. Zamiast klasycznego „pierścienia”, którym kierowałby doświadczony oficer wywiadu, układ przypominał relację zleceniodawca–podwykonawca, a w charakterze zleceniodawcy występowały GRU i FSB.

Alison Morgan, główna brytyjska prokuratorka prowadząca tę sprawę, wyjaśniała, że rosyjskie służby zapełniły w ten sposób „lukę rynkową”, jaka powstała po wydaleniu z Wielkiej Brytanii oficerów rosyjskich służb po próbie zabicia Skripala w 2018 r.

> Tak jak dzięcioł osłabia drzewo przez powtarzane uderzenia, tak hybrydowi agresorzy angażują się w ciągłe działania, **które prowadzą do erozji stabilności.**

W tym celu operacje na Wyspach zlecono „menedżerowi kontraktowemu”, Janowi Marsalkowi. To były dyrektor finansowego koncernu Wirecard, który po tym, jak firma upadła w 2020 r., ukrywa się najpewniej w Rosji.

Wiele wskazuje, że Marsalek sam zgłosił się do rosyjskich służb, i że występując jako łącznik z rosyjskimi zleceniodawcami, zwerbował w Wielkiej Brytanii „operacyjnego menedżera kraju”, a ten z kolei – jako swoich podwykonawców – znajomych, których nazywał „minionkami”. Morgan twierdzi, że razem funkcjonowali jako „szpiegowscy kontraktorzy”, realizując zamówienia Kremla i „aktywnie zabiegając o kolejne zlecenia”.

Tankowiec nad kablem

Kolejny front, gdzie Rosja jest aktywna, to Bałtyk. Tu jej główną bronią są stare tankowce. Tak zwana „flota cieni” początkowo transportowała objętą sankcjami rosyjską ropę. Potem jej zadania zaczęły się zmieniać, a Moskwa właśnie pokazała, jak daleko gotowa jest się posunąć.

Tankowiec „Jaguar” na estońskie wody terytorialne wpłynął 13 maja. Estońska marynarka próbowała przeprowadzić inspekcję jednostki, która cztery dni wcześniej straciła prawo do pływania pod banderą Gabonu. Kapitan nie zatrzymał się na wezwanie, a w okolicy zjawił się rosyjski myśliwiec Su-35, który wtargnął w estońską przestrzeń powietrzną. „Jaguar” dopłynął do portu w Primorsku bez kontroli. „Rosja po raz pierwszy sięgnęła po środki wojskowe w celu ochrony floty cieni” – podała estońska armia.

Floty, która coraz częściej świadczy nie tylko usługi transportowe. Należące do niej statki mają ostatnio częste „usterki”, które prowadzą do niszczenia podmorskich instalacji. Między październikiem 2023 r. a styczniem 2025 r. zerwanych zostało 11 biegnących po dnie Bałtyku światłowodów i kabli energetycznych oraz łączący Estonię z Finlandią gazociąg.

Jeśli statki, które to zrobiły, udało się ująć, ich kapitanowie twierdzili, że ciągnęli po dnie kotwice z powodu problemów technicznych lub... niekompetencji. Na taką „usterkę” zanosiło się też kilkanaście dni temu, gdy tankowiec „Sun” wykonywał podejrzane manewry w pobliżu łączącego Ustkę ze szwedzkim Karlshamn przewodu SwePol Link. Statek oddalił się, gdy zjawił się polski samolot patrolowy.

Doktryna Gierasimowa

Podpalenia centrów handlowych czy wysypisk śmieci, bazgranie na ścianach synagog antysemickich graffiti, malowanie gwiazd Dawida na murach arabskich dzielnic, by zasiać chaos i emocje: plejada sabotażowych narzędzi jest bogata.

Wiele z nich mogło doprowadzić do śmierci ludzi. I chodzi nie tylko o podpalenia, jak centrum handlowego Marywilska w maju 2024 r. Niemal dokładnie rok temu siedem razy z rzędu uszkadzano wodociągi w Finlandii; także ataki hakerskie w Danii i Francji miały sprawić, że milionom ludzi braknie wody w kranie.

Wojna, jaką w Europie przeciw krajom Europy Zachodniej i Środkowej toczy Rosja, często wymyka się uwadze opinii publicznej. Ale służby coraz sprawniej łączą incydenty, pozornie ze sobą niezwiązane.

Europol nazwał to „strategią dzięcioła”: „Incydenty początkowo traktowane jako odosobnione wydarzenia (...) są częścią szerszej strategii destabilizacji, obejmującej uporczywe, wycelowane i kumulujące się zakłócenia, a nie jeden decydujący atak. Tak jak dzięcioł z czasem osłabia drzewo przez powtarzane uderzenia, tak hybrydowi agresorzy angażują się w ciągłe, pozornie drobne działania, które prowadzą do erozji stabilności, bezpieczeństwa i zaufania w instytucje”.

Wszystko toczy się zgodnie z zaleceniami doktryny gen. Walerija Gierasimowa, szefa sztabu generalnego armii rosyjskiej, aby „punkt ciężkości stosowanych środków walki przesuwać w kierunku wykorzystania metod niemilitarnych”, i aby „środki militarne były wyłącznie ich uzupełnieniem, prowadząc przeciwnika do faktycznej utraty suwerenności bez zajmowania jego terytorium”.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

SOPHIE PARK / GETTY IMAGES

Protest studentów Harvardu przeciw polityce Trumpa. Massachusetts, 27 maja 2025 r.

Rodzynki, patrole i Harvard

MARTA ZDZIEBORSKA

Wielu Amerykanów ma już dość chaosu, jaki wytwarza stale Donald Trump. Inni stoją za nim murem. Pytamy mieszkańców kilku stanów, jak zmieniło się ich życie w ostatnich miesiącach.

Marcia Fernandes, emerytowana nauczycielka scenopisarstwa, nie musi wychodzić z domu, by doświadczyć skutków rządów Donalda Trumpa. W budynku, w którym mieszka – w 90-tysięcznym mieście Deerfield Beach na Florydzie – jeden z właścicieli sprzedał już mieszkanie. To emerytowany filmowiec z Kanady. Sprzedaż lokum planuje też inna kanadyjska para, dotąd traktująca Florydę jak drugi dom.

Marcia tłumaczy, że cała trójka nie chce mieć już nieruchomości w USA, bo jest oburzona groźbami aneksji Kanady i polityką celną Trumpa wobec ich kraju. – To nie tylko kwestia honoru, ale też ostrożny pragmatyzm – mówi Marcia. – Ludzie boją się, że w razie dalszego pogarszania się relacji USA–Kanada będą mieć problem z przekraczaniem granicy.

W jej bloku co piąte mieszkanie należy do Kanadyjczyków, zwanych tu *snow birds*, śnieżnymi ptakami – takimi, co na słonecznej Florydzie pomieszkują kilka miesięcy w roku.

Gdy ceny rosną

O polityce Trumpa przypomniał też Marcii remont po pożarze, który zniszczył łazienki w jednym pionie budynku. Wylicza, że w wyniku szarży celnej prezydenta w ostatnich tygodniach poszybowały koszty materiałów budowlanych, przez co mieszkańcy płacą za naprawę więcej, niż zakładał kosztorys.

– Majster opowiadał mi, że przez galopujące ceny kupił duży kontener i składuje tam materiały na zapas. Na wypadek, gdyby znów doszło do zawirowań związanych z cłami – opowiada Marcia, która zna kilku przedsiębiorców poturbowanych przez politykę Białego Domu.

Opowiada historię znajomego, który projektuje gry planszowe i produkuje je następnie w Chinach. Rozważa on zawieszenie działalności, bo trudno mu prowadzić biznes w tak niepewnych czasach.

Co prawda federalny sąd handlowy nakazał w minionym tygodniu zablokowanie większości ceł nałożonych przez Trumpa (uznając, że prezydent nie może decydować tu samodzielnie, bez Kongresu), jednak na razie zostały one utrzymane w mocy przez sąd apelacyjny, do którego odwołała się administracja.

Dla niektórych te ciągłe zawirowania mogą skończyć się bankructwem. Tego boi się cytowana przez telewizję CBS News Beth Benike: weteranka, dziś właścicielka firmy sprzedającej produkowane w Chinach sztućce dla dzieci. Kilka miesięcy temu wzięła pożyczkę na rozkręcenie działalności, częściowo pod zastaw domu. Jeśli Trump będzie szedł w zaparte w sprawie ceł i Benike nie będzie w stanie spłacać kredytu, grozi jej utrata dachu nad głową.

Patrole na ulicach

Katie Gillespie, 43-latka z Austin, takiego problemu nie ma. Choć marzyłaby, by mieć własny kąt, a nie pomieszkiwać z mężem i dwójką dzieci w domu jej ojca. Przy wysokich stopach procentowych nie ma szans na kredyt hipoteczny, a sytuacji tej nie pomogły zawirowania na giełdach po tym, jak w kwietniu Trump rozpętał wojnę handlową.

Skutki jego polityki Katie odczuwa też w pracy. Na jej stoisku z pieczywem i ciastami w sieci supermarketów H-E-B, popularnej w Teksasie, brakuje rodzynek, ↦

↦ do tej pory sprowadzanych z Turcji, a także opakowań plastikowych i aluminiowych.

– Nasze szefostwo traci pieniądze, bo od kilku tygodni do pieczenia chlebów i ciast korzystamy z małych opakowań z rodzynkami, dotąd sprzedawanych klientom supermarketu – opowiada Katie, dla której pierwsze miesiące rządów Trumpa to też zawirowania w grafiku. Od kwietnia bowiem w latynoskich dzielnicach Austin zwiększono patrole służb imigracyjnych (ICE), przez co część jej współpracowników boi się czasem iść do pracy.

– Jedna z koleżanek spóźniła się na pierwszą zmianę, bo wcześnie rano zatrzymał ją ubrany po cywilnemu agent ICE i sprawdzał, czy jest tu legalnie – mówi Katie. – Gdy nasiliły się kontrole, zdarzało się, że musiałam pracować za kilka osób, tak wielu pracowników zostało w domu. Innym z kolei zdarza się zostawać w markecie po godzinach, jeśli usłyszą od sąsiadów, że w ich okolicy kręcą się agenci.

Nie tylko gangsterzy

Katie opowiada historię Gwatemalki z piekarni, w której pracuje jej mąż. Aresztowano ją przy wejściu do szpitala po tym, jak zasłabła w pracy i zabrał ją ambulans. – Odtąd słuch po niej zaginął. Kontaktu nie ma z nią nawet jej siostra, która pracuje z moim mężem w piekarni.

Katie mówi, że jest wściekła na administrację Trumpa za zaostrzanie polityki migracyjnej i deportowanie ludzi bez procesu.

W ostatnich miesiącach głośno było o imigrantach oskarżanych o członkostwo w groźnym gangu Tren de Aragua: niektórzy trafili na krótki czas do bazy USA w Guantanamo na Kubie, inni zaś tkwią w więzieniu w Salwadorze, który zgodził się ich przyjąć w zamian za 6 mln dolarów od USA. Ale, jak widać, deportacje dotykają nie tylko przestępców.

Administracja Trumpa ma tymczasem kolejny pomysł: oferuje nielegalnym imigrantom tysiąc dolarów za dobrowolny wyjazd z USA. Pierwszy czarterowy lot z grupą 64 imigrantów z Hondurasu i Kolumbii wystartował z teksańskiego Houston w połowie maja.

Będę was obserwował

Za sprawą chaosu z ostatnich miesięcy Katie ostrożnie dawkuje sobie czytanie newsów. Tłumaczy, że musi dbać o swoją psychikę, bo w pierwszych tygodniach rządów Trumpa zaczęła mieć ataki paniki i problemy ze snem. Ze względu na niepewność, co przyniosą kolejne miesiące, zrezygnowała też z rodzinnego wyjazdu na wakacje.

Razem z mężem wolą oszczędzać pieniądze. Tym bardziej, że już teraz rosną ceny produktów w sklepach. Podwyżki niektórych artykułów, np. zabawek czy sprzętu elektronicznego, zapowiedziała sieć Walmart – największa sieć supermarketów w USA.

To rozwścieczyło Trumpa, który napisał w social mediach, że firma powinna wziąć na siebie koszty związane z podwyżką ceł na towary z innych krajów. „Będę was obserwował, podobnie jak wasi klienci!" – odgrażał się prezydent w połowie maja na Truth Social.

Katie Gillespie: – Trump zachowuje się, jakby był ponad prawem i mógł wymuszać na innych ciągłe ustępstwa. Jego rządy są znacznie bardziej niebezpieczne niż za pierwszej kadencji. Teraz ma za sobą przygotowaną ekipę, pragnącą nagiąć Amerykę do swojej wizji świata.

Uczelnie na celowniku

Realizując swoją agendę, Trump bierze na celownik także instytucje, uczelnie i kancelarie prawne zatrudniające lub reprezentujące jego wrogów. Po tym, jak nałożył na pierwsze kancelarie restrykcje, np. ograniczając im dostęp do budynków federalnych, część środowiska prawniczego podkuliła ogon. Dziewięć największych kancelarii w USA zgodziło się na darmowe usługi prawne w sprawach wskazanych przez administrację. Mają zrobić „przysługę" Trumpowi na kwotę niemal miliarda dolarów.

Przed Białym Domem ugiął się też Uniwersytet Columbia oskarżany o to, że nie chroni żydowskich studentów przed dyskryminacją. Zarzut taki – w związku z propalestyńskimi protestami na kampusach – usłyszały też inne uczelnie. W nadziei, że administracja odblokuje 400 mln dolarów funduszy federalnych dla Columbii, jej władze przystały na żądania, aby m.in. zakazać noszenia maseczek podczas demonstracji i zatrudnić dodatkowych ochroniarzy mających uprawnienia do aresztowania studentów.

Na wojenną ścieżkę z administracją Trumpa wszedł natomiast Uniwersytet Harvarda. Nie przystał na żądania i pozwał rząd USA, gdy ten zamroził mu fundusze w wysokości ponad 2 mld dolarów. Najnowszą odsłoną batalii jest ruch administracji, by zakazać Harvardowi przyjmowania zagranicznych studentów. Decyzja została zaskarżona i tymczasowo zablokowana przez sąd federalny.

Efekt mrożący

O sytuacji na Harvardzie, choć z nieco innej perspektywy, opowiada mi Puck, zatrudniona w działającym na tej uczelni teatrze American Repertory Theater.

Puck mówi, że ze względu na niepewną sytuację finansową władze uczelni wstrzymały zatrudnianie nowych pracowników. Aby Puck mogła jesienią dalej współpracować ze swoim zespołem teatralnym, szefostwo jednego z wydziałów Harvardu musi zatwierdzić jej kandydaturę jako „wyjątek" od restrykcji.

W ramach cięcia kosztów teatr otrzymał też polecenie, by okroić o połowę zespół odpowiadający latem za produkcję przedstawień. Puck obawia się o sytuację w branży, bo administracja Trumpa zaczęła obcinać granty federalne dla grup teatralnych w całym kraju.

O efekcie mrożącym, jaki wywołują rządy prezydenta, mówi mi też Arika, osoba niebinarna pracująca w administracji University of Michigan. Tłumaczy, że aby nie drażnić ludzi Trumpa, władze jej uczelni zakończyły program DEI, mający na celu wyrównywanie szans mniejszości etnicznych i seksualnych.

To program, który na prawicę w USA działa jak płachta na byka – jego krytycy argumentują, że DEI dyskryminuje białych Amerykanów. Już pierwszego dnia rządów Trump nakazał zakończenie takich programów w agencjach federalnych.

W efekcie nowych wytycznych instytucje, jak National Institutes of Health, wstrzymały finansowanie badań dotyczących m.in. tożsamości płciowej. W ten sposób granty straciło kilku znanych Arice naukowców na University of Michigan. W przypadku osób utrzymujących się wyłącznie z finansowania zewnętrznego, może to oznaczać utratę pracy.

Protest na ulicach

Frustracja wywołana decyzjami administracji Trumpa co kilka tygodni wylewa się na ulice podczas ogólnokrajo-

wych demonstracji. Organizują je aktywiści, związki zawodowe, a także niekiedy naukowcy. Na transparentach – od wschodniego do zachodniego wybrzeża USA – widać zwykle hasła przeciw polityce migracyjnej, cięciom w administracji federalnej i majstrowaniu przy świadczeniach socjalnych, takich jak program opieki zdrowotnej dla najbiedniejszych – Medicaid.

Ten ostatni temat jest ostatnio szczególnie gorący. Republikanie wzięli się za cięcia, by znaleźć środki na przedłużenie obniżki podatków, wprowadzonej za pierwszej prezydentury Trumpa. Projekt ustawy musi być jeszcze zatwierdzony przez Senat, który zapewne będzie debatował, czy utrzymać nowe restrykcje dotyczące Medicaid.

Gniew na reformy Trumpa przyciąga też Amerykanów na wiece Berniego Sandersa, niezależnego senatora z Vermont. Podczas serii protestów pod hasłem „*Fighting oligarchy*" (Zwalczając oligarchię) przestrzegał on, że USA dryfują w kierunku autorytaryzmu, a kontrolę nad nimi sprawuje garstka miliarderów. Sanders i wspierająca go kongresmenka z Partii Demokratycznej Alexandria Ocasio-Cortez są głównymi twarzami politycznego oporu przeciw Trumpowi.

Środki ostrożności

Ariki nie trzeba zachęcać do chodzenia na protesty. Mimo ostrego kursu administracji Trumpa wobec propalestyńskich aktywistów, Arika dalej angażuje się w takie inicjatywy. Ariki nie zabrakło też podczas organizowanych 5 kwietnia demonstracji pod hasłem „*Hands off!*" (Ręce precz!).

– To mój obowiązek. Kto ma protestować, jak nie ludzie, którzy mają biały kolor skóry i obywatelstwo USA? Jesteśmy mniej narażeni na reperkusje – przekonuje Arika. Ale dla pewności zachowuje dodatkowe środki ostrożności: z innymi aktywistami rozmawia na Signalu i unika wysyłania im esemesów.

Aby uniknąć problemów, zwleka też z wyrobieniem nowego paszportu. Na końcówce rządów Bidena w podaniu o dokument można było zaznaczyć „X" jako płeć. Teraz, po dojściu Trumpa do władzy, osoby niebinarne mają do wyboru płeć męską lub żeńską.

Arika: – Sprawa paszportu to nie największy problem świata, ale boli mnie, że Trump atakuje osoby transpłciowe.

ARCHIWUM PRYWATNE x3

MARCIA FERNANDES, emerytowana nauczycielka z Florydy: *„Trump mógłby doprowadzić kraj do bankructwa, a jego zwolennicy i tak by go popierali".*

KATIE GILLESPIE, sprzedawczyni z Austin: *„Prezydent zachowuje się, jakby był ponad prawem i mógł wymuszać na innych ciągłe ustępstwa".*

ARIKA LYCAN, urzędniczka z University of Michigan, bierze udział w protestach: *„Boję się, że Ameryka jest na drodze do dyktatury".*

Boję się, że zanim zorientujemy się, jak skutecznie stawić opór Trumpowi, będzie za późno. Że Ameryka jest na drodze do dyktatury.

Murem za Trumpem

Takiego rozwoju wypadków obawia się też Marcia z Florydy. Nie chodzi na protesty, ale wpłaca datki na kampanie wyborcze Demokratów, którzy jesienią 2026 r. spróbują odbić Republikanom kontrolę w Kongresie. Przelewy rzędu 20 dolarów od Marcii dostaje też senator Sanders.

– Musimy powstrzymać Trumpa – uważa Marcia. – On robi Amerykanom wodę z mózgu. Wystarczy spojrzeć na mojego brata. Popiera prezydenta i Republikanów, choć ci dobrali się właśnie do Medicaid i programu pomocy żywnościowej SNAP, dzięki któremu mój brat ma co jeść. Trump mógłby doprowadzić kraj do bankructwa, a i tak ludzie by go popierali.

Marcia po części ma rację: choć poparcie dla Trumpa w ostatnich miesiącach spadło z ponad 50 do ok. 45 proc., wciąż murem stoją za nim jego zwolennicy. Wśród nich jest Tom Kolano, 56-letni programista z Pittsburgha, którego polscy przodkowie przybyli do Stanów na początku XX w.

Tom tłumaczy, że popiera Trumpa, bo ten spełnia obietnice, walcząc z nielegalną imigracją i rzekomymi nadużyciami w rządzie federalnym. Tomowi nie przeszkadzają takie wypowiedzi prezydenta jak ta z kwietnia, gdy po nałożeniu ceł na cały świat drwił, że dzwonią do niego przedstawiciele wielu państw i „całują go po tyłku".

Po prostu musisz

– Jeśli popierasz Trumpa, to musisz zaakceptować, że czasem powie coś z grubej rury. Dla mnie liczy się przede wszystkim to, że on jest efektywny w swoich działaniach. Nie głosowałem na niego po to, żeby był miły – przekonuje Tom Kolano, który co prawda chętnie dzieli się poglądami politycznymi, ale na wszelki wypadek woli nie publikować swojego zdjęcia w tym tekście.

Żartuje, że nie chce mieć problemów, gdy latem przyjedzie w odwiedziny do Polski. Jak widać, w erze Trumpa strach zaczyna towarzyszyć Amerykanom z obu stron politycznej barykady.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Tekst ukończono 30 maja

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

Dwanaście milionów dziennie

MARIA WIŚNIEWSKA Z BRUKSELI

Shein i Temu budowały swój sukces w USA na sprzedaży bardzo tanich ubrań i produktów AGD. Cła Trumpa podważają ten model biznesowy. Czy uda im się przestawić na Europę?

Stoisko firmy Temu na targach mody w Hangzhou. Chiny, 5 grudnia 2024 r.

Dla amerykańskich konsumentów z pokolenia Z wojna handlowa z Chinami, wywołana ogromnymi cłami nałożonymi przez prezydenta Donalda Trumpa, to nie nagłówki portali medialnych. To ich rzeczywistość.

Pod koniec kwietnia Shein i Temu, dwie chińskie platformy internetowe, które w ostatnich latach zyskały ogromną popularność wśród młodych, ogłosiły – ku oburzeniu wielu – że podnoszą swoje ceny. Z dnia na dzień koszt niektórych towarów wzrósł 3- lub 4-krotnie. Sfrustrowani klienci chwycili za klawiatury, aby wyrazić na forach internetowych swój gniew na politykę nowego gospodarza Białego Domu.

„Miałam wszystkie te swetry w koszyku, bo jeszcze niedawno kosztowały 15-25 dolarów. Opadła mi szczęka, gdy zobaczyłam, że teraz kosztują 50-60 dolarów. Jak to??? Do diabła z Trumpem!!!" – pisała Amerykanka imieniem Shirley w jednym z wątków, które dotąd zrzeszały entuzjastów Shein.

PODWAŻONY MODEL | Chociaż w połowie maja dwie największe gospodarki świata dogadały się, aby tymczasowo zawiesić ogromne cła (dla Chin obniżono je ze 145 proc. do 30 proc., a dla USA ze 120 proc. do 10 proc.), nie wpłynęło to znacznie na spadek cen. Biznes nie chce ryzykować, skoro nie wiadomo, czy i kiedy Trump zdecyduje się na kolejną woltę.

Drugim problemem dla Shein i Temu w USA stała się decyzja administracji USA, która podważyła ich model sprzedażowy, opierający się na wysyłce bezpośrednio z chińskich fabryk do klientów w krajach docelowych. Pozwalało to na ominięcie pośredników, kosztów utrzymania magazynów, a w rezultacie na dalsze zbijanie cen.

Tymczasem z początkiem maja Waszyngton wycofał zasadę *de minimis*, zwalniającą z opłat celnych paczki, jeśli ich wartość nie przekracza 800 dolarów. Trump nazwał istniejące przepisy „oszustwem", godzącym w małe amerykańskie firmy. Wskazano też na zagrożenie ze strony przemytników, liczących, że pod nawałem małych paczek nie będzie można wykryć tych zawierających nielegalne substancje, jak fentanyl.

KLUCZ DO SUKCESU | Powstała w 2022 r., w ciągu zaledwie paru miesięcy firma Temu stała się jednym z głównych graczy na światowym rynku odzieży i akcesoriów domowych.

Ogromną popularność zdobyła też firma Shein, ta z nieco dłuższym stażem. Swoją ofertę skupia ona na ubraniach, zmieniając fasony w błyskawicznym tempie dyktowanym przez trendy na aplikacjach społecznościowych, takich jak TikTok. Obecnie platforma ta odpowiada za ok. 20 proc. sprzedaży *fast-fashion* na świecie (to więcej niż H&M i Zara razem wzięte). Statystyki wyglądają jeszcze korzystniej dla Chińczyków, gdyby wziąć pod uwagę jedynie zakupy internetowe, które powoli wypierają tradycyjne sklepy z ulic i centrów handlowych.

Kluczem sukcesu obu firm jest obietnica – jak głosi hasło kampanii handlowej Temu – „robienia zakupów jak miliarder". Klientów kuszą bardzo niskie ceny, wieczne promocje i ogrom oferty, dzięki której można tam znaleźć właściwie wszystko: od protezy zębowej (17,75 zł), przez formę do popularnej ostatnio „czekolady dubajskiej" (8,23 zł), po lampę w kształcie kury znoszącej jajko (32,25 zł).

KLIENCI | Niektórzy, w tym Donald Trump, ironizują, że zakupy na chińskich platformach to prosta droga do uzależnienia. Trump szydził, że tacy zakupoholicy są gotowi kupić od Chińczyków trzydzieści lalek zamiast dwóch.

Jednak wielu Amerykanom z mniej uprzywilejowanych środowisk i regionów – w tym tych stanowiących bastion Republikanów – platformy te dawały dotąd dostęp do produktów, które w innym wypadku były poza ich zasięgiem i w efekcie odczuwalnie poprawiały jakość ich życia.

„Jestem matką trójki dzieci, wynajmuję mieszkanie, które pochłania połowę naszych dochodów. Temu pozwala mi poczuć się jak część klasy średniej" – pisała na jednym z forów użytkowniczka imieniem Susan. Jednym z ostatnich jej zaku-

pów na stronie była szklarnia i sprzęt do ogrodnictwa, który chce wykorzystać, by zapewnić rodzinie świeżą żywność.

„Moi rodzice ciężko pracowali, żeby stworzyć nam dobre warunki do życia, dać mi wykształcenie itd., ale nie starczało pieniędzy na fajniejsze rzeczy. Dopiero teraz poczułam, że i ja mogę mieć coś lepszego" – pisała z kolei Maria, córka imigrantów z Meksyku.

NOWE STRATEGIE | W odpowiedzi na niepewność wokół ceł w USA, Temu i Shein próbują teraz przestawić swój model biznesowy, wysyłając coraz większą część swoich produktów z kilku magazynów w USA, zamiast bezpośrednio od producentów. Jednak taka nowa strategia będzie generować wyższe koszty, a i tak nie wyeliminuje problemu zwykłych ceł importowych, gdyż większość sklepów sprzedających za pośrednictwem Temu czy Shein mieści się w zagłębiach produkcyjnych na południu Chin.

Niezależnie więc od lojalności klienteli i prób utrzymania się na rynku USA przez zmianę modelu sprzedażowego, wygląda na to, że złota era dla Temu i Shein w Stanach dobiega końca (przynajmniej na razie). Stratedzy firm muszą się więc zastanawiać, jak zrekompensować potencjalną utratę tego rynku. Ich oczy w sposób oczywisty kierują się ku Europie: to 450 mln konsumentów mających pieniądze i wolny czas.

Analitycy rynku *e-commerce* już widzą pewne sygnały sugerujące, że taka zmiana się szykuje. Firma badająca dane cyfrowe SensorTower zauważyła, że w kwietniu Temu i Shein znacznie zwiększyły wydatki na reklamę we Francji, Włoszech i Wielkiej Brytanii.

Także na polskich stronach internetowych i w mediach społecznościowych zauważalnie zwiększa się ostatnio ilość ich reklam.

PUŁAPKI | Jeżeli ta strategia zadziała, będzie to zła wiadomość dla służb celnych w Europie. Podobnie jak do niedawna w USA, w Unii obowiązuje zasada *de minimis*: tutaj z opłat zwolnione są paczki, których wartość nie przekracza 150 euro. Tymczasem w 2024 r. do krajów Unii trafiło 4,6 mld tanich paczek, czyli 12 mln dziennie. To dwa razy więcej niż rok wcześniej i trzykrotność wolumenu z 2022 r. Ponad 90 proc. z nich pochodzi z Chin.

„Ogromny napływ paczek to zupełnie nowe wyzwanie pod względem kontroli i sprawdzania zgodności z unijnymi wymogami bezpieczeństwa" – oceniał w kwietniu Marosz Szefczovicz, unijny komisarz odpowiedzialny za handel.

Tymczasem organizacje konsumenckie alarmują, że produkty na Temu i Shein zawierają niebezpieczne komponenty szkodzące zdrowiu. W raporcie z kwietnia Federacja Konsumentów stwierdza, że ponad połowa przebadanych ubrań i akcesoriów zawierała metale ciężkie w stężeniach przekraczających dopuszczalne limity.

„Azjatyckie platformy sprzedażowe wkroczyły na europejski rynek *e-commerce*, oferując ceny na niespotykanie niskim poziomie. Jednak za tą atrakcyjnością może czyhać wiele pułapek, często związanych z bezpieczeństwem kupowanych produktów" – zwraca uwagę Federacja.

ROZWIĄZANIA | Unia reaguje, ale powoli. W lutym Komisja Europejska zaproponowała odejście od zwolnień z ceł dla tanich paczek, ale do zmiany tej raczej nie dojdzie przed rokiem 2028, na kiedy planowana jest szersza reforma polityki celnej Wspólnoty.

Z kolei pod koniec maja Bruksela zaproponowała wdrożenie szybszego rozwiązania: dwa euro opłaty manipulacyjnej za każdą paczkę z kraju trzeciego, której wartość nie przekracza progu celnego. „To tak naprawdę tylko rekompensata za pracę wykonywaną przez urzędników celnych" – mówił Szefczovicz, przedstawiając ten plan.

Organizacje konsumenckie uważają, że choć ta propozycja idzie w dobrą stronę, nie jest rzeczywistym rozwiązaniem problemu. – Uiszczenie opłaty manipulacyjnej przez platformy internetowe za wwożenie do Unii małych paczek mogłoby pomóc służbom celnym lepiej radzić sobie z przesyłkowym tsunami. Ale to nie rozwiąże wszystkich problemów – mówi „Tygodnikowi" Sylvia Maurer z Europejskiej Organizacji Konsumentów.

Jej zdaniem należy usunąć luki prawne i odpowiedzialność za legalność produktów nałożyć na platformy sprzedażowe. Służyć temu mogłoby pełniejsze wykorzystanie nowej unijnej ustawy o usługach cyfrowych (DSA), regulującej działalność tzw. bardzo dużych platform internetowych (tj. takich, które w Unii mają ponad 45 mln aktywnych użytkowników miesięcznie). Platformy te – do nich zaliczają się Temu i Shein – muszą stosować się do bardziej rygorystycznych obowiązków, w tym tych dotyczących praw konsumentów.

PODKOPYWANIE EUROPY | Komisja Europejska i kraje członkowskie Unii prowadzą już liczne postępowania przeciw Shein i Temu na mocy DSA. W ramach tych dochodzeń Shein otrzymała ostatnio listę nieprawidłowości do usunięcia. Jest wśród nich stosowanie presji na konsumentów przez odliczanie czasu do wygaśnięcia promocji, podczas gdy w rzeczywistości nie kończy się ona po zakończeniu odliczania. A także manipulowanie cenami, by wywołać u klientów wrażenie dużej obniżki.

– Nie spodziewam się wysokich kar dla Shein i Temu na początek. Ale Komisja Europejska ostatnio przyspiesza w egzekwowaniu przepisów cyfrowych, zarówno wobec chińskich, jak i amerykańskich platform, więc w dłuższej perspektywie może to stać się dla nich dużym problemem – mówi „Tygodnikowi" Aleksandra Wójtowicz, analityczka ds. cyfrowych z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

Sprawy nie można oddzielać od szerszego konfliktu, który od kilku lat drzemie na linii Pekin–Bruksela. Obawy Unii koncentrują się na nieuczciwych praktykach gospodarczych ze strony Chin, które podkopują konkurencyjność europejskiego przemysłu, a ten musi przestrzegać znacznie bardziej restrykcyjnych regulacji.

■■■

Powrót Trumpa do Białego Domu wzbudził spekulacje, że mogłoby dojść do nowego otwarcia w relacjach europejsko-chińskich. Budowanego na stabilności i przewidywalności, w kontrze do pełnej zakrętów polityki prezydenta USA.

Jednak kwestia Temu i Shein pokazuje, że może być trudno o taki obrót spraw. Oraz że Unia będzie powoli, ale konsekwentnie wzmacniać arsenał narzędzi do ochrony własnego rynku – zarówno przed Chinami, jak i Stanami. ©

Autorka jest sinolożką, mieszkała w Pekinie i na Tajwanie. Obecnie pracuje w dziale zagranicznym PAP.

COSTFOTO / GETTY IMAGES

Cywilny samochód w centrum miasta zniszczony przez drona sterowanego poprzez przewód optyczny. Pokrowsk, 8 marca 2025 r.

Siatka zabezpieczająca przed atakami rosyjskich dronów na „drodze życia" między Pokrowskiem a miejscowością Rodyńskie; tą drogą do miasta trafia dziś zaopatrzenie. 23 maja 2025 r.

Donbas topnieje

TEKST: ANTONINA PALARCZYK
Z POKROWSKA I KONSTANTYNÓWKI
ZDJĘCIA: JONASZ CHLEBOWSKI

Dopiero po zmroku, gdy milknie brzęczenie wszechobecnych dronów, na ulicach rozlega się huk gąsienic i szum terenówek. Żołnierze rotują się na pozycjach, ranni mogą być wiezieni do szpitali.

Przesuwają się w głąb obwodu donieckiego, powoli, ale codziennie. Przecięli już strategiczną drogę łączącą Pokrowsk i Konstantynówkę, osaczając oba miasta. Choć na mapie linia frontu wciąż ich nie sięgnęła, nie ma to takiego znaczenia jak inna linia, niewidzialna – ta, która wyznacza zasięg rosyjskich dronów kamikadze. Te sięgają nieraz ponad 20 km. Obszar kilku kilometrów od frontu – w minionej fazie wojny uznawany za relatywnie bezpieczny względem zerówki (tj. pozycji bojowych), dziś mogą okazać się równie zabójczy.

KILLZONE | Właśnie pas o szerokości 10-15 km wzdłuż linii frontu, który byłby bezwzględną *killzone* kontrolowaną przez drony, jest dziś wskazywany jako sposób na rosyjską ofensywę. Pomysł ten pojawił się jeszcze pod koniec 2023 r. – już wtedy użycie dronów przedefiniowało tę wojnę, choć daleko było do dzisiejszych realiów. Wtedy na czele armii Ukrainy stał Walerij Załużny, entuzjasta tej idei. Krótko przed utratą Awdijiwki, w lutym 2024 r., zastąpił go Ołeksandr Syrski, który zdawał się mieć mniej innowacyjne podejście.

Choć zaniechano ten projekt, niemal równocześnie z objęciem stanowiska przez Syrskiego powstał nowy rodzaj wojsk – Siły Systemów Bezzałogowych. Rok później, w lutym 2025 r., dowódcy jednostek uchodzących za najefektywniej wykorzystujące i rozwijające użycie dronów – pułki K-2, „Achilles", „Rarog", „Feniks" i 414. Brygada „Ptaki Madziara" – zostali zaangażowani w zainicjowany przez prezydenta Zełenskiego projekt pod nazwą

Zniszczony targ w centrum Pokrowska. 21 maja 2025 r.

„Linia dronów", mający zatrzymać Rosjan. Trudno stwierdzić, jak realizowane są dziś jego założenia.

KLATKI I SIECI | Za to zaraz po przekroczeniu granicy obwodu donieckiego można przekonać się, że Rosjanie najwyraźniej realizują podobne założenie. Drogi, wcześniej uchodzące za względnie bezpieczne, usłane są wrakami aut trafionych dronami FPV. Urządzenia REB (po polsku WRE; system walki radioelektronicznej), pozwalające zagłuszyć sygnał między dronem a jego operatorem, to teraz podstawowe wyposażenie każdego pojazdu – czy to czołg, terenówka czy ambulans.

Mijane na drogach samochody i czołgi coraz częściej dźwigają na sobie, prócz zagłuszarki, także klatkę wykonaną z metalowych prętów lub siatki – pozwala to minimalizować skutki uderzenia drona. Gdy Rosjanie jako pierwsi zaczęli wdrażać to rozwiązanie, ukraińska strona, bywało, kwitowała to śmiechem. Teraz wzdłuż strategicznych dróg do Pokrowska, Dobropola i Konstantynówki wyrastają również szeregi drewnianych słupów, nad którymi rozpina się sieci – to także rosyjskie pierwotnie rozwiązanie, obecnie powszechne po obu stronach.

KONSTACHA | Położona ok. 10 km od frontu, od czasu, gdy wyjechałam z niej na dobre w styczniu tego roku, Konstantynówka stała się jeszcze bardziej nieprzyjaznym miejscem – choć w tej okolicy Rosjanie nie zrobili znacznych postępów terenowych. Zaroiło się za to od ich dronów, zwykłych FPV i tych na światłowodzie, odpornych na zagłuszenie przez systemy WRE.

Schodząc z estakady obok dworca kolejowego, dawno rozwalonego, potykam się o cienką nić wiszącą na barierkach. Przyspieszam kroku, rozglądam się za jakimś daszkiem lub wyważonymi drzwiami dawno nieczynnego sklepu. Nie chcę się przekonać, czy ciche bzyczenie nad pustą ulicą to rosyjski dron węszący za celem.

Okolica Konstachy (jak miejscowi nazywają miasto) po tej stronie rzeki Krywyj Toreć i biegnących wzdłuż niej torów najbardziej doświadczyła rosyjskich bomb i ataków artylerii, stąd dawno już jest wymarła. Ale niewiele więcej ludzi można spotkać w innych dzielnicach. Kilku handlarzy wciąż zajmuje swoje stanowiska pod blaszanymi daszkami na bazarze w centrum (bazar był już trafiony kilka razy). Z rzadka przewinie się żołnierz o zmęczonej twarzy czy babuszka ciągnąca wózek-krawczuczkę.

Tutejsze centrum wszechświata – stacja benzynowa OKKO, przy drodze na Drużkiwkę – została zamknięta już dawno; jest obłożona paździerzem. Według znajomego żołnierza z batalionu „Donbas", jaki operuje na tym odcinku, rosyjskie drony upodobały sobie siadać na pobliskim wiadukcie, by nie marnować akumulatorów. Gdy jakiś samochód się zbliża, zlatują w jego stronę.

POKROWSK | Wciąż niezdobytą redutą jest Pokrowsk: niegdyś 60-tysięczne górnicze miasto, dziś morze ruin zamieszkane przez donbaskich Robinsonów. Według pokrowskiej administracji to dwa tysiące ludzi. Dla nich, cywilów, typowe jest poruszanie się środkiem ulicy, powolnym krokiem lub na rowerze, pozostanie głuchym na dobiegające z góry bzyczenie. Z kolei żołnierzy na ulicach za dnia nie widać niemal w ogóle. Rzadko ulicą przemknie zszarzały jeep, na maksymalnej prędkości i ze sterczącą na dachu anteną zagłuszacza.

Dopiero po zmroku, gdy milknie nieznośne brzęczenie (wysoka cena kamery noktowizyjnej sprawia, że aktywność dronów w nocy spada, choć nie do zera), rozlega się huk czołgowych gąsienic i szum terenówek. Żołnierze rotują się na pozycjach, ranni mogą być transportowani do punktu stabilizacyjnego. Nasila się też kanonada artylerii, uzupełniana głuchymi rąbnięciami bomb lotniczych, od których napina się skóra na karku. Choć to drony są na ustach wszystkich, nie one zmiotły z powierzchni kawał miasta otoczonego wianuszkiem kopalń, jakim kiedyś był Pokrowsk.

Pod rosyjską kontrolą jest dziś ok. 70 proc. obwodu donieckiego, a codziennie obszar ten trochę się zwiększa. Jeśli dodać tereny w zasięgu dronów – ten umowny pas *killzone*, gdzie Ukraińcy poruszają się z wielkim ryzykiem – skrawek wolnego Donbasu niknie w oczach. ©

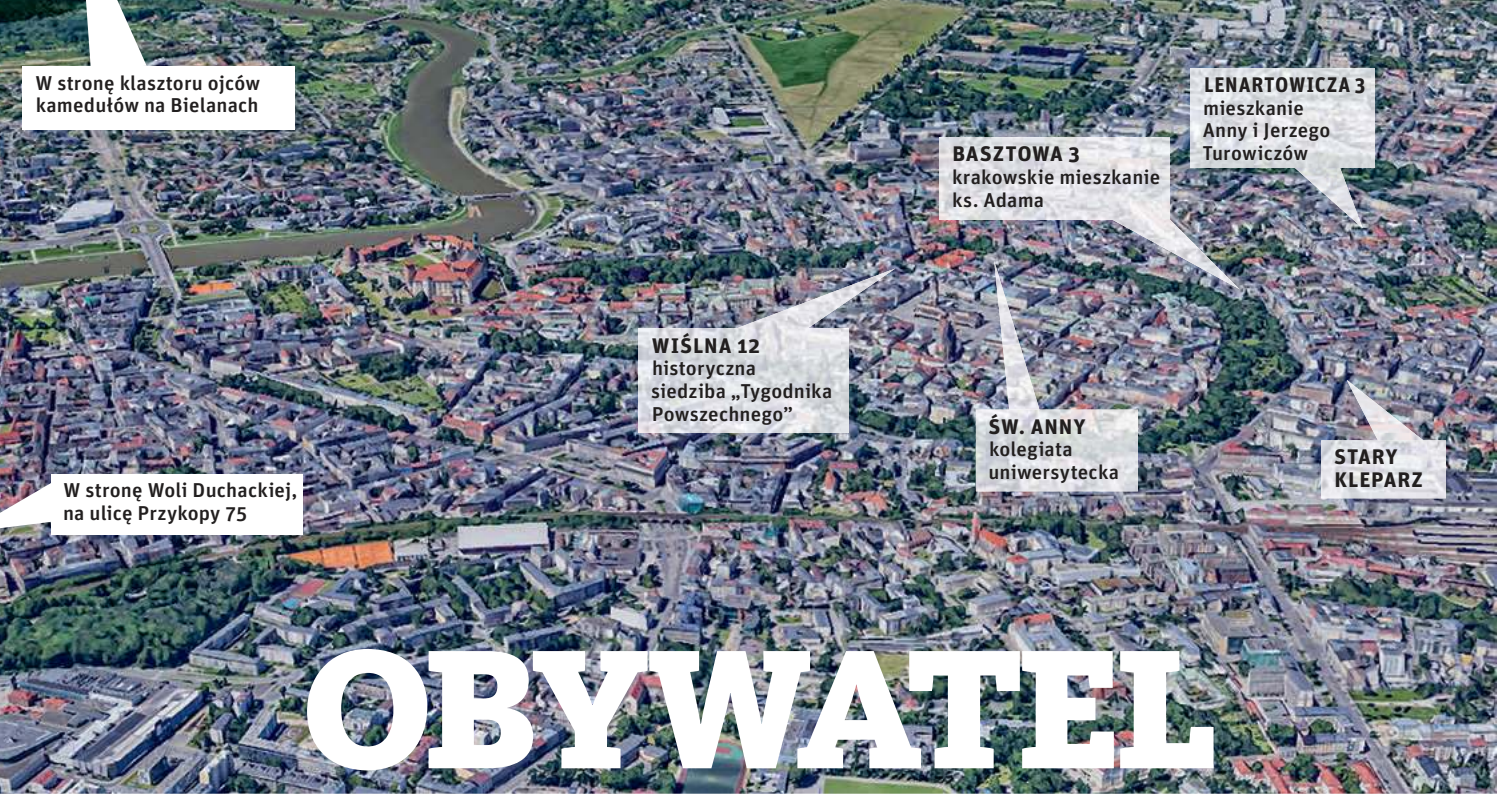

OBYWATEL BONIECKI

ANNA GOC, MARCIN TUSIŃSKI

Krakowscy radni przyznali ks. Adamowi Bonieckiemu tytuł Honorowego Obywatela Miasta Krakowa. Dobry moment, by zajrzeć do jego namiotów.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

Kiedy czuje się w domu?

„Wtedy gdy mogę zdjąć maski. Nie chodzi o maski obłudy, ale te związane z kulturą, konwenansem, także te, które nakładamy, będąc w gościnie, kiedy uważamy na to, co mówimy, bo nie chcemy nikogo dotknąć. Oczywiście kultura, delikatność zawsze obowiązują, ale w domu jest luz" – mówił w wywiadzie.

A innym razem: „Tam, gdzie rozbiję swój namiot, jestem w domu".

I jeszcze: „Trzeba mieć duszę koczownika. Rozstawiam namiot, jutro go zwijam, idę dalej... Wtedy nie da się mieć zbyt wielu rzeczy".

W Krakowie – mieście, do którego przeprowadził się w 1964 r. i z którego ciągle wyjeżdżał: do Paryża, Rzymu, Brazylii, wielu innych miejsc na świecie – rozstawił niejeden namiot.

Krakowscy radni przyznali ks. Adamowi Bonieckiemu tytuł Honorowego Obywatela Miasta Krakowa. Dobry moment, by zajrzeć w miejsca, które stały się jego domem.

1 Mieszkanie na Woli Duchackiej, ul. Przykopy 75

– Jaki jest plan? – pyta od razu, gdy podjeżdżamy pod ganek Domu Pomocy Społecznej, w którym teraz mieszka.

Anna Goc: – Może zaczniemy od Woli Duchackiej?

– Tak! Tam nie byłem od dawna.

– Pamięta ksiądz dokładny adres? – pyta Marcin Tusiński, ustawiając nawigację.

Ks. Adam Boniecki: – Przykopy 75.

– Jaki to był dom?

– Drewniany, w zakopiańskim stylu. Stał niedaleko cmentarza, wokół którego spacerowałem. W Zaduszki światła z grobów rozświetlały pokoje. Wynajmowałem tam poddasze. Mili właściciele, państwo Kumelowscy, w tygodniu zwykle nieobecni, wracali na weekendy – opowiada. – Raz przywieźli znalezionego gdzieś kota. Schował się od razu pod ławkę, ale gdy wszyscy wyjechali i w domu zrobiło się cicho, wyszedł do mnie. Nakarmiłem go, napoiłem, zaprzyjaźniliśmy się. Codziennie czekał na mój powrót przy furtce.

– Zabrałeś go, wyprowadzając się?

– Drewniany dom przyciągał w mroźne wieczory wszystkie myszy z okolicy. Wystarczyło zgasić światło, by usłyszeć szmer zjadanego papieru. Kot polował na myszy. Musiał się nimi zatruć, bo biedak umarł przy moim łóżku. Tędy? Pojechałbym prosto!

Marcin: – Też się zdziwiłem, że nawigacja tak nas prowadzi.

Ulica Przykopy jest wąską dróżką, zakończoną wjazdem na plac handlowy. Mijamy odrestaurowany dworek, prywatną przychodnię, nowe bloki. Drewnianego domu nie ma.

BOGUSŁAW SONIK, DZIAŁACZ OPOZYCJI W PRL: *Ks. Adama poznałem w 1977 r., gdy powstał Studencki Komitet Solidarności. Byliśmy młodą opozycją. Boniecki, starszy nieco od nas, okazał nam zainteresowanie i życzliwość. Chciał wiedzieć, kim jesteśmy, jak myślimy, dlaczego podejmujemy działalność. Chodziliśmy do „Tygodnika", by porozmawiać i dostać egzemplarz pisma, którego nie było wtedy w kioskach. W domu na Woli Duchackiej drukowaliśmy bibułę i ulotki. Kiedy lokal został zdekonspirowany, mieliśmy tam spotkania otwarte Towarzystwa Kursów Naukowych, m.in. z Antonim Macierewiczem, Jackiem Kuroniem i Adamem Michnikiem. Pamiętam, że to tam odbyła się dyskusja wokół książki „Kościół, lewica, dialog".*

UL. LENARTOWICZA 3, przed mieszkaniem Anny i Jerzego Turowiczów, 19 maja 2025 r.

GOOGLE EARTH / GEBCO LANDSAT / COPERNICUS

– Czy to jest Przykopy 75?

– Tak.

– Cholera, niczego tu już nie rozpoznaję. Nawet dróżek wokół cmentarza – mówi ks. Adam. – Zwykle podjeżdżałem samochodem z innej strony miasta.

Krążymy. Próbujemy objechać cmentarz. Pytamy. Drewnianego domu nikt nie pamięta.

Kilka dni później Ziemowit Pochitonow, syn współwłaścicielki, wyjaśnia zagadkę. Zbudowany z modrzewiowych bali w 1923 r. dom stoi na Woli Duchackiej do dziś. – Teraz, po zmianie nazw ulic, jest przy Dobczyckiej 1 – mówi.

Pochitonow wspomina, że gdy ks. Adam zajął w 1974 r. poddasze, on pomieszkiwał na parterze. – Od maja 1977 do domu przyjeżdżali studenci z duszpasterstwa i młodzi zaangażowani później w SKS i KOR. W czasie jednej z rewizji ubecy byli zdziwieni, gdy ks. Boniecki zszedł nagle na dół. Zapytali, skąd się wziął, bo obstawili wszystkie drzwi. Odpowiedział z uśmiechem, że wszedł przez komin.

I dodaje: – Boniecki ćwiczył na mnie kazania, pożyczał książki, których zawsze miał dużo, zwłaszcza prawie niedostępne w Polsce wydawnictwa paryskiej „Kultury". No i miał lepsze niż moja Jowita, chyba estońskie, radio, które nieźle zbierało fale „Wolnej Europy".

Anna: – Intensywny czas: KOR, SKS...

Ks. Boniecki: – Wojtek Onyszkiewicz zaprosił mnie do KOR. Miałem zgodę zakonnego przełożonego, ale Turowicz powiedział, że „wszyscy nie mogą robić wszystkiego". Byłem blisko tego środowiska: i w Krakowie, i w Warszawie. To byli ludzie, którzy próbowali coś robić w tym biernym świecie.

2 Uniwersytecka kolegiata św. Anny

Wracamy do centrum, samochód zostawimy przy ul. św. Anny. W zasięgu kilkuset metrów jest uniwersytecka kolegiata św. Anny, gdzie dwa razy w tygodniu spotykali się na mszy i konferencjach członkowie Duszpasterstwa Akademickiego św. Anny. Boniecki organizował im spotkania z intelektualistami, ale też mobilizował do działalności charytatywnej.

Wchodzimy do kościoła. – Mój konfesjonał – ks. Adam zatrzymuje się w bocznej nawie po prawej. – Po drugiej stronie spowiadał zwykle biskup Jan Pietraszko. Powiedział mi: bądź, czekaj, ludzie przyjdą.

Mijamy ołtarz boczny. – Tu odbywały się konferencje dla studentów. Jeśli się przedłużały, zakrystian, pan Antoni, ciskał kluczami i trzaskał szufladami – opowiada.

Z ulicy Św. Anny skręcamy w Jagiellońską, dochodzimy do Plant.

STANISŁAW KRACIK, WICEPREZYDENT KRAKOWA: *Duszpasterstwo było odkrywaniem nowego obrazu chrześcijaństwa. Adam uruchomił młodych do pomagania osobom z niepełnosprawnościami, samotnym, opuszczonym. Pokazał nam, że nie chodzi o klepanie paciorków. Zorganizował akcję „Mieszkanie dla Róży" – dziewczyny, która mieszkała w DPS-ie, w szesnastoosobowej sali i miała tylko maszynę do szycia. Dzięki składce studenckiej pomagaliśmy jej się przenieść do mieszkania, które Adam dla niej zorganizował. Dawał nam ciągle okazję do robienia dobrych uczynków.*

Marcin: – Jak się ksiądz czuje, gdy tak podróżujemy po czasach przeszłych?

– Ta podróż jest sentymentalna, ale nie gorzka. Mam z tych miejsc dobre wspomnienia. Dobrze mi się trafiło.

3 Historyczna siedziba redakcji „Tygodnika Powszechnego", ul. Wiślna 12

Gdy pierwszego dnia wszedł na Wiślną 12, miał wrażenie, że znalazł się w „krakowskim mieszkaniu, a nie w redakcji".

Był 1964 r. Od tamtej pory z reporterską pamięcią opisywał to miejsce i ludzi, ↦

MICHAŁ OKOŃSKI, REDAKTOR „TYGODNIKA”: *Zanim w 1999 r. odziedziczył gabinet naczelnego, w zasadzie nie miał w redakcji własnego miejsca. Na Wiślnej wchodził do tzw. środkowego pokoju, przysiadał byle gdzie, czytał teksty, rozmawiał. Większe rzeczy pisał wieczorami w domu, ale jak było trzeba skomentować coś na szybko, robił to bez żadnych ceregieli i najsprawniej z nas wszystkich. Zgodnie z tym, co mówił o duszy koczownika, nie urządzał przestrzeni wokół. Gdziekolwiek go odwiedzałem – także w Rzymie, gdzie urzędował jako generał marianów – mój wzrok przyciągało tylko zdjęcie jego mamy.*

U KAMEDUŁÓW NA BIELANACH, przed furtą do klasztoru, 19 maja 2025 r.

↦ którzy je tworzyli. Miękki głos Jerzego Turowicza i zawsze otwarte drzwi do jego gabinetu. Skupienie Jerzego Kołątaja, który na szkolnej tablicy rysował plan numeru. Powiedzonka, jak „cmentarzyk”, bo tak Władysław Bartoszewski nazywał swoją stałą rubrykę „Zmarli”. Rytuały: „Panie pułkowniku, to były żarty” – padające co jakiś czas w trakcie zebrania zdanie, które wypowiadający kierował w stronę ściany, bo wszyscy sądzili, że tam zamontowany jest podsłuch.

Stajemy przed wejściem do kamienicy. Tabliczki „Tygodnik Powszechny” nie zdjęto po tym, jak abp Marek Jędraszewski wypowiedział redakcji umowę najmu w kurialnej kamienicy.

Wchodzimy po skrzypiących schodach, zaglądamy do środka naszej dawnej siedziby przez dziurkę od klucza. Pusto.

– Co palisz? – pyta Marcina ks. Boniecki, gdy wychodzimy na ulicę.

Marcin: – Cygaretki.

– Okropne, ale coś palić trzeba.

4 Mieszkanie Anny i Jerzego Turowiczów, ul. Lenartowicza 3

Podjeżdżamy na Lenartowicza 3. Stajemy przed niską furtką, której wtedy – w latach 60., gdy ks. Boniecki tu mieszkał – nie było.

Odchylamy się lekko, by spojrzeć w okna na trzecim piętrze.

– Do Krakowa zaprosił mnie Wojtyła, ale nikt nie pomyślał, gdzie mam zamieszkać. Mieszkałem przez chwilę na Szewskiej, z innymi księżmi. Przydzielili mi przechodni pokój i rozpaczliwie szukałem innego lokum. Wtedy Turowicz zapytał, czy nie znam jakiegoś studenta, któremu mógłby wynająć pokój. Zaproponowałem nieśmiało siebie.

Stałymi bywalcami mieszkania byli studenci z Duszpasterstwa Akademickiego.

– Gdy przychodzili, pani Anna z Jerzym wycofywali się do pokoju w głąb. Ludzie siadali na paczkach ze związanych gazet, dziewczyny robiły w kuchni kanapki, gadaliśmy.

Marcin: – Jaki to był dom?

– Siadaliśmy w kuchni przy stole i czasem czytaliśmy wiersze do późnego wieczora. Wszyscy byli naturalni i serdeczni. Pani Anna mówiła na mnie „mały”. Jerzy przychodził czasem i pytał, czy nie mam książki, którą on też co prawda ma, ale nie pamięta gdzie. To była głęboka więź, która kształtowała się latami. Nadal jestem w przyjaźni z ich dziećmi: Elżbietą i Magdaleną, choć za rzadko się widujemy.

MARIA DE BARBARO, PSYCHOTERAPEUTKA: *Mieszkałam z Magdaleną, córką Turowiczów, z którą się przyjaźniłyśmy, w jej pokoju. Pani Anna wspaniale gotowała – proste posiłki w jej wykonaniu były wykwintne. Zapamiętałam jej portret Witkacego, cały w pajęczynach. Boniecki miał w domu Turowiczów swoje miejsce. To było jego terytorium w obrębie ich terytorium. Na środku pokoju stało biurko, przy ścianach regały z książkami. Miał zawsze ogromny ład. Kiedy odwiedzali go młodzi i robili bałagan, po ich wyjściu wszystko porządkował, ustawiał rzeczy na swoje miejsca. Natomiast łazienka była przestrzenią niewydzieloną. Nad wanną wisiały biustonosze, majtki, rajstopy. Adam żartował, że to test jego kapłaństwa.*

5 Stary Kleparz

Parkujemy przy parafii św. Floriana, gdzie ks. Adam odprawiał msze. Mężczyzna w budce parkingowej uśmiecha się, a gdy pytamy, ile się należy, odpowiada: „z Bogiem” i jeszcze: „ukłony dla księdza Adama”.

Deszcz uderza o plastikowe zadaszenia straganów. Przy stoisku z kapeluszami pani Zofia ściska ks. Adama i zaczyna opowiadać.

– Cieszę się, że ksiądz nas odwiedził. Nawet dzisiaj mówiłam mężowi: o, jaka szkoda, tak długo nie widziałam księdza Bonieckiego. Wie ksiądz, mieszkam

NA STARYM KLEPARZU, 22 maja 2025 r. Więcej zdjęć na stronie www.TygodnikPowszechny.pl

w Krakowie od pięćdziesięciu sześciu lat. Przyjechałam tu, gdy miałam czternaście. A teraz wyprowadziłam się poza miasto, do domu po rodzicach na wsi. I niech ksiądz zobaczy, ile się pozmieniało. Pełno obcokrajowców, wynajmują budki, sprzedają towary zagraniczne.

Ks. Boniecki: – Ale pani trwa.

– Pamięta ksiądz pana Andrzeja? Tego, który tu obok sprzedawał rzeczy z plastiku, talerzyki różne? Zmarł. Wielu ludzi zmarło, którzy tu pracowali. Modlę się za nich.

– Ma pani jeszcze czapeczki, jak kiedyś? – pyta ks. Adam, przymierzając plastikowy odlew kapelusza.

– Mam. I pamiętam, jak ksiądz je dawniej kupował, a potem ciągle gubił.

– Ksiądz przychodził tu po grejpfruty, chciałem się przywitać – mówi sprzedawca z kiosku prasowego i pokazuje jubileuszowe wydanie „Tygodnika Powszechnego" sprzed sześciu lat, wydane na 85. urodziny ks. Bonieckiego. – Jak zobaczyłem, że ma iść na makulaturę, wykupiłem wszystko – dodaje.

Burza mija. Wracamy z Kleparza.

– Wszystko się pozmieniało – mówi ks. Boniecki.

6 Mieszkanie przy ul. Basztowej 3

Brama jest otwarta, czyste podwórze, kręta klatka schodowa.

Obwieszony obrazami przedpokój. Kurpiowskie wycinanki, grafiki, zdjęcie wykutej w kamieniu przez Annę Grocholską drogi krzyżowej. Sporo tu karykatur, dwie oprawione okładki: „wSieci" i „Do rzeczy" z niepochlebnymi tekstami o Bonieckim.

W pokoju na wersalce, krzesłach i fotelach rozsypanych wokół dębowego biurka – pudła z zapiskami i listami. Popielniczka, wyciory do fajki i ulubiony tytoń Da Vinci. Na regałach książki: Tischnera, Tokarczuk, Vetulaniego, Pilcha, Ligockiej. W kącie pokoju rzeźba Matki Boskiej.

Marcin: – Cicho tutaj. Cisza jest ważna?

– Cisza jest bardzo ważna.

ANDRZEJ BARAŃSKI, PREZES HERBEWA: *Poznaliśmy się, gdy byłem studentem. Odszedłem od Kościoła, wiary. Dzięki Bonieckiemu wróciłem. Najpierw chodziłem na jego msze, potem do mieszkania Turowiczów. Adam mówił do nas zupełnie inaczej niż księża, których znałem. Czuło się, że nie jest urzędnikiem kościelnym, tylko człowiekiem Boga. I świetnym alpinistą. Gdy wyprowadzał się z krakowskiej parafii św. Floriana, zaproponowałem, by zamieszkał przy Basztowej, skąd miał blisko do redakcji.*

Marcin: – Na ciszę trzeba mieć odwagę, prawda?

– Na hałas też trzeba mieć odwagę. Zawsze trzeba mieć trochę odwagi. Dopóki człowiek nie wysiądzie na umyśle. Chociaż nawet wtedy trzeba.

Marcin: – Co ksiądz tutaj robi?

– Segreguję listy, które składałem przez lata. Chcę zostawić część z nich w redakcji. ↦

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 23/2025

TYGODNIK POWSZECHNY

REDAKCJA: Anna Goc, Marcin Tusiński
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Andrzej Leśniak
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska

PARTNERZY WYDANIA

Kraków GDAŃSK mpec kraków Pekao TFI Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

↦ Osobistych zostawić nie mogę, więc je przeglądam i wyrzucam. Wszystkie są mi bliskie, ale każdy inaczej. Są ludzie, którzy pisali do mnie, choć ich nie znałem. Listy tych, którzy nie żyją.

Marcin: – To trochę sentymentalne?

– Ani nie sentymentalne, ani nie intelektualne. To rachunek sumienia, zwłaszcza wobec tych nieodpisanych listów. Należałoby usiąść i napisać dłuższą wiadomość do tych ludzi.

7 Klasztor kamedułów na Bielanach

Opisał to miejsce w jednym z tekstów na Boże Narodzenie.

„Wieże kościoła i kawałek dachu są doskonale widoczne z daleka, stąd widać tylko ślepą ścianę i bramę. Szarpnięcie za sznur dzwonka i z okienka w bramie głos pytający (głos słychać, osoby nie widać), kto przychodzi i po co. Jestem umówiony, wystarczy nazwisko. Wtedy się zjawia brodaty zakonnik w białym habicie. Otwiera bramę. Wjeżdżam na porośnięty trawą przestronny plac przed zamkniętym na głucho kościołem".

Tym razem parkujemy poza murami i wspinamy się na Srebrną Górę. Czekamy pod drewnianą bramą. Szarpiemy za sznur dzwonka, w końcu drzwi uchylają się, biały habit i długa broda zakonnika są widoczne tylko przez ułamek sekundy.

Za bramę wchodzą ks. Adam i Marcin, kobiety mogą tylko w wybrane dni, dwanaście razy w roku.

Zakonnik wita się z ks. Bonieckim serdecznie, jakby mieszkali razem od zawsze. Stają przed fasadą kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Dzień jest deszczowy, światło miękkie. Widać Beskidy.

Marcin: – Zazdroszczę im tego widoku.

Ks. Adam: – Ludzie, którzy są tu zamknięci przez całe życie, przyzwyczają się do niego. To trudne, wielu rezygnuje.

W świątyni jest półmrok. Ks. Adam prosi o chwilę. – Teraz się pomodlimy – mówi. Milczy. Potem wspomina nocne odmawianie brewiarza z mnichami. Przez wiele lat to było jego miejsce rekolekcji.

„Rekolekcje w kamedulskim eremie to jak wyjście na pustynię" – pisał w „Tygodniku".

Marcin: – Co to znaczy: modlić się?

– Modlitwa jest obcowaniem z Bogiem, bez słów. W tym jednym słowie zawiera się wiele stanów. Może być modlitwa człowieka, który stracił wiarę. Modlitwa świętego, który modli się gorąco. Poczucie obecności Boga. Poczucie nieobecności Boga. Dla mnie modlitwa to coraz mniej słów, a więcej miejsca na przeżywanie Boga.

Zatrzymujemy się nad kamienną tablicą, wmurowaną w podłogę kościoła. – „*Domine noli me condemnare*" – mówi cicho ks. Adam. – „Panie, nie chciej mnie potępić".

– Przyjeżdżam tutaj, żeby zastanowić się nad swoim życiem i nad swoją śmiercią – mówi, gdy wracają. Bycie tutaj było mi potrzebne. – Wracałem stąd, jakbym wracał z innego świata.

©℗ ANNA GOC, MARCIN TUSIŃSKI

MATERIAŁ PARTNERA

Autorytet przez bardzo duże A

MAGDA STAROWIEYSKA

Jesienią ubiegłego roku, w 10. rocznicę otwarcia wystawy stałej, miałem zaszczyt wręczyć księdzu Adamowi Bonieckiemu pierwszą w historii Nagrodę Specjalną Kultura i Media. Choć formalnie to nagroda dyrektora, stał za nią cały zespół Muzeum POLIN.

Bo to właśnie tutaj, w sercu warszawskiego Muranowa, od lat świętujemy premiery kolejnych książek księdza Adama i wsłuchujemy się w to, co ma nam do przekazania. Te wyjątkowe autorskie spotkania zawsze przyciągają tłumy, a po autograf bohatera wieczoru za każdym razem ustawia się długa kolejka oczekujących.

Nic dziwnego, bo przecież trudno we współczesnym świecie znaleźć drugą osobę, która od kilkudziesięciu lat szerzy uniwersalne i ponadczasowe wartości oraz ma niezwykły dar budowania szacunku wobec drugiego człowieka i jego poglądów. Taką, która posiada umiejętność patrzenia w głąb, poruszania najcieńszych strun, zmuszania nas do refleksji i weryfikacji własnych sądów. I taką, która uczy otwartości i zrozumienia, będąc dla nas autorytetem przez bardzo duże A.

Z nagród i wyróżnień dumni są zwykle ich zdobywcy. W przypadku księdza Adama jest odwrotnie – to zaszczyt dla Muzeum POLIN oraz Miasta Krakowa mieć w swoim gronie tak wyjątkowego laureata i honorowego obywatela.

Zygmunt Stępiński
Dyrektor Muzeum POLIN

Konkurs Nagroda POLIN zostanie ogłoszony w lipcu. Szukajcie informacji na www.polin.pl/nagroda

PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ALEKSANDER MISZALSKI

Ksiądz
Adam Boniecki

Wielebny Księże Redaktorze,

Z radością i wdzięcznością przyjąłem wiadomość o przyznaniu Księdzu przez Radnych Miasta Krakowa tytułu Honorowego Obywatela Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa. Dołącza Ksiądz tym samym do grona wybitnych postaci związanych z naszym miastem i uhonorowanych tym tytułem, takich jak m.in. ks. kardynał Adam Stefan Sapieha, Marszałek Józef Piłsudski, czy w ostatnich dekadach Czesław Miłosz i Wisława Szymborska.

Rok temu, przy okazji obchodów 90. rocznicy urodzin, przyjaciele i mieszkańcy Krakowa podarowali Księdzu w prezencie cedr libański, który został zasadzony na Plantach, w sąsiedztwie kolegiaty św. Anny – tam, gdzie po przybyciu do Krakowa, dzięki przychylności kard. Karola Wojtyły, pełnił Ksiądz rolę duszpasterza akademickiego. Podczas uroczystości podkreślano, że cedr to silne drzewo, świetnie radzące sobie z przeciwnościami. Mówiono: „Kraków potrzebuje drzew, odwagi, empatii, tego wszystkiego, co uosabia ksiądz Adam Boniecki". Dzisiaj nie sposób nie powtórzyć, a wręcz jeszcze mocniej podkreślić tych słów. Tak, potrzebujemy – my, krakowianie, Polacy właśnie takiego spojrzenia na świat, takiej mądrości i odwagi w wyrażaniu poglądów, otwartości i autentyczności okazywanej każdemu, zaangażowania w najważniejsze wydarzenia nie tylko Kościoła, ale Krakowa i Polski. Dziękujemy za Księdza dokonania w każdej dziedzinie życia – duchowej, kulturalnej, dziennikarskiej oraz publicznej.

W jednym z wywiadów mówił Ksiądz Redaktor: „trzeba mieć duszę koczownika. Rozstawiam namiot, jutro go zwijam, idę dalej...". Ten „namiot" rozstawiony przez Księdza w Krakowie, to już solidna, można powiedzieć – niezniszczalna konstrukcja, wszak „Tygodnik Powszechny" ma ponad osiemdziesiąt lat. Oby nadal rozbrzmiewał z niego Księdza głos mądrości i rozsądku. Pozostaję z nadzieją, że będzie słyszany i słuchany w debacie publicznej.

Z wyrazami głębokiego szacunku

WIARA

DUCH, WIATR I ODDECH

W Zesłanie Ducha Świętego warto cieszyć się otwartością na nieustannie zmienną, nieuchwytną rzeczywistość – takim się staje Bóg i takimi nas tworzy.

PIOTR SIKORA

Wiele znaków na niebie i ziemi, liczne nagłówki w internetowych portalach i wpisy w mediach społecznościowych rozpowszechniają wieść: oto nadchodzi koniec świata, jaki znamy. Zmienia się radykalnie układ sił w światowej polityce, znikają granice tego, co nie przystoi ludziom kandydującym na najważniejsze państwowe urzędy, zaciera się różnica między świadomą osobą a sztucznym narzędziem pozbawionym inteligencji (i woli).

Jednocześnie ujawnia się wyraźniej nasza głęboko zakorzeniona potrzeba stabilizacji, bezpiecznego zadomowienia się w tym, co znane, oswojone. Potrzeba, by to, co ważne, nie przemijało i nie zaskakiwało nas jutro (albo już za chwilę) nagłą zmianą. Zapewne dlatego w naszych płynnych, ponowoczesnych czasach można zauważyć wzrost popularności ruchów konserwatywnych, które często odwołują się do tradycji religijnych: tych miejsc w kulturze, które sięgają korzeniami nie tylko w głąb historii, lecz dalej – w sferę boską, absolutną, a więc (mamy nadzieję) niezmienną.

Nie w świątyni, a w Duchu

A jednak uroczystość Zesłania Ducha Świętego, kończąca w liturgii katolickiej okres wielkanocny, pokazuje, że w chrześcijaństwie płynie bardzo głęboki nurt, który podmywa obraz religii jako zabezpieczenia potrzeby niezmienności, trwałej tożsamości i bezpieczeństwa ↦

ANDRZEJ ARTUR MROCZEK / FOTONOVA / EAST NEWS

↦ zapewnianego przez stałe struktury. Natchnionym znakiem, który wskazuje na Źródło tego nurtu, jest m.in. Ewangelia Jana.

Przypomnijmy sobie zapisaną w czwartym rozdziale tej księgi historię spotkania Jezusa i kobiety z Samarii. Początkiem rozmowy jest wyrażona w upalne południe prośba Jezusa o wodę ze studni – prośba, która choć na naturalnym poziomie zrozumiała i uzasadniona, przekracza utrwalone w tradycji granice religijnej tożsamości rozmówców: „Jakżeż Ty, będąc Żydem, prosisz mnie, Samarytankę, o wodę?" – pyta kobieta, a ewangelista wyjaśnia: „Żydzi i Samarytanie unikają bowiem wzajemnych kontaktów" (J 4, 9). Lecz rozmowa toczy się dalej. W pewnym momencie Jezus daje znać, że zna historię życia („miałaś pięciu mężów") i najgłębsze pragnienie Samarytanki. Ona wówczas odkrywa w sobie napięcie pomiędzy przejętymi z tradycji granicami tożsamości a bezpośrednim doświadczeniem: „Rzekła do Niego kobieta: »Panie, widzę, że jesteś prorokiem. Ojcowie nasi sprawowali kult na tej górze, a wy mówicie, że w Jerozolimie jest miejsce, gdzie należy sprawować kult«" (J 4, 19-20).

Wyrażenie przez kobietę odkrytej w sobie sprzeczności prowokuje Jezusa do kluczowej odpowiedzi: „Wierz Mi, kobieto, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie czcili Ojca. Wy czcicie to, czego nie znacie, my czcimy to, co znamy, ponieważ zbawienie bierze początek od Żydów. Nadchodzi jednak godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu/wietrze/oddechu i prawdzie, a takich to czcicieli chce mieć Ojciec. Bóg jest Duchem/wiatrem/oddechem: potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu/wietrze/oddechu i prawdzie" (J 4, 21-24).

Jezus mówi tu wyraźnie nie tylko o końcu zewnętrznego kultu – czy to w świątyni jerozolimskiej, czy na górze Garizim. Wskazuje też jedyne „miejsce" (które w istocie nie ma żadnej konkretnej „lokalizacji"), w którym można właściwe czcić Boga, oraz najgłębszy powód, dla którego nie warto przywiązywać się do zewnętrznych form religii – skoro Bóg jest duchem/wiatrem/oddechem, nie da się zamknąć Go/Jej w strukturach, rytuałach, doktrynach – w niczym, co określone i ustalone.

Zmienny jak Bóg

Podobny motyw dominuje w innej zapisanej w Ewangelii Jana historii – w rozmowie Jezusa z faryzeuszem Nikodemem. Symboliczne znaczenie ma już to, że Nikodem przyszedł do Jezusa w nocy: objawienie, którego doznał podczas rozmowy z Mistrzem z Nazaretu, dokonuje się w ciemności, rozbija dotychczasową precyzyjnie poukładaną wiedzę szanowanego nauczyciela Izraela, wprowadzając go w zamian w tajemnicę, którą wyrażają paradoksy i wieloznaczne metafory (bo właśnie takim językiem posługuje się jego nocny rozmówca): „Rzekł do niego Jezus: »Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie/z góry, nie może ujrzeć królestwa Bożego«. Nikodem powiedział do Niego: »Jakżeż może się człowiek narodzić będąc starcem? Czyż może powtórnie wejść do łona swej matki i narodzić się?«. Jezus odpowiedział: »Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha/wiatru/oddechu, nie może wejść do królestwa Bożego. To, co się z ciała narodziło, jest ciałem, a to, co się z Ducha/wiatru/oddechu narodziło, jest duchem/wiatrem/oddechem. Nie dziw się, że powiedziałem ci: Trzeba wam się powtórnie/z góry narodzić. Duch/wiatr/oddech wieje tam, gdzie chce, i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża. Tak jest z każdym, który narodził się z Ducha/wiatru/oddechu«" (J 3, 3-8).

Nie powinno nas dziwić widoczne w rozmowie zdezorientowanie Nikodema. Słowa Jezusa mają konotacje jednocześnie bardzo materialne (stąd pomysł faryzeusza, że Nazarejczykowi chodzi dosłownie o ponowne fizyczne narodziny) i głęboko metafizyczne. Ale nie chodzi tylko o wieloznaczność sformułowań – podstawowym źródeł dezorientacji jest prawda, na którą wskazuje Jezus: iż naturą boskiej rzeczywistości jest nieuchwytność i zmienność oraz że w religijnym zaangażowaniu chodzi o porzucenie tego, co znane, stałe, namacalne, uchwytne (co wyraża pojęcie „ciało") i odrodzenie się na nowo/z góry, tj. z Ducha/wiatru/oddechu. Kto przeżył takie narodziny, sam posiada tę „powietrzną" naturę, która daje mu/jej wolność, zdolność wymykania się przewidywaniom, manipulacjom, ograniczeniom.

Życie taką swobodą wymaga jednak zgody na niepewność i zmienność swojej egzystencji, uwolnienia się od potrzeby oparcia się na jasno określonych i trwałych pewnikach. Ducha/wiatru/oddechu można doświadczyć („szum jego słyszysz"), ale nie da się zatrzymać, złapać, określić „skąd pochodzi i dokąd zmierza". Jest to doświadczenie nieuchwytnej i zmiennej tajemnicy.

Znikający jak Jezus

Ewangelia Jana wyraźnie pokazuje, że proces uwalniania się z potrzeby wiązania swojej wiary z tym, co uchwytne i namacalne, obejmuje również relację do samego Jezusa. W swojej ostatniej mowie, skierowanej do uczniów przed

POŻEGNANIE

W dniu 17 maja zmarła

Ś.† P.

Anna Stryjeńska-Syrzistie
ps. Monika

kustosz pamięci o rodzinie Stryjeńskich, historii PŻ przy BIP Okręgu Kraków AK, okupacji niemieckiej w Krakowie i Poroninie. Jako „Peżetka", m.in. kolportowała prasę, przygotowywała paczki dla więźniów obozów koncentracyjnych. Aktywna uczestniczka rozwoju „Solidarności" na terenie zakładu wydawniczego AGH (Powielarnia).

Cześć Jej Pamięci

aresztowaniem, Jezus wyjaśnia najbliższym sens mających nastąpić dramatycznych wydarzeń. Znajdujemy w niej znamienny fragment, w którym Mistrz mówi: „Teraz zaś idę do Tego, który Mnie posłał, a nikt z was nie pyta Mnie: »Dokąd idziesz?«. Ale ponieważ to wam powiedziałem, smutek napełnił wam serce. Jednakże mówię wam prawdę: Pożyteczne jest dla was, bym odszedł. Gdybym bowiem nie odszedł, Pocieszyciel/Paraklet nie przyjdzie do was. A jeżeli pójdę, poślę Go do was. (...) Gdy zaś przyjdzie On, Duch/wiatr/oddech Prawdy, doprowadzi was do całej prawdy" (J 16, 5-7. 13).

Jezus zapowiada najbliższym swoją nadchodzącą śmierć na krzyżu, kilkukrotnie podkreślając, że jest to Jego „przejście do Ojca". Z perspektywy uczniów jest to jednak utrata relacji z Jezusem, jaką mieli dotąd – czyli możliwości widzenia Go, słuchania Jego nauki, przebywania w Jego fizycznej obecności. Perspektywa tej straty smuci ich, a smutek przesłania im rzeczywistą naturę procesu, w którym uczestniczą. Nie pytają Jezusa „dokąd idziesz", czyli ich umysły nie są skierowane ku temu, co najistotniejsze. Dlatego Jezus próbuje na różne sposoby otworzyć im oczy, przebudzić ich ducha.

W cytowanym wyżej fragmencie mówi, że Jego odejście do Ojca, czyli zniknięcie namacalnej, uchwytnej obecności będzie dla uczniów pożyteczne, gdyż ono jest koniecznym warunkiem przyjścia Parakleta – tj. Ducha/wiatru/oddechu Prawdy. Znów ujawnia się konieczna struktura procesu człowieczego otwierania się na boską rzeczywistość: naturalna ludzka potrzeba posiadania uchwytnej postaci celu religijnego dążenia musi zostać przezwyciężona, wygaszona, trzeba się zgodzić na to, że wszystko, co rozpoznawalne, zrozumiałe, przemija, że niezmienność zewnętrznej postaci kultu pokaże swoją prawdziwą naturę złudzenia stałości. Gdy to złudzenie zostanie rozproszone, człowiekowi pokaże się za sprawą Parakleta prawdziwa natura rzeczywistości – iż u swego Źródła jest duchem/wiatrem/oddechem, tym, czego działania można doświadczyć (jak doświadcza się siły wichury), lecz czego nie da się złapać, pojąć, zatrzymać.

Nieuchwytna tajemnica

Ten sam wątek znajdziemy w kluczowej wielkanocnej historii z Janowej ewangelii. Oto Maria Magdalena stoi nad grobem bez ciała Jezusa i płacze. Zjawiają się boscy posłańcy i pytają: „Czemu płaczesz?" (por. J 20, 13). Maria musi uświadomić sobie przyczynę swego smutku – czyli co jest dla niej ważne. Postępując w samopoznaniu, spostrzega „stojącego Jezusa" (J 20, 14), nie rozpoznając Jego tożsamości. Słyszy kolejne pytanie (tym razem pyta sam Jezus), sięgające jeszcze głębiej niż poprzednie: „Niewiasto, czemu płaczesz, kogo szukasz?" (J 20, 15). Uświadamiając sobie nie tylko przyczynę smutku, lecz także cel swojego dążenia, Maria zwraca się ku Jezusowi, a On wypowiada jej imię – czyli przypomina prawdziwą tożsamość. Wówczas Maria rozpoznaje Mistrza – ale teraz próbuje Go zatrzymać, zachować relację, jaką miała z Nim przed Jego śmiercią. Spotyka się natychmiast z ostrzeżeniem: „Nie chwytaj Mnie" (J 20, 17).

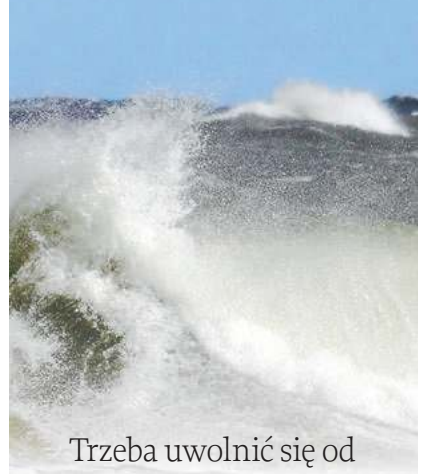

ANDRZEJ ARTUR MROCZEK / FOTONOVA / EAST NEWS

Trzeba uwolnić się od potrzeby jasnego i wyraźnego poznania rzeczywistości Boga. **I zgodzić się, że będzie ona nas nieść i tworzyć** jako nieuchwytna tajemnica.

W historii tej rozpoznajemy głębiej, na czym polega prawdziwa cześć „w duchu i prawdzie". Trzeba zgodzić się na nawet bolesne samopoznanie, konfrontację ze swoim smutkiem (i jego źródłem), z prawdą o swoich pragnieniach, a także (to wyraźniej widać było w historii Samarytanki) z niejednokrotnie krętą ścieżką swojego życia. W trakcie procesu poznawania samej/samego siebie przed poznającą/poznającym ujawnia się rzeczywistość Boga. Ostatecznie jednak i ją trzeba puścić, uwolnić się od potrzeby jasnego i wyraźnego poznania, określenia, gdzie jest, a gdzie jej nie ma, zgodzić się, że będzie ona nas nieść i tworzyć (albowiem z niej się rodzimy), ale jako nieuchwytna tajemnica.

Nie jesteś sam

Warto zauważyć, że teksty ewangeliczne odnoszą się zarówno do religijnego doświadczenia wspólnotowego (jak choćby w przypadku pytań Samarytanki) – jak i ściśle osobistej, wewnętrznej drogi wiary (jak ma to miejsce w przypadku Nikodema czy Marii Magdaleny). Dlatego ewangeliczne przesłanie może być wskazówką dla nas dzisiaj.

Czyż bowiem współczesna sytuacja społeczna nie jest naznaczona narastającym stopniem niepewności, szybko następujących zmian? Banałem stało się już mówienie o postępującej sekularyzacji, czyli utracie znaczenia tradycyjnych form religijności i doktrynalnych formuł. Coraz powszechniejsze staje się też poczucie niepewności co do stabilności ważnych dla naszego życia struktur społecznych (zarówno tych najmniejszych, jak rodzina, jak i tych wielkich, jak kształt naszego państwa i jego pozycja w świecie).

Być może najbardziej boli nas i niepokoi niepewność co do naszej sytuacji w sferach tak „przyziemnych" jak rynek pracy, polityka, sytuacja mieszkaniowa. Być może z obawą zauważamy zmiany w najważniejszych dla nas międzyludzkich relacjach – w małżeństwie, w przyjaźniach. Być może chodzi o utratę wiarygodności ważnych dla nas religijnych instytucji, o trudność dawania wiary doktrynom i symbolom, którymi nasiąkliśmy od dzieciństwa. Być może boimy się opuścić dotychczasowe religijne doświadczenie ostatecznego sensu.

Niepewność w tych sferach rodzi wiele lęku. Nic dziwnego – potrzeba bezpieczeństwa i trwałości jest jedną z najbardziej podstawowych ludzkich potrzeb, niezależnie od tego, czy dotyczy sfery społecznej, bliskich więzi czy najgłębszego osobistego doświadczenia. Nasz lęk jest zrozumiały. Warto zatem nie walczyć z nim wprost, lecz zwrócić uwagę na Dobrą Nowinę – iż w niezwykle trudnej psychologicznie sytuacji, gdy tracimy takie poczucie stabilności i bezpieczeństwa, nie jesteśmy sami. Może to być okazja do odkrycia, iż najbardziej podstawowe Źródło naszego bytu i tożsamości jest Duchem, czyli wiatrem, oddechem: energią i zmianą.

©℗ PIOTR SIKORA

Opiłek w oku

IGNACY DUDKIEWICZ

Sprawa ks. Puzewicza to nie rozczarowanie księdzem czy instytucją, ale światem, w którym są punkty odniesienia, choćby i symboliczne. Gdy one upadają, zostaje tylko pustka.

Poznałem go, gdy miałem 19 lat. Lubelszczyznę nawiedziła powódź, pojechaliśmy do Wilkowa, by usuwać jej skutki. Pomoc koordynował ks. Mieczysław Puzewicz, twórca lubelskiego Centrum Wolontariatu. Już wówczas – „człowiek-instytucja".

Potem przeprowadziłem z nim wywiad dla Magazynu „Kontakt" – o wolontariacie, bliskości, wrażliwości, nieoczywistych sposobach pomocy. Jego słowa o byciu obok, towarzyszeniu, programie resocjalizacji młodocianych przestępców poprzez wspólną wędrówkę i rozmowę z doświadczonym towarzyszem zmieniły mój sposób myślenia o świecie.

Śledziłem, jak pomaga więźniom, uchodźcom, migrantom, młodzieży, osobom w kryzysie bezdomności. Jak wokół siebie gromadzi ludzi chcących lepszego świata. Czytywałem czasem, w jaki sposób pisze o Ewangelii – prosto, dobitnie, przejmująco.

To wszystko prawda. Ale okazało się, że fatalnie niepełna. Reportaż Pawła Piotra Reszki w „Gazecie Wyborczej" był jak uderzenie obuchem w łeb. Trafiłem na niego przypadkiem. I choć nie padło w nim nazwisko księdza, na podstawie informacji z tekstu wywnioskowaliśmy, o kogo chodzi, albo w kilka sekund wyszukaliśmy je w internecie. Mieczysław Puzewicz. To on wykorzystywał seksualnie kobiety. To on się wszystkiego wypierał (po dziesięciu dniach wydał oświadczenie, w którym przyznał się do zarzucanych mu czynów i przeprosił). To on okazał się zręcznym manipulantem i wirtuozem wizerunkowego zakłamania. Mój Boże, on?

Zadzwoniłem do bliskiej mi osoby, niewierzącej, ale świetnie zorientowanej w tematyce działalności społecznej. Też była w szoku. Niedługo później napisała mi: „Nie mogę się pozbierać". Ja też nie mogłem.

Pęknięcie i pustka

Sądziłem, że jestem już zaimpregnowany na takie informacje o jakimkolwiek duchownym. Pisząc „Pastwisko", książkę o władzy w Kościele w Polsce, wypracowałem sobie strategię obronną – emocjonalną tarczę na wszelki wypadek. Jak się okazało, nie całkiem skuteczną.

Zastanawiam się więc, czemu. Najprościej byłoby powiedzieć, że nie chodzi jedynie o rozczarowanie osobą – tym bardziej że księdza Mieczysława znałem tylko pobieżnie. Chodzi o rozczarowanie znakiem i figurą. To naiwne, ale przecież ludzkie. Chodzi o rozczarowanie światem, w którym jakiś punkt odniesienia, nawet jeśli głównie symboliczny, upada. Tego typu relacja jest w mniejszym stopniu oparta na poznaniu, a bardziej na zaufaniu, wręcz przymierzu. Gdy ono pęka, jest nie tylko zawód – ale pustka.

Nie chodzi tu bynajmniej o figurę księdza. Poznawanie systemowych problemów Kościoła – nie tylko w Polsce – skutecznie leczy z klerykalizmu. Jestem wystarczająco świadomy tego, że mamy strukturalny problem z relacjami między księżmi a wierzącymi, nadużywaniem pozycji (nie zawsze skutkującym przemocą seksualną, czasem emocjonalną czy paternalizmem), dorabianiem do bycia księdzem ideologii zawierającej się w przekonaniu, że jest to stan uprzywilejowany, lepszy, bardziej obdarzony Bożą łaską. Klerykalizm to w istocie system opowieści, w ramach którego ksiądz staje się właśnie symbolem, reprezentacją – i przez to przestaje być rozliczany jako osoba. To rodzaj idolatrii. Mechanizm dotyczy nie tylko księży – choć z przyczyn strukturalnych ich w sposób szczególny. Wiem to wszystko, więc nie chodzi o figurę duchownego, nawet takiego, o którym nie pomyślałoby się, że mógłby seksualnie wykorzystywać innych.

W przypadku ks. Puzewicza zadziałał archetyp silniejszy, ważniejszy dla wierzącego: świadka Ewangelii. Nie chodzi o jego kapłaństwo. Ale o przekonanie, możliwe dotąd do żywienia przeczucie, wrażenie, że jest w nim jednia, spójność, konsekwencja. Dlatego nie odczuwam rozczarowania instytucją (nie sposób już we mnie tego uczucia wzbudzić), nawet nie osobą. To utrata pewnej części duchowego świata. Bo wydawał się – podobnie jak choćby Jean Vanier – jednym z chodzących dowodów na to, że się da. Że w ciemności jest światło. Że Ewangelia może być realizowana w praktyce.

Czy mam przestać w to wierzyć?

Duchowa trucizna

Simone Weil – upraszczając – przekonywała, że największe zło dokonuje się wtedy, gdy człowiek spotyka się z przemocą, brutalnością i krzywdą tam, gdzie szukał świętości, nadziei, ratunku. Że szczególnie niszczące jest zło, które działa w imieniu dobra, za dobro przebrane. To bowiem sytuacja, gdy pęka coś w samym sensie, w miejscu, które miało być czyste i przejrzyste. A to powoduje duchowe spustoszenie.

Widzimy to często w opowieściach osób skrzywdzonych seksualnie w Kościele. Również w opowieściach kobiet skrzywdzonych przez ks. Puzewicza. Ich krzywda jest nieporównywalnie większa niż kogokolwiek innego w tej sprawie, w oczywisty sposób najważniejsza. Ale ten „święty kapłan", nagradzany, wskazywany, świadczący, będący dla ludzi znakiem i drogowskazem, skrzywdził – choć w innej skali – także innych. Skala rozziewu między wizerunkiem, ale przecież także realnym dobrem, które czynił (i które w żaden sposób nie usprawiedliwia, nie umniejsza i nie relatywizuje krzywdy molestowanych kobiet), a mrokiem, który w sobie niósł i który rozsiewał, uderza szerzej. Dotknęła innych księży, którzy już i tak noszą piętno związku z instytucją systemowo ukrywającą przestępców seksualnych. Dotknęła wierzących i wierzące. I znów: nie chodzi o żaden zniszczony wizerunek. Chodzi o miłość, zaufanie, wiarę w możliwość życia Ewangelią, w braterstwo i siostrzeństwo.

Nie ma wątpliwości, że opieranie podobnych zawierzeń i zaufania na ludziach, zwłaszcza słabo poznanych, nie jest mądre. Ale wszyscy to przecież po części robimy: w życiu rodzinnym, społecznym, politycznym, zawodowym, religijnym.

MAREK LASYK / REPORTER

Ks. Mieczysław Puzewicz podczas wręczenia Nagrody im. Jana Pawła II „Veritatis Splendor". Kraków, 15 października 2018 r.

Dlatego nie mam dziś pewności, czy właśnie sprawa ks. Puzewicza nie zmieniła na zawsze czegoś w moim spojrzeniu. Czy już ostatecznie nie zasiała we mnie wątpliwości, że skoro on, to być może już każdy?

A wiem przecież, że nie każdy. Wiem, że nie tylko księża – widziałem wszak, jak ciężko zbierały się z szoku duchowe dzieci Jeana Vaniera. Rozumiem, że niezgoda na obecność w jednej biografii dobra i zła to dziecinada. Rzecz w skali tego dobra i zła, a więc także w rozmiarze pęknięcia w samym środku. Ewangelia obiecuje, że „po owocach ich poznacie", tymczasem te owoce mogą być pomieszane i zatrute.

W moim oku jest już opiłek lustra. Znając proporcję, można powiedzieć, że to jak z dopingiem w sporcie. Skoro szprycował się nawet Lance Armstrong, kolarski idol nad idole, to może bezpieczniej, słuszniej i rozsądniej jest zakładać, że wszyscy kolarze brali? Brało przecież wielu, o których nie wiemy i nigdy się nie dowiemy.

Właśnie teraz zaczynam rozumieć tych, którzy w kontakcie z Kościołem zawsze wolą zakładać możliwość spotkania seksualnego przestępcy. Zaczynam zastanawiać się, czy jeszcze kiedykolwiek będę miał poczucie, że zapraszając czy zaprowadzając moje dzieci do kościelnej przestrzeni, mogę mieć pewność, że są bezpieczne. Czy poza nielicznymi wyjątkami bliskich relacji z duchownymi, których naprawdę dobrze znam, warto próbować? Może zresztą mi się tylko wydaje, że ich znam?

To trucizna, wiem.

Ale działa.

Wiara bez iluzji

Jeśli więc nie chcę, by opiłek lustra utknął w moim oku na zawsze, muszę coś z tym doświadczeniem zrobić. Tylko co? Czy jako Kościół – wspólnota, pojedynczy ludzie – mamy język do jego opisu? Rytuał do jego przeżycia? Przestrzeń na przepracowanie utraty? Bez zamiatania pod dywan, bez relatywizacji, bez umniejszania, z poważnym potraktowaniem?

Póki nie, to próbuję przynajmniej przypominać, utrwalać, powtarzać sobie, że wiara nie może opierać się ani na czystości struktur, ani na świętości świadków, bo wówczas zawsze runie. Że jeśli ma trwać, to musi opierać się na trwaniu przy świetle, nawet gdy ono się ukrywa lub jest brutalnie zakrywane. Powtarzać za Weil, że miłość do Boga nie oczekuje ani nagrody, ani bezpieczeństwa, ani nawet sensu. Wszystko to może pęknąć i runąć, a miłość pozostaje.

W tym sensie sprawy takie jak ks. Puzewicza to też impuls do oczyszczania duchowości, do trzebienia z siebie resztek klerykalizmu, do zakwestionowania wzorów, punktów odniesienia, do uwalniania się od potrzeby „świętych ludzi", do uświadamiania sobie, że szukanie inspiracji i świadectw w życiu innych może być owocne, ale opieranie swej duchowości – choćby w części, wszak ksiądz Mieczysław był mi punktem odniesienia odległym – na kimkolwiek innym niż Bóg to budowanie na piasku.

To duchowość ostatecznie bardziej uwolniona od iluzji, więc trwalsza. Nawet jeśli bardziej samotna. To zgoda na pustkę, ale pustkę, w której po kolejnym odczarowaniu obrazów Kościoła i ludzi – także samego siebie – można być bliżej Boga. ©

Autor jest redaktorem Magazynu „Kontakt" i autorem książki „Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem".

DANIEL BÖCKWOLDT / DPA / PAP

Od lewej: wikariusz generalny katolickiej archidiecezji hamburskiej, biskupka luterańskiej diecezji Hamburga i Lubeki oraz ksiądz tamtejszej serbskiej parafii prawosławnej podczas ekumenicznego nabożeństwa w kościele św. Józefa. Hamburg, 21 kwietnia 2025 r.

Ekumenizm nie dla mięczaków

ANNA SIEPRAWSKA, KATOLICZKA, I DARIUSZ BRUNCZ, EWANGELIK:

Ekumenizm nie jest opcją. Choć trudno to niektórym wytłumaczyć.

PAULINA MODEL: Co Was zachwyca w Waszych denominacjach?

ANNA SIEPRAWSKA: Najbardziej to, że mam braci luteran.

DARIUSZ BRUNCZ: I siostry!

AS: I siostry. Bo dzięki temu możemy obejrzeć się jak w lustrze. To dobrze robi.

DB: Ja nie użyłbym słowa „zachwyca".

Nie ma, według Pana, niczego takiego w katolicyzmie?

DB: Zachwycać nie zachwyca. Ale jest wiele aspektów rzymskiego katolicyzmu, których głębię i wartość dostrzegam. Przede wszystkim dbałość o różne tradycje i dziedzictwo duchowe, które ze sobą współgrają. Cenię też konsekwentnie wspólnotowe myślenie w katolicyzmie.

AS: Mnie jeszcze zachwyca – i nie boję się tego słowa – znajomość Biblii u protestantów. Może to stereotyp, ale jeśli chodzi o studia biblijne, wiele im zawdzięczamy.

DB: Z tą znajomością Biblii różnie bywa. Czasami jest taka „książkowo-telefoniczna". Pismo Święte służy za pałkę do bicia: „Ja ci przytoczę werset, ty mi przytoczysz werset, i tak się będziemy naparzać". W rozmowach z katolikami wciąż wyciągany jest też argument z Tradycją, sugerujący, że ewangelicy ją odrzucili i zamurowali się za hasłem „*sola Scriptura*". A przecież to hasło w samym protestantyzmie doczekało się wielu interpretacji, czasami skrajnie odmiennych.

A czego sobie nawzajem zazdrościcie?

DB: Zazdroszczę katolikom w Polsce, że całymi sobą potrafią świętować Wielkanoc. Zawsze mnie irytowało, że polscy ewangelicy potrafią wyłuskać głębię czasu pasyjnego i Wielkiego Piątku, ale nie wychodzi nam z Wielkanocą. Celebrowanie jej w Kościele ewangelickim w Polsce jest nudne. Liturgia zasadniczo nie odbiega od zwykłego, niedzielnego nabożeństwa. Próby powrotu do starochrześcijańskich rytuałów bywają traktowane jako katolicyzacja protestantyzmu. A przecież to nasze wspólne dziedzictwo.

AS: Zupełnie nie ma we mnie zazdrości. Bardzo dobrze się czuję w Kościele katolickim. To jest po prostu mój Kościół i niczego mi tu nie brakuje, więc nie – nie zazdroszczę.

DB: A to ciekawe. Ja też bym powiedział, że się bardzo dobrze czuję w moim Kościele, ale nie podpisałbym się pod drugą częścią tego zdania. Dużo mi w nim brakuje.

Na przykład?

DB: Nie ze wszystkim, co jest w moim Kościele, się zgadzam i muszę się zgadzać, także w warstwie teologicznej. W szeroko rozumianym katolicyzmie widzę wiele inspirujących zagadnień z obszaru wiary i duchowości. Tyle że dotyczy to nie rzymskiego katolicyzmu, ale tradycji mariawickiej. Choć zaznaczam, w tej opinii jestem mało reprezentatywny.

Jakie to zagadnienia?

DB: Zbliżone rozumienie Kościoła, który nie jest ograniczony konfesyjnymi ramami według zasady: „U nas jest pełnia prawdy, poza nami są jedynie jej ziarna". Dlatego rzymski katolicyzm, a jeszcze bardziej prawosławie, nie są dla mnie alternatywą. W mariawityzmie, w jego obydwu nurtach, ujmuje mnie eklezjologiczna hojność, która nie wyznacza linii demarkacyjnych, gdzie się prawdziwy Kościół zaczyna, a gdzie kończy. Do tego dochodzi otwarta komunia: przystąpić może każdy, nie tylko ci, którzy się z nami zgadzają, ale także ci, którzy nie podzielają naszych przekonań doktrynalnych. Dalej – połączenie tradycyjnej, katolickiej wrażliwości z otwarciem ekumenicznym. A w nurcie felicjanowskim również kapłaństwo ludowe, które koresponduje z teologią luterańską.

AS: Powiedziałam, że niczego nie zazdroszczę, natomiast jest mnóstwo rzeczy w innych wyznaniach, które są szalenie inspirujące. W ogóle ekumenia jest bardzo inspirująca. Pozwala mi lepiej rozumieć mój rzymski katolicyzm. Dopiero kiedy odbijam się w tym lustrze, mogę coś porównać. Jeśli wokół mnie, rzymskiej katoliczki, nie ma nikogo innego, to nie mogę tak naprawdę wiedzieć, kim ja jestem.

DB: Dotykamy istotnego elementu w ekumenizmie, czyli ugruntowania własnej tożsamości. To nie jest aktywność dla relatywistów czy kościelnych mięczaków. Jeśli ktoś nie wie, w co i jak wierzy, nie powinien w ogóle zajmować się ekumenizmem. Taki ktoś widzi się cały czas w zagrożeniu. Nie pyta, czego mogę się nauczyć od innego i co mogę innemu podarować, ale tkwi w permanentnym rozdygotaniu i lęku przed ideowym zatraceniem.

PAULINA MODEL

ANNA SIEPRAWSKA
(Kościół rzymskokatolicki) – działaczka ekumeniczna, członkini Rady Dialogu Archidiecezji Krakowskiej.

ARCHIWUM PRYWATNE

DARIUSZ BRUNCZ
(Kościół ewangelicko-augsburski) – redaktor naczelny portalu ekumenizm.pl, wykładowca akademicki.

Parę miesięcy temu jeden z portali odwołujących się do katolicyzmu opublikował wywiad z kard. Grzegorzem Rysiem. Jest tam fragment poświęcony ekumenizmowi. Ujęła mnie cierpliwość kardynała, który odpowiadał na pytania szalenie tendencyjne, podbudowane tezą, że nawet jeśli jakiś „protestancki heretyk" zwiastuje coś ewangelicznego, to jego słowa i tak mogą być skażone niebezpieczną dla zbawienia katolików heterodoksją. Słuchałem tego, myśląc: „Mój Boże, sekciarstwo *level hard*". Tożsamość wyznaniowa, która zachwyca się swoim widokiem w oblężonej twierdzy zbudowanej z luster, to myślenie całkowicie nieewangeliczne.

Przykład z drugiej strony. Pastor pewnej wspólnoty protestanckiej zrobił doktorat na katolickiej uczelni. Wierni stwierdzili, że w takim razie nie poznał Pana Jezusa i nie rozumie Biblii. Doszło do rozłamu. Takich fundamentalistycznych wspólnotek, gdzie pastorzy pełnią rolę małych papieżątek, jest mnóstwo. Oczywiście grzmią na papieża w Rzymie, na dogmat o nieomylności, ale zasadniczo praktykują to samo, nawet w znacznie szerszym zakresie niż papiestwo, które z dogmatu o nieomylności skorzystało tylko raz, w 1950 r. Żelazna ręka biblicyzmu i fundamentalizmu religijnego włożona w pluszową rękawiczkę pozorów, że my jesteśmy tacy wspaniali, a katolicy to w ogóle półchrześcijanie.

AS: Warto wspomnieć, że zaangażowanie ekumeniczne stanowi integralną część naszej wiary i dobrze, by katolicy o tym wiedzieli. To nie jest opcja, tylko część naszej teologii. I nie papież Franciszek to wymyślił, bo tak jest co najmniej od Soboru Watykańskiego II.

DB: Również dla luteran ekumenizm nie jest opcją, choć niektórym trudno to wytłumaczyć. Ekumenizm wynika z samego wyznawania wiary, gdy mówimy: „wierzę w jeden, święty, powszechny i apostolski Kościół". Powszechność absolutnie nie wyczerpuje się w Kościele ewangelicko-augsburskim. Luteranin nie może mówić, że tylko u nas jest cała pełnia. My nie jesteśmy tym lepszym, superfajnym Kościołem. Wszyscy są do Kościoła zaproszeni, ale nie na zasadzie „zapisania się", jak do ekskluzywnego klubu. Chrzest nas wyróżnia i z pewnością włącza nas w królewskie ↦

↦ kapłaństwo, ale nie jest naszą zasługą. Nie jest też w żaden sposób ekskluzywny, bo zakłada jednocześnie inkluzyjność całego Ludu Bożego.

A czego nie rozumiecie w siostrzanych denominacjach?

DB: W katolicyzmie trudne jest dla mnie to, co wynika z sakramentologii: bez kapłaństwa nie ma Eucharystii, nie ma Kościoła. To się przekłada na rolę, jaką ma ksiądz, biskup czy papież. Dlatego ze sceptycyzmem, choć życzliwym, podchodzę do procesu synodalnego. Zastanawiam się, jaki on ma sens, skoro i tak na końcu papież może wywrócić stolik. I skoro biskupów nie wybiera synod diecezjalny, tylko kurialno-układowa maszyna. Z tą pragmatyką kościelną nieodłącznie wiąże się zaraza klerykalizmu, która nie jest obca protestantom różnej maści. No i jeszcze wszędzie sami faceci.

AS: Pięknym doświadczeniem był dla mnie zjazd Światowej Federacji Luterańskiej w Krakowie. Byłam na nabożeństwie inaugurującym i to było wspaniałe, że te wasze parytety zadziałały: byli młodzi, starzy i osoby w średnim wieku, były kobiety świeckie i ordynowane, mężczyźni świeccy i ordynowani.

DB: Przyznam, że jak się mało wzruszam, tak wtedy emocje wzięły górę. To było pierwsze takie przeżycie, odkąd jestem w Kościele luterańskim – duże zróżnicowanie, ale na wskroś wspólnotowe, nawet jeśli profaniczność formy gryzła się z wysoko kościelnymi nawykami. Drugie takie doświadczenie miałem w Felicjanowie, na mszy mariawickiej, prowadzonej przez siostry biskupki i kapłanki ludowe. Powiedziałem sobie: „Odłóż tę całą swoją apologetykę i przystąp do komunii".

AS: Wracając do pytania: czego nie rozumiemy. Myślę, że my, katolicy, nie rozumiemy różnicy pomiędzy święceniami rzymskokatolickimi a ordynacją w Kościele luterańskim. Przykładamy miarę święceń do ordynacji, podczas gdy to nie jest to samo. To trudność, która wynika z naszego przyzwyczajenia i doświadczenia.

DB: U nas tymi święceniami jest właściwie Chrzest Święty. On daje wszystko, co jest potrzebne. Ordynacja jest jedynie (i aż!) upoważnieniem Kościoła do administrowania sakramentami i publicznego głoszenia. Podział na świeckich i duchownych jest zasadniczo sztuczny. Każdy ochrzczony ewangelik, także świecki, w sytuacji zagrożenia życia może nie tylko ochrzcić, ale też poprowadzić nabożeństwo komunii świętej.

Jako ewangelicy, korzystamy z mądrości osób, które zajmują się kwestią pedofilii w Kościele katolickim. Możemy dużo nauczyć się od świeckich katolików, którzy nadają ton sprawie i nie dają spokoju biskupom.

AS: O, właśnie! Nabożeństwa domowe! W Krakowie mamy fantastyczną patronkę ekumenii – Hannę Chrzanowską. Ona była katoliczką, a jej ciocia, Zofia Szlenkierówna, od której Hanna „zaraziła się" pasją do pielęgniarstwa, była ewangeliczką. Msze święte odprawiane w domu chorego zawdzięczamy ewangelickiej części rodziny Hanny. Teraz to jest naturalne, że mszę można odprawiać wszędzie, na kajakach czy w domu, ale dawniej tego się nie robiło.

DB: Podczas pandemii Kościół przypomniał, że nabożeństwo domowe połączone z komunią świętą jest możliwe. Znam przypadek, gdzie wspólnota domowa chciała, żeby był z nimi ksiądz podczas celebracji Wielkiego Piątku, ale on nie mógł i połączył się *online*. Modlił się z nimi, natomiast słowa ustanowienia Eucharystii wypowiadali sami. To było wielkie przeżycie. Wypróbowaliśmy w ogniu powszechne kapłaństwo ochrzczonych.

AS: My w pandemii mogliśmy sobie przypomnieć, że w domu też można błogosławić pokarmy. Wiem, że dla wielu osób było to mocne doświadczenie. Zupełnie inne przeżycie, gdy ojciec albo matka błogosławią koszyczek wielkanocny.

Zapytam jeszcze: co budzi Waszą ulgę? Oczywiście w siostrzanym wyznaniu.

AS: Gratuluję Kościołowi ewangelicko-augsburskiemu ordynacji kobiet. To musiało być piękne przeżycie.

DB: Tak, ulga, że u nas jest wreszcie ordynacja kobiet. Oczywiście nie wszyscy się z tą ordynacją zgadzają. Dostrzegają jakieś problemy, ale ileż było i jest kłopotów z duchownymi mężczyznami.

AS: My coś na ten temat wiemy [*śmiech*].

DB: Natomiast ulga... Zaskoczyła mnie pani tym pytaniem.

AS: Już wiemy, że nie jest to synod.

DB: Cieszę się, że są dyskusje na ten temat. Nie chciałbym, żeby te słowa zabrzmiały jako przejaw poczucia wyższości. Absolutnie nie. Procesy synodalne w Kościołach ewangelickich też nie są bez skazy. W kontekście synodu o synodalności inspirujące były okrągłe stoły.

Jak Kościół ewangelicko-augsburski radzi sobie z nadużyciami seksualnymi księży?

DB: Korzystamy z mądrości osób, które zajmują się kwestią pedofilii w Kościele katolickim. Jest dużo rzeczy, których możemy się nauczyć od świeckich katolików. Tych, którzy nadają ton sprawie i nie dają spokoju biskupom. Mieliśmy u nas przypadek wykorzystania autorytetu duchownego do niewłaściwych zachowań.

Ostatnie pytanie będzie o tym, z czego jesteście dumni we własnej denominacji.

AS: Najbardziej podoba mi się, że wszystko, co się dzieje, nie dokonuje się naszymi siłami, tylko że doświadczamy daru i łaski. Wyprawiamy, jako Kościół, różne dziwne rzeczy, ale koniec końców okazuje się, że to jest Boże dzieło. Dobro zawsze jest większe. To chyba najpiękniejsza rzecz pod słońcem.

DB: Ktoś kiedyś powiedział, że najlepszym dowodem na istnienie Boga jest to, że Kościół wciąż istnieje. Jesteśmy zebrani wokół Słowa i sakramentów. Z czego jestem dumny? Bardzo ważna jest dla mnie wspomniana ordynacja kobiet. Jej brak podważał powszechne kapłaństwo ochrzczonych, niszczył duchowy potencjał Kościoła i osób powołanych. To była antyepikleza – wyraźne nieposłuszeństwo wobec Ducha Świętego.

© Rozmawiała PAULINA MODEL

O. WACŁAW

Oszajca:
Skarb Kościoła

Gdyby to od niego zależało, mówi kard. László Német, „zerwałbym z tą tajemnicą (chodzi o konklawe). W przeciwnym razie wciąż będą krążyć wszelkiego rodzaju plotki. Tak jak to się właśnie stało". A przecież tę tajemnicę wprowadzono, żeby owe plotki nie powstawały. „Dlatego byłoby lepiej, gdybyśmy mogli swobodniej mówić o tym, jak faktycznie przebiegały wybory". To raz, a dwa, to naukowcy z Uniwersytetu Bocconiego w Mediolanie przy pomocy AI z powodzeniem przewidzieli wybór Roberta Prevosta na biskupa Rzymu. Jeśli się przyjmie, że wyborem papieża kieruje Duch Święty, to czy miał on również wpływ na ów eksperyment? Czyżby do dotychczasowych sposobów manifestacji Ducha Bożego doszedł nowy – AI? Czemu nie, skoro ognień, wicher, gołąb spełniają tę rolę, to produkt mózgu też może być odpowiedni. Naukowcy analizując CV Roberta Prevosta doszli do wniosku, że o jego wyborze zadecydowała jakość relacji z ludźmi, w tym z biskupami i kardynałami.

Papież Leon już w pierwszych wystąpieniach poruszył zagadnienie AI, zwłaszcza od strony etycznej. Rodzi się pytanie, jaki świat będzie człowiekowi bardziej przyjazny, opatrzony pieczęciami, z limitowanym dostępem do jego bogactw, czy świat transparentny, bez kłódek i bez wtajemniczonych urzędników w roli szamanów, zarówno w życiu religijnym, jak i świeckim? Jakiego świata, społeczeństwa pragniemy: sióstr i braci, którzy porozumiewają się na różne sposoby, czy wciąż panów i niewolników, w formie wcale nie złagodzonej, a przeciwnie, tylko bardziej perfidnej? Owi urzędnicy-kapłani, roszcząc sobie prawo do posiadania i narzucania innym swoich dogmatów i paradygmatów, dla których „*fides et ratio*" to żadne żywe misterium, a jedynie magazyn suchych preparatów, do którego tylko oni mają dostęp.

Tymczasem papież Leon mówi: „Indoktrynacja jest niemoralna, uniemożliwia krytyczny osąd i zagraża świętej wolności szacunku dla swojego sumienia", „zamyka się na nowe refleksje, bo odrzuca ruch, zmiany oraz ewolucję idei w obliczu nowych problemów". Dlatego papież starej, naturalnej i nowej, sztucznej inteligencji przypomina, że największym „skarbem Kościoła i ludzkości" są ci, których „nie widać". Niewidoczni, bo niechciani, i wbrew pozorom nie jest to niestety żadne „*rerum novarum*". ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Lekarstwo na strach

„Pewnej nocy [w Koryncie] Pan przemówił do Pawła w widzeniu: Przestań się lękać, a przemawiaj i nie milcz, bo Ja jestem z tobą i nikt nie targnie się na ciebie, aby cię skrzywdzić, dlatego, że wiele ludu mam w tym mieście" (Dz 18, 9n). Widzenie i słowo były bardzo potrzebne. Jeszcze siedem lat później Paweł dobrze pamiętał strach, jaki go wtedy opanował. W Pierwszym Liście do Koryntian (pisanym w roku 57, a początek misji Pawła w Koryncie przypadł na zimę roku 50) Paweł wspomina, że stał przed Koryntianami „w słabości, w bojaźni, i z wielkim drżeniem" (zob. 1 Kor 2, 3). I trudno się dziwić, skoro właśnie w Koryncie głoszony przez niego Jezus Chrystus Ukrzyżowany został przez jednych (Żydów) uznany za „skandal", a przez drugich (Greków) za „głupotę" (zob. 1 Kor 1, 23). W doświadczeniu takiego zderzenia stracił odwagę, by dalej się odzywać. Wtedy usłyszał od Jezusa: „Odwagi! Nie milcz!".

Wezwanie do męstwa jest zawsze wezwaniem do miłości. Człowiek mężny podejmuje jakieś działanie nie dlatego, że „się nie boi". Są sytuacje, w których nie podobna się nie bać. Skąd więc bierze się w nim wola działania? Odpowiedź brzmi: z miłości, która okazała się większa niż lęk o siebie.

Pierwsza miłość, do której Jezus zaprasza Pawła w tym dramatycznym spotkaniu, to odpowiedź na Jego miłość: Ja jestem z tobą! Nie jesteś sam ze swoim strachem! Słyszymy tu Imię Boga z historii Wyjścia: Ja Jestem nawet kiedy znalazłeś się w sytuacji, w której nietrudno jest pomyśleć, że nie ma Boga, albo że Go nie obchodzę, Bóg mówi: Kocham cię. Ja, Ukrzyżowany. Takiego Mnie poznałeś. W takiego uwierzyłeś. Takiego też pokochałeś. Moc i Mądrość Krzyża – nie zgorszenie i głupota!

Druga miłość, do której Jezus zaprasza Pawła, to miłość do ludzi, wśród których się znalazł i których się przestraszył. Jezus jakby mu podpowiadał: popatrz na nich moimi oczyma. Ja w nich widzę „Mój wielki Lud". Są więc dla ciebie siostrami i braćmi. Działam w nich na długo przed twoim do nich przyjściem. Jeśli odnajdzie w sobie na nowo miłość do Jezusa Chrystusa Ukrzyżowanego i do swych korynckich rozmówców, nie będzie mógł milczeć. Ta miłość każe mu przemówić. A skoro zacznie, nie będzie w stanie przestać przez następnych osiemnaście miesięcy. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

HISTORIA

OD JURKA DO GEORGES'A, EUROPEJSKA NIĆ

Za młodu dzielny żołnierz AK, później emigrant i cichy współtwórca zjednoczonej Europy, a po 1989 r. doradca polskich rządów: kolejne etapy życia Jerzego (Georges'a) Renckiego tworzą spójną całość.

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Z Julienem Renckim, synem Georges'a, spotykam się w paryskiej kawiarni. Zanim zacznę pytać o jego ojca, rozmówca, szpakowaty dżentelmen w sile wieku, uprzedza mnie: – Ojciec nigdy by nie usiadł tak jak pan, tyłem do drzwi kawiarni. Nie jeździł też metrem, unikał tuneli i miejsc zamkniętych. To ślady traumatycznych przeżyć.

– Już kiedy byłem dzieckiem, miałem świadomość, że mój ojciec różni się od ojców innych francuskich dzieci, moich przyjaciół – ciągnie Rencki junior. Jerzy/Georges, bohater polskiego ruchu oporu, miał też słabości – jak choćby ogromny problem z wyrażaniem emocji. Był z pokolenia, które milczało. A jeśli już wspominał czasy II wojny światowej, to przeważnie w tonie prześmiewczym. Jakby śmiech miał być tu barierą ochronną.

Stąd o wielu kartach wojennych doświadczeń Jerzego Renckiego rodzina dowiedziała się dopiero po jego śmierci w 2017 r. U schyłku życia, już jako emerytowany wysoki urzędnik Komisji Europejskiej, przygotowywał do druku wspomnienia, ale nie zdążył ich wydać. To właśnie syn opracował jego luźne notatki i opublikował je we Francji.

W ten sposób ludzie z Brukseli, którzy przez dziesiątki lat pracowali z człowiekiem, którego znali jako Georges'a, odkrywali ze zdumieniem tajemnice jego młodości.

Stracone złudzenia

Na świat przyszedł jako Jerzy Rencki 4 lipca 1927 r. w Warszawie, w rodzinie polsko-szwajcarskiej. W domu mówiło się po polsku i francusku. Matka wywodziła się ze szwajcarskiego frankofońskiego katolickiego mieszczaństwa i Jurek spędzał tam przed wojną wakacje z rodziną. Ojciec był prawnikiem i muzykologiem – intelektualistą, typem międzywojennego człowieka oświecenia. Optymistą wierzącym w postęp ludzkości.

– Dziadek Juliusz pochodził z rodziny żydowskiej, co mój ojciec odkrył dopiero przypadkiem w czasie okupacji. Później bardzo długo chował ten sekret przede mną i moim bratem. Nie wspomniał też o tym w swoich zapiskach. Zdecydowałem się więc dodać tę informację w moim wstępie do książki – opowiada Julien Rencki.

Ojciec Jurka, aresztowany przez NKWD po inwazji sowieckiej 17 września 1939 r., zginął w masakrze katyńskiej. Julien: – Myślę, że już w wieku 13 lat mój ojciec wyzbył się wszelkich iluzji. Zdał sobie wtedy sprawę, że model państwa narodowego nie potrafił chronić swoich obywateli. Trzeba więc wymyślić coś ponadnarodowego.

– Doświadczenie wojenne nauczyło go, że mrzonką jest wiara w prawo, którego nie podpiera siła. To zresztą stało się jedną z podstaw projektu wspólnej Europy: ład oparty na prawie, ale z elementami siły – mówi Julien Rencki.

Od pasji lotniczej....

Jak wielu rówieśników, Jurek Rencki dołączył do podziemia – stało się to na początku 1941 r., gdy miał 14 lat.

Wszystko zaczęło się od pasji lotniczej. Niedługo po klęsce wrześniowej Rencki z grupką nastolatków, głównie uczniów przedwojennego stołecznego gimnazjum imienia Stanisława Staszica, zaczęli budować modele samolotów. Z czasem, przy pomocy starszych kolegów, powstało z tego Warszawskie Koło Lotnicze (WKL). Entuzjaści modelarstwa testowali, na oczach publiczności, swoje dzieła na Polach Mokotowskich, tej kolebce polskiego lotnictwa.

Jak wspominał po latach Marek Tadeusz Nowakowski – kolega Renckiego i także członek Koła – tym zawodom modeli szybowców organizowanym przez Koło przyglądali się też z zainteresowaniem Niemcy, w tym raz generał Luftwaffe, zaproszony przez organizatorów na lożę honorową. Okupanci tolerowali tę pasję dzieci (jak ich postrzegali), nie widząc w niej nic groźnego.

Równolegle z modelarstwem, 16-letni już Rencki wraz z kolegami z Koła zaczęli wydawać podziemną gazetkę „Wzlot. Pismo młodzieży lotniczej". Redaktorką naczelną była dużo starsza od innych człon-

ARCHIWUM PRYWATNE

Georges Rencki jako urzędnik Wspólnot Europejskich, ok. 1960 r.

ków zespołu pisarka Maria Kann, działaczka „Żegoty", autorka prekursorskiej publikacji polskiego podziemia o zagładzie Żydów pt. „Na oczach świata".

...do wizji pokojowej Europy

Właśnie na łamach „Wzlotu" Rencki, wtedy już siedemnastolatek, snuł zdumiewające współczesne wizje geopolityczne. W odróżnieniu od kolegów nie chciał zostać w przyszłości inżynierem, lecz pragnął tak urządzić świat, by nie doszło do nowej wojny.

W artykule Renckiego pt. „Lotnictwo a pokój powszechny" – pisanym w październiku 1943 r., w samym środku hitlerowskiej nocy – pojawia się nawet wizja pokoju, który miałaby gwarantować „międzynarodowa armia" z lotnictwem na czele. A jeśli takie ogólnoświatowe siły zbrojne nie powstaną, pisał młody autor „Wzlotu", to trzeba „dążyć do stworzenia wspólnej organizacji w ramach węższych, ograniczonych do narodów, z którymi będą łączyć nas szczególnie ścisłe węzły polityczne". Z dzisiejszej perspektywy te słowa mogą kojarzyć się z NATO czy z Unią Europejską.

– Przez prawie całe życie mój ojciec miał tę samą podstawową ideę: jeśli nie stworzymy mocnej instytucji ponadnarodowej, wszystko będzie po staremu. Rzadko się zdarza, by ktoś miał stałe i silne przekonanie od czasów młodości po 90. rok życia. A tak było w przypadku ojca. I ślady tego widać już w tamtym jego młodzieńczym artykule we „Wzlocie" – mówi Julien Rencki.

– U schyłku życia ojciec był świadkiem agresywnej polityki Putina – dodaje. – To utwierdziło go tylko w przekonaniu, że wspólna europejska obronność jest absolutnie konieczna.

Wróg to też człowiek

Z biegiem czasu Jerzy, tak jak wielu członków Warszawskiego Koła Lotniczego, angażował się coraz bardziej w podziemną działalność dywersyjną w Warszawie, w kompanii lotniczej AK porucznika „Lawy" (Tadeusza Gaworskiego), który podlegał wydziałowi lotnictwa Komendy Głównej AK. Jednym z zadań kompanii było rozbrajanie Niemców – w sytuacji, gdy Armia Krajowa cierpiała wciąż na brak broni.

W swoich wspomnieniach Jerzy Rencki opisuje swoją pierwszą akcję tego typu z wiosny 1943 r., przeprowadzoną razem z kolegą.

Młodzi mają rozbroić niemieckiego żołnierza w jednym z warszawskich parków. Wszystko idzie sprawnie. Przerażony Niemiec, w towarzystwie przyjaciółki, oddaje pistolet, gdy Jerzy grozi mu bronią. Czas uciekać, bo wokół roi się od innych żołnierzy.

Ale w tej chwili Jerzy zatrzymuje się i – jak potem będzie po latach sam relacjonował – improwizuje do żołnierza przemowę swoim kulawym niemieckim: „Próbuję mu wyjaśnić, że nie jesteśmy żadnymi bandytami, ale bojownikami ↦

ARCHIWUM PRYWATNE

Jerzy Rencki – pośrodku zdjęcia z karabinem przewieszonym na ramieniu – podczas powstania warszawskiego, sierpień-wrzesień 1944 r.

LECH GĄSZEWSKI

Jerzy Rencki (z prawej) razem z kolegą z WKL Andrzejem Trzcińskim (z szybowcem w ręce) w czasie okupacji niemieckiej.

↦ o wolność, że walczymy z nazizmem, a nie z Niemcami". Przemowa uspokaja żołnierza, ale za dwójką konspiratorów rzuca się pogoń. Na szczęście chłopcom udaje się ujść cało.

– Po latach, gdy mi to opowiadał, czuł się chyba bardziej dumny z tego, że przemówił do niemieckiego żołnierza niż z samego faktu zdobycia porządnego pistoletu parabellum kaliber 9 milimetrów – wspomina Julien Rencki. – Dojrzeć człowieka we wrogu: to myśl, która go nie opuszczała, nawet w czasie wojny. Nacjonalizm był dla niego wcieleniem zła.

Jak pachną bohaterowie

Jedną z największych akcji, w której wzięli udział lawiacy, w tym Rencki, był nieudany zamach na gubernatora okupowanej Warszawy Ludwiga Fischera i innych niemieckich dygnitarzy (kryptonim „Polowanie") z 8 stycznia 1944 r.

Choć lawiakom groziła często śmierć, to nie opuszczał ich młodzieńczy i często wisielczy humor. Świadczy o tym żartobliwy komiks „Przygody dywersanckie", stworzony w czasie wojny przez dwóch kolegów Renckiego z kompanii: Zbigniewa Słoczyńskiego i Stanisława Woźniaka (w 1997 r. ukazał się jego reprint). Jednym z bohaterów tej „kroniki" oddziału – w formie pastiszu „Koziołka Matołka" – jest właśnie Rencki, ps. „Grzyb".

Autorzy mają dystans do własnych bohaterskich wyczynów. Świadczą o tym choćby wersy o daremnym pościgu szkopów za uciekającymi z miejsca akcji bojowej lawiakami:

Lecz [Niemcy] pomdleli – bo nas strzegą
Dywersanckie nasze bogi
No i tym, co dużo chodzą
Niezbyt pięknie pachną nogi...

Powstanie '44

Jak wielu innych kolegów z kompanii „Lawy", Rencki walczył w powstaniu warszawskim od jego początku aż do końca. Wyróżnił się w walkach w Śródmieściu, za co został odznaczony Krzyżem Walecznych. Udział członków tej formacji w powstaniu opisali szczegółowo w książce „Lawiacy. Historia Kompanii Lotniczej AK" jej byli członkowie, Jan Koźniewski i Marek T. Nowakowski.

W swoich wspomnieniach, pisanych u schyłku życia, Georges Rencki stwierdzał, że przy ówczesnych nastrojach warszawiaków zryw był nieunikniony. „Latem 1944 r. po tylu latach terroru wściekłość sięgnęła zenitu, a najmniejszy incydent z udziałem Niemców i tak spowodowałby wybuch" – pisał.

Jednocześnie w tych samych zapiskach nie stroni od krytyki swoich dowódców. Na przykład z irytacją pisze o „absurdalnym", w jego pojęciu, rozkazie, jaki dostała od przełożonych kompania „Lawy" w dniu rozpoczęcia powstania: z garstką słabo uzbrojonych ludzi mieli odbić z rąk Niemców lotnisko Okęcie, którego załoga była uzbrojona po zęby. W tej surowej ocenie Rencki nie był zresztą odosobniony.

– W powstańczych wspomnieniach ojca wybija się ton antyheroiczny. Nigdy nie starał się ukrywać trudnych rzeczy. On, jak i jego koledzy, byli dzielni, ale także odczuwali strach – mówi syn.

Patriotyzm

Po kapitulacji powstańczej Warszawy Rencki został, tak jak inni żołnierze AK, uznany przez Niemców za jeńca wojennego i przewieziony do niemieckiego obozu VII-A w miejscowości Murnau. Pozostał tam aż do wyzwolenia obozu przez wojska amerykańskie w kwietniu 1945 r.

Do pojałtańskiej Polski nie wrócił. Od 1946 r. studiował – w Londynie, Fryburgu (Szwajcaria), a następnie w Paryżu, gdzie uzyskał doktorat z prawa. Otrzymał tam także, jako uchodźca, francuskie obywatelstwo.

Zbliżył się do ludzi, którzy jak on myśleli już o tworzeniu wspólnej Europy – jak Denis de Rougemont, Paul-Henri Spaak, Józef Retinger. Wśród tych wizjonerów byli weterani ruchu oporu z różnych krajów, np. Henri Frenay, jeden z dowódców podziemia w okupowanej Francji.

– Dla mojego ojca bycie patriotą i Europejczykiem nie było przeciwstawne. Ponadto przez całe życie uważał się za socjalistę: przywiązanego do wolności, sprawiedliwości społecznej, no i do Europy – zauważa Julien Rencki.

Całą karierę zawodową – od 1958 r. aż do przejścia na emeryturę w 1991 r. – Jerzy (Georges) Rencki związał z Komisją Europejską (w jej kolejnych instytucjonalnych wcieleniach). Specjalizował się w reformie wspólnej polityki rolnej i w polityce regionalnej. Zajmował kierownicze stanowiska najpierw w generalnej dyrekcji ds. rolnictwa, a od 1977 r. w dyrekcji ds. polityki regionalnej. Od 1991 r. pełnił, już jako emeryt, funkcję honorowego dyrektora Komisji Europejskiej; wykładał też na uczelniach, m.in. w Kolegium Europejskim w Natolinie.

ARCHIWUM PRYWATNE

Georges Rencki (pierwszy z lewej), obok niego Jacques Delors, ówczesny szef Komisji Europejskiej. Z prawej premier Jan Olszewski. Bruksela, 1992 r.

Klamra

Po roku 1989 otworzył się przed nim trzeci etap biografii Jerzego/Georges'a. Dopiero wtedy, po upadku żelaznej kurtyny i komunizmu, po raz pierwszy po wojnie przyjechał do Polski i spotkał dawnych przyjaciół.

Choć nie wrócił do ojczyzny na stałe, to po przejściu na emeryturę był doradcą kolejnych czterech polskich premierów – od Jana Krzysztofa Bieleckiego do Jerzego Buzka. Znał i cenił Jana Kułakowskiego, także powstańca warszawskiego, który w latach 1990-96 był pierwszym ambasadorem RP przy Wspólnotach Europejskich.

W okresie przygotowań do akcesji Polski do Unii z Renckim współpracowała Agnieszka Bartol, obecnie szefowa Stałego Przedstawicielstwa Polski przy UE. Wspólna praca przerodziła się w przyjaźń trwającą kilkanaście lat.

Jak mówi dziś „Tygodnikowi" Agnieszka Bartol, Rencki przedstawiał się jej zawsze jako „Jerzy", a nie „Georges": – Był człowiekiem z podwójną pasją. Z jednej strony miał wielką wiarę w projekt europejski, z drugiej cechowała go pasja merytoryczna, czyli świetna znajomość dwóch fundamentalnych polityk unijnych, rolnej i spójności. Wspierał Polskę swoją wiedzą i kontaktami, bo chciał, żebyśmy byli pełnoprawnym członkiem Unii.

Ta polska misja spięła jakby klamrą wszystkie etapy jego życia.

– Jerzy Rencki był dumny, że przez lata po akcesji dobrze dawaliśmy sobie radę. I budował mosty między różnymi nurtami polityki prounijnej w Polsce – wspomina Agnieszka Bartol.

Dziś o tym jednym z cichych architektów wejścia Polski do Unii, z piękną patriotyczną kartą, jakbyśmy zapomnieli. Czy nie pora tego zmienić?

© SZYMON ŁUCYK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nadal pomagamy walczącej Ukrainie

„Codziennie mamy po 4-5 zwykłych operacji ludzi rannych w twarz. Ponadto raz lub dwa razy w tygodniu prowadzimy operację pełnej rekonstrukcji twarzy, ona trwa zwykle kilkanaście godzin. Moglibyśmy więcej, ale nie mamy dość sprzętu" – mówił nam Otto-Kristian Reininger, 24-letni lekarz-rezydent na Oddziale Chirurgii Szczękowo-Twarzowej szpitala w Kijowie (jest Ukraińcem o węgierskich korzeniach).

Oddział Otta otrzymał koagulator, aparat do poważnych operacji, który zawieźliśmy na Ukrainę pod koniec kwietnia w naszym kolejnym transporcie (podarował go czytelnik, który produkuje takie aparaty). Mieliśmy też 15 mobilnych agregatów i jeden mocniejszy agregat, który zasila dziś szpital polowy na zachód od Pokrowska.

Łącznie od jesieni 2024 r. w naszych trzech transportach zawieźliśmy na Ukrainę 65 agregatów i stacji zasilania, 5 koagulatorów i inne materiały medyczne, razem 4,5 tony pomocy. Te dary czytelniczek i czytelników „Tygodnika" trafiły do szpitali polowych, kompanii medycznych i jednostek frontowych. „Dziękujemy za ten świetny aparat, będzie służyć codziennie w każdej operacji" – mówi Otto.

Nasza akcja trwa. Zbiórkę prowadzi współpracujące z nami Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka, a „Tygodnik" jej patronuje.

Numery kont:
– w złotówkach:
20 1090 2590 0000 0001 5044 0623
– w euro:
64 1090 2590 0000 0001 5044 0898
Odbiorca:
Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka.
www.inicjatywasasiedzka.org
(darowiznę można odliczyć od podatku)
Dziękujemy!
„Tygodnik Powszechny"
i Stowarzyszenie Inicjatywa Sąsiedzka

NAUKA

DAJ SIĘ ZASKOCZYĆ

Mogą wprawić nas w osłupienie, przyprawić o atak niekontrolowanego śmiechu lub doprowadzić do łez. Nie każdy lubi niespodziewane sytuacje. Ale każdy się z nich uczy.

KATARZYNA DZIADOWICZ

Czasem to dzieje się wbrew naszej woli – na przykład, kiedy z głośników wydobywają się dźwięki piosenki „Superstition" Steviego Wondera. Nasza głowa zaczyna miarowo się poruszać, a palce i stopy wystukują rytm. Badania Haley Kragness z zespołem pokazały, że muzyka działa w podobny sposób także na dzieci – już kilkulatki do wybranych utworów poruszały się chętniej i z większą energią niż do pozostałych. Wystarczy, że piosenka ma „to coś"; ma *groove*.

Co tak buja

Jeśli zapytasz muzyka o to, czym jest *groove*, pewnie odpowie, że dowiesz się, jak tylko to usłyszysz. Na potrzeby badań naukowych ustalono jednak nieco bardziej precyzyjną definicję – *groove* to „przyjemne uczucie chęci poruszania się w rytm muzyki". W badaniu przeprowadzonym przez Petra Janatę i jego współpracowników, wśród piosenek, które zostały uznane przez ankietowanych za te posiadające najlepszy *groove*, znalazły się m.in. właśnie „Superstition" Steviego Wondera, „Yeah!" Ushera, „Lady Marmalade" w wykonaniu LaBelle czy utwór „Music" Leeli James. Wystarczy ich posłuchać, by dostrzec jakiś wspólny mianownik, a jednocześnie odkryć, że nie wszyst-

Istnieją takie utwory, przy słuchaniu których chcemy się poruszać. Badania sugerują, że przepis na taki muzyczny groove musi zawierać nieoczekiwane dla nas zmiany schematów w rytmie.

PIOTR DZIURMAN / REPORTER

kie piosenki (nawet jeśli są w naszym guście) go mają. Dlatego naukowcy podjęli próbę uchwycenia jego natury i wskazania, czym „to coś" faktycznie jest.

Chociaż niezawodny przepis na *groove* wciąż im się wymyka, to według metaanalizy badań wykonanej przez Takahide Etaniego ze współpracownikami jeden składnik wydaje się być niezawodny: synkopa. To zabieg, który polega na drobnym przesunięciu akcentów w rytmie – wybrzmiewają one nie tam, gdzie się tego spodziewamy, ale w innych miejscach taktu. Szerzej definiuje się ją także jako „wydarzenie rytmiczne, które podważa oczekiwania metryczne słuchacza". Na przykład w powszechnie stosowanym w muzyce popowej metrum 4/4 standardem są akcenty padające na pierwsze i trzecie uderzenie. Nasz mózg słyszał ten schemat wielokrotnie, więc wybiera go jako ten najbardziej prawdopodobny. Jeżeli muzycy zagrają mocniej (lub dłużej) nuty znajdujące się na słabych pozycjach metrycznych i tym samym przesuną akcent w niespodziewane miejsce, mózg będzie zaskoczony. Dzięki temu muzyka wyda nam się bardziej intrygująca, rytm będzie bardziej wciągający i być może poczujemy trudną do zwalczenia ochotę, by zacząć bujać się do pulsu muzyki.

Z przesunięciami akcentów nie można jednak przesadzać – badania pokazują, że pomiędzy miarą synkopy a wskaźnikami *groove*'u występuje zależność odpowiadająca odwróconej literze „U". Jeżeli nie ma jej wcale, utwór będzie sprawiał wrażenie nudnego, nieangażującego, mechanicznie powtarzalnego. Gdy będzie zbyt duża – struktura się rozmyje, utwór nie będzie wydawał się płynny i rytmiczny, ale chaotyczny. Jeśli kompozytorowi uda się znaleźć złoty środek, to słuchacz będzie mógł z drobnych przesunięć akcentów czerpać wielką przyjemność.

Gra na oczekiwaniach

Nieoczekiwane łamanie schematów to jednak nie tylko domena rytmu – tworzymy przewidywania także co do struktury utworu, melodii czy tempa. Nasz mózg – niekoniecznie dla nas świadomie – zapamiętuje pewne schematy powszechnie używane w muzyce popularnej i uznaje, że najprawdopodobniej powtórzą się one w kolejnych słuchanych ↦

↦ przez nas utworach. A muzycy od wieków grają na tych oczekiwaniach.

Jako przykład takiego podważania oczekiwań Daniel J. Levitin, autor książki „Zasłuchany mózg", podaje finałową część IX symfonii Beethovena – „Odę do radości".

Zdaniem Levitina zaskoczenie jest nieodłączonym elementem muzyki, która może przypaść nam do gustu. Utwory, które znamy, wciąż nam się podobają, bo zaskakują nas za każdym razem – nasze oczekiwania co do znanych schematów „tkwią w nas nawet głębiej niż to, jak pamiętamy właśnie tę piosenkę".

Jeżeli już zacznie się wypatrywać zaskoczenia, to nietrudno poczuć się nim osaczonym. Spotkamy je nie tylko w muzyce – towarzyszy nam podczas zaciętych pojedynków sportowych, czyha na nas w błyskotliwych reklamach i jest nieodłącznym elementem wielu żartów. Niby nie wszyscy lubimy niespodzianki – a jednak w wielu sytuacjach zaskoczenie ma swój unikalny powab.

Ambitni z natury

James Gleick, autor książki „Informacja. Bit, wszechświat, rewolucja" pozwala nam wysnuć prosty wniosek: zaskoczenie to znak, że dotarła do nas informacja. Nie da się nas zaskoczyć czymś, o czym już wiedzieliśmy. Jeżeli coś nawet w najmniejszym stopniu nas nie zaskakuje, to znaczy, że nie ma dla nas wartości: nie redukuje niepewności, nie wzbogaca naszej wiedzy ani nie ma tej kluczowej właściwości, która wyróżnia informację – nie pozwala odróżnić jednego stanu od drugiego.

W przeciwieństwie do nawet największych zbiorów danych, które nie są dla nas niczym nowym, zaskoczenie to niezwykle łakomy kąsek – bo pozwala poszerzyć zasób swojej wiedzy. A to zasób bardzo cenny – nigdy nie wiadomo, która informacja może przyczynić się do zwiększenia sukcesu reprodukcyjnego. Zauważenie niespodziewanego drapieżnika daje możliwość ucieczki, poznanie nowego źródła pożywienia zwiększa szansę na przetrwanie w trudnych warunkach, a zasłyszenie jakichś poufnych wiadomości może przyczynić się do tego, że nasz status społeczny wzrośnie.

Niebywała zdolność do przyswajania nowych informacji, a więc uczenia się, dała ludziom niebotyczną przewagę nad innymi gatunkami, które mniej efektywnie przyswajają nową wiedzę i umiejętności.

Stanislas Dehaene, neurobiolog specjalizujący się w mechanizmach uczenia się, w książce „Jak się uczymy" uznaje zaskoczenie za jeden z fundamentalnych motorów procesu nauki. Uważa się, że u niemowlaków miarą zaskoczenia może być ilość czasu, jaką poświęcają na obserwację czegoś. Badania wskazują, że jedenastomiesięczne dzieci dłużej patrzą na przedmioty, które zachowują się w sposób sprzeczny z zasadami fizyki – np. przenikają przez ściany albo lewitują. Aimee Stahl i Lisa Feigenson pokazały, że podczas obserwacji takich nieprawdopodobnych scenek dzieci także lepiej zapamiętywały dźwięki wydawane przez przedmioty, a nawet słowa używane przez dorosłych do ich opisu. Co więcej, dzięki takim obserwacjom dzieci same stawały się naukowcami – próbowały np. same sprawdzić, czy upuszczone klocki naprawdę mogą zacząć lewitować. To sugeruje, że zjawiska stojące w sprzeczności z wiedzą niemowlaków przykuwają ich uwagę w szczególny sposób, a ich mózgi potrafią doskonale tę sposobność wykorzystać.

Kiedy jesteśmy zaskoczeni, w naszym mózgu zaczyna wydzielać się noradrenalina –neuroprzekaźnik, który pełni istotną rolę w regulacji pobudzenia organizmu. Widoczną oznaką jej działania są choćby rozszerzone źrenice, a jej obecność może sprawić, że cała nasza uwaga zostanie przekierowana na zaskakujące wydarzenie i pomoże nam więcej z niego zapamiętać. Jeżeli przyczyna zaskoczenia okaże się z kolei niebezpieczna, będziemy już gotowi do ucieczki. Stąd okoliczności nie są bez znaczenia dla tego, czy zaskoczenie da nam przyjemność, czy nie. Wydaje się, że niewielu ludzi pasjonują mecze, w których brak jakichkolwiek niespodzianek.

Nieważne, że boli

Niewykluczone, że motywacja do poszukiwania nowych informacji była promowana przez ewolucję, bo obdarzone nią osobniki mogły lepiej radzić sobie z wyzwaniami. To może stanowić także jedną z przyczyn, dla których dzisiaj kompulsywnie odświeżamy aplikacje dostarczające nam ulubionych treści – nawet jeśli nie spodziewamy się znaleźć tam nic użytecznego.

Badanie opisane przez Daniela Bennetta i współpracowników w czasopiśmie „PLOS Computational Biology" pokazuje, że ludzie są skłonni zapłacić, by dowiedzieć się, jaka jest wysokość nagrody, którą mają później otrzymać – nawet jeśli nie mają na nią wpływu, a pozyskana wiedza może posłużyć im tylko do zredukowania niepewności. Inne badanie pokazało natomiast, że wielu z nas jest skłonnych pójść nawet o krok dalej – i zgodzić się na doświadczanie fizycznego bólu, byle tylko wcześniej poskromić niepewność, tj. wcześniej dowiedzieć się, czy wynik rzutu monetą okazał się dla nich korzystny.

Nasz mózg pod wieloma względami traktuje informacje jak inne nagrody, np. pieniądze czy przekąski. Chociaż wiąże się to z aktywnością mózgu w tzw. obszarze nagrody, niekoniecznie oznacza to, że czujemy przyjemność – słowo „nagroda" w tym kontekście odnosi się raczej do czegoś, co motywuje nas do podejmowania określonego działania. Zaobserwowano, że u szczurów najwyższa aktywność w tym obszarze nie pojawia się wtedy, gdy dostaną to, co lubią – ale kiedy niespodziewanie dostały coś wystarczająco dobrego.

Jacques Mirenowicz i Wolfram Schultz przeprowadzili badanie, w którym pokazali, że jeśli małpy nauczą się, że jakiś bodziec zapowiada nagrodę (np. sok), to ich układ nagrody będzie aktywny i zacznie wydzielać dopaminę wtedy, kiedy zobaczą bodziec zapowiadający nagrodę – a nie wtedy, gdy tę nagrodę otrzymają.

Między innymi na tej podstawie badacze zaczęli podejrzewać, że poziom dopaminy odzwierciedla rozbieżność pomiędzy nagrodą oczekiwaną a nagrodą faktycznie otrzymaną. W uproszczeniu, jeśli otrzymamy mniejszą nagrodę, niż oczekiwaliśmy, poziom dopaminy spadnie, a idąca za tym aktywność mózgu przyczyni się do zmniejszenia prawdopodobieństwa wystąpienia tego zachowania w przyszłości. Jeżeli nagroda będzie większa niż się spodziewaliśmy, wydzielanie dopaminy wzrośnie, a w mózgu utrwali

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

się sygnał, że prowadzące do niej zachowanie powinno być powtarzane częściej. W tym drugim przypadku mogą towarzyszyć nam także przyjemne odczucia, które jednak nie wynikają bezpośrednio z działania samej dopaminy.

Jak trafić z niespodzianką

Częścią układu nagrody jest jądro półleżące. Jego aktywność podczas słuchania muzyki pozwoliła badaczom dość skutecznie przewidzieć to, ile słuchacze będą w stanie zapłacić za słuchany utwór. Benjamin Gold ze współpracownikami w pracy opublikowanej w czasopiśmie „The Journal of Neuroscience" zwracają uwagę, że aktywność jądra półleżącego często wzrasta także w reakcji na muzyczne zaskoczenie. Autorzy przekonują, że doznania związane z słuchaniem muzyki w dużej mierze wynikają właśnie z tego, jak mózg reaguje na redukowanie niepewności i zdobywanie nowych informacji. Taka teoria jest spójna z wynikami ich badania, które pokazało, że utwory o umiarkowanym stopniu złożoności (niekoniecznie zawierające synkopę) są tymi najchętniej słuchanymi. To te utwory mają zapewniać nam optymalne parametry zaskoczenia i przewidywalności – z jednej strony wiemy, czego się spodziewać, i formułujemy w miarę trafne przewidywania, a z drugiej elementy zaskoczenia pozwalają nam czerpać z nich nowe informacje i aktualizować zasób wiedzy. Dzięki temu słuchanie muzyki ma być satysfakcjonujące samo w sobie – tak jak uczenie się.

Związkowi przyjemności i muzycznego zaskoczenia jeszcze bliżej przyjrzeli się Vincent Cheung i jego współpracownicy. Aby to zrobić, odtwarzali badanym progresje akordów zaczerpnięte ze znanych piosenek popowych (usunęli jednak melodię i rytm, żeby nie zaburzały one wyników badania, a jednocześnie by uniemożliwić badanym rozpoznanie piosenki). Stopień nieprzewidywalności i związanego z nim zaskoczenia określili liczbowo dzięki modelom statystycznym, a przyjemność doświadczaną podczas odtwarzania poszczególnych sekwencji określali sami badani za pomocą suwaków, czyli skali ciągłej.

Wyniki pokazały, że zaskoczenie może wyjaśniać przyjemność uzyskiwaną ze słuchania muzyki, ale tylko jeśli jednocześnie weźmie się pod uwagę stopień pewności predykcji. Jeżeli badani nie byli pewni swoich przewidywań, to największą przyjemność wywoływał u nich obiektywnie mało zaskakujący akord. Jeżeli jednak byli przekonani o tym, jakie dźwięki nastąpią, to największą przyjemność odczuwali, gdy usłyszeli akord obiektywnie mocno zaskakujący. A więc niepewni słuchacze docenili standardowe rozwiązania, a balansujący na granicy nudy byli bardziej skłonni do polubienia czegoś nietypowego. Można to interpretować w ten sposób, że trafienie w warunkach niepewności jest dużym zaskoczeniem, bo spodziewaliśmy się ponieść porażkę, a jednak predykcje okazały się poprawne – otrzymujemy więc silne pozytywne wzmocnienie. Natomiast gdy sekwencje są przewidywalne, to kolejne potwierdzenie oczekiwań nie przyniesie zbyt wiele korzyści – więc z przyjemnością usłyszymy coś zaskakującego, nawet kosztem popełnienia błędu.

Uczucie niepewności bywa nie do zniesienia.
Osoby badane decydowały się na doświadczenie bólu, by szybciej dowiedzieć się, czy wynik rzutu monetą był dla nich korzystny.

Plac zabaw dla mózgu

Peter Vuust, muzyk jazzowy i neurobiolog z Uniwersytetu Aarhus, uznał, że w wyjaśnianiu reakcji mózgu na muzykę pomocne może być odwołanie się do tzw. teorii kodowania predykcyjnego.

Według tej teorii mózg tworzy pewien model świata, nieustannie generując przewidywania dotyczące danych, które będą napływały do niego poprzez zmysły. Aby zwiększyć szanse, że jego predykcje będą odpowiadały rzeczywistości (co daje organizmowi szansę na podejmowanie skutecznych działań), mózg musi stale je udoskonalać. W tym celu śledzi spójność przewidywań z danymi, które faktycznie napływają poprzez zmysły. Jeżeli coś go zaskoczy, tzn. zauważy rozbieżności, powinien zaktualizować swoje predykcje. W ten sposób uczy się i zmniejsza ryzyko popełnienia błędu w przyszłości. Redukowanie tych rozbieżności nazywa się „minimalizowaniem błędu predykcyjnego" i według tej teorii jest w zasadzie naczelnym zadaniem mózgu, do którego ten nie potrzebuje żadnej zewnętrznej zachęty.

Można pokusić się o stwierdzenie, że według tej teorii muzyka jest dla mózgu niezwykłym placem zabaw – bo choć opiera się na pewnej strukturze, która jest przewidywalna, to stale z tymi oczekiwaniami pogrywa. Tymczasem skutki wykrywania błędów popełnionych przez system predykcji nie zawsze są pozbawione konsekwencji. Czasem mogą okazać się śmiertelnie niebezpieczne – np. kiedy błędnie założymy, że szelest liści to tylko wiatr, a nie czający się na nas drapieżnik.

Ale co się dzieje, kiedy akcent rytmiczny nie pada tam, gdzie go oczekiwaliśmy? Mózg powinien dążyć do zminimalizowania błędów. Wydaje się, że najprostszym sposobem, by to osiągnąć, jest dostosowanie przewidywań do napływających bodźców. Ale zdaniem różnych badaczy, w tym Vuusta, logika sugeruje jeszcze inny sposób poradzenia sobie z problemem – wystarczy osłabić precyzję predykcji. W jaki sposób? Na przykład zaczynając się bujać. Kiedy się poruszamy, informacje sensoryczne z naszego ciała mieszają się z danymi wejściowymi zmysłu słuchu – a przez to różnice pomiędzy przewidywaniami a muzyką stają się mniej precyzyjne, a błędy wydają się mniejsze i są mniej dotkliwe.

Może się zatem okazać, że *groove*, który odczuwamy jako chęć poruszania się do rytmu, jest sposobem, w jaki nasz mózg rozbraja napięcie wynikające z powstania błędu predykcji – tj. rozdźwięku pomiędzy przewidywaniami a rzeczywistością. To wyjaśniałoby także, dlaczego silna chęć poruszania się nie pojawia się, gdy poziom synkopy jest zbyt niski lub zbyt wysoki – w pierwszym przypadku błędy są zbyt małe, by wygenerować duży błąd predykcji wymagający jego natychmiastowej poprawy, w drugim – przewidywania zbyt niepewne, więc pogubiliśmy się w tańcu. Na dodatek, zapewne nie bawiąc się przy tym zbyt dobrze.

Na szczęście, do czerpania przyjemności z słuchania muzyki nie potrzebujemy żadnych teorii. Tym bardziej że chyba nikt nie będzie zdziwiony, jeśli okaże się, że zaskoczenie wyjaśnia tylko część jej fenomenu. © KATARZYNA DZIADOWICZ

STANISŁAW

Mancewicz:
Co za pora!

Terminarz nieco komplikuje tutejsze zobowiązania pisarskie. Najchętniej, rzecz jasna, opisalibyśmy stan umysłu po wyborach prezydenckich, ale dziś, tu i teraz, możemy zaledwie podsumować nasz stan sprzed głosowania. A to wydaje nam się nieciekawe. Nawet gdybyśmy teraz poddali zaawansowanemu rozbiorowi i analizie koktajl emocji sprzed wyborów, to doprawdy jego smak, skład i właściwości nie wzbudziłyby niczyjej ciekawości. Wypada zatem zająć się czymś ciekawszym niż lęki, rozterki, nadzieje i beznadzieje polskie.

Tym czymś są niewątpliwie sprawy płciowe. Sprawy płciowe – popatrzmy – od zarania ludzkości budzą ciekawość i są chętnie roztrząsane zarówno w gronie rodzinnym, jak i na forach parlamentów, w radiu i telewizji, na scenach teatrów bądź w kinie, zarówno niemym, jak i tym udźwiękowionym. O kwestiach płciowych debatuje się *ex cathedra* w akademiach i, oczywiście, w akademikach. W zasadzie żaden aspekt spraw płciowych nie jest nudny, a niektóre ich elementy są bardzo ciekawe. Zważyć też należy, że nikomu nie można odmówić prawa do dywagowania w sprawach płciowych. A więc nie ma tu znaczenia ani wykształcenie wypowiadającego się, ani jego wiek, ani postura, ani stopień – dajmy na to wojskowy bądź naukowy, ani poziom wrażliwości, ani sprawność czy też niesprawność. Wszyscy, jak tu ponuro siedzimy, możemy się na te tematy wypowiadać i doprawdy trudno jakąś, jakąkolwiek opinię uznać za z gruntu głupią czy bez sensu. Wszystkie opinie na temat spraw płciowych należy zatem traktować z uwagą, zakładać, że mają uzasadnienie, bądź próbować owo odnaleźć. Komu by się teraz zdało, że w tych kwestiach jesteśmy bezgranicznie i nadzwyczaj koncyliacyjni, tego musimy natychmiast rozczarować. Otóż po pierwsze – zgadzamy się, że poruszając sprawy płciowe zawsze wkraczamy na grunt grząski, zwłaszcza w Polsce. Po prostu dlatego, że wbrew temu, co się mniema, płciowość tutejsza jest niejednoznaczna, by nie rzec, że jest zasadniczo dwuznaczna i zaburzona na poziomie polszczyzny.

Antoni Czechow powiadał: „Jeśli w pierwszym akcie powiesiłeś strzelbę na ścianie, to w kolejnym musi wystrzelić". A więc wypada nam wypalić. Z co najmniej dwururki. Bum! Oto, popatrzmy, mamy wiosnę. Spóźnioną, chłodną, ale wciąż obecną, zwłaszcza na targowiskach. W kraju, w którym płciowość pojawiła się nawet w kampanii prezydenckiej, a ściślej w jakichś oderwanych od istoty rzeczy deklaracjach kandydata prawicy, mamy problem braku pogłębienia tej tematyki, zwłaszcza w odniesieniu do warzyw i owoców. Poprawna polszczyzna to jedno, polszczyzna codzienna to drugie. Słownik sobie, ludzie sobie, polityka i ideologie sobie. Ale – bądźmy twardzi – zwłaszcza ludzie prawicy powinni uważać, jak i co mówią, bo doprawdy w kwestii płci bardzo łatwo stracić kompas, busolę, a wraz z nimi i godność, i tożsamość, i rację.

Właśnie widzimy wysyp szparagów i popatrzmy na ten wysyp uważnie. Szparag w ustach najbardziej nawet konserwatywnego wyborcy polskiego jest dziś szparagą. A por? Porą! A pomarańcza? Pomarańczem! Brokuł, którego nawiasem uważamy za totalnego dziwoląga, bywa w naszej hermetycznie konserwatywnej Polsce brokułą. Wstyd. A seler? Selerą! „A to feler westchnął seler..." – chciałoby się rzec i powtórzyć, że to wstyd zmieniać płeć owocom i warzywom. A dzieje się to i powszechnie, i kompletnie bezkarnie. Gdzie są – pytamy retorycznie – prawicowe elity, które mogłyby przypilnować, by do polskiego dyskursu owocowo-warzywnego nie wkradała się bezkarnie maniera chyba jednak lewicowa, by nie rzec lewacka? Milczą. Jak powiada staropolska mądrość, „od rzemyczka do koziczka", a więc ostrzegamy: dziś poczciwy por jest jakąś porą, a jutro schabowy z ziemniakami zmieni płeć, zrobi się z tego wstyd na pół świata i trzeba będzie mozolnie wstawać z kolan. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

Zapraszamy do nowego newslettera **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**

Jest coś wyjątkowego w popołudniach – kiedy rzeczy ważne i nagłe mieszają się z tymi zupełnie przyjemnymi, dającymi moment wytchnienia.

I właśnie w tym momencie dnia przychodzimy do Państwa z naszym nowym newsletterem: oto **POPOŁUDNIE Z TYGODNIKIEM**!

Chcemy, żeby było ono miejscem na chwilę oddechu, spojrzeniem na rzeczy, które są naprawdę ważne, poszukiwaniem wspólnie szerszej perspektywy.

zeskanuj i zapisz się!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Urodziny „Książek w Tygodniku”

MONIKA OCHĘDOWSKA

Magazyn literacki „Książki w Tygodniku” obchodzi w tym roku 30. urodziny. W czasach, gdy o nowych tytułach dziennikarze i krytycy dowiadywali się z konferencji prasowych organizowanych w siedzibach wydawców, „Tygodnik” jako jeden z pierwszych publikował ogłoszenia i reklamy – samych książek, ale też powstających w latach 90. księgarń i otwierających się antykwariatów. Z czasem obok ramek z ogłoszeniami zaczęły się pojawiać w magazynie również recenzje. Te, które trafiały do wydania papierowego od roku 2003, znajdą Państwo na naszej stronie. Przez wiele lat magazyn był dwumiesięcznikiem, z czasem, gdy reklamodawcy przenieśli się do internetu, a państwo nie było zainteresowane dotowaniem stron o literaturze – stał się kwartalnikiem. Niezmiennie gości natomiast świetne autorki i autorów. Publikowali na tych łamach m.in. Andrzej Franaszek, Grzegorz Jankowicz, Jerzy Jarniewicz, Juliusz Kurkiewicz, Inga Iwasiów, Dariusz Nowacki, Joanna Olech i Marta Wyka. Dziś debiutują młodzi krytycy i krytyczki, tworząc otwarty (dostępny poza paywallem) zbiór tekstów, poprzez który doskonale widać, jak zmieniają się literackie mody, ale też – jak przeobraża się nasz sposób pisania o literaturze. A jak ona sama radzi sobie w połowie roku 2025? Na następnych stronach znajdą Państwo relacje z Francji, Hiszpanii i Szkocji oraz krótkie podsumowanie koreańskiego rynku książki. A do tego esej Wita Szostaka o pierwszym nowoczesnym bohaterze literackim. Kolejny magazyn jesienią. Dobrej lektury! ©℗

Witryna księgarni À l'Ouest w 14. dzielnicy Paryża. Francja, 8 października 2024 r.

Francja: klub czytelników

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Francja chlubi się tym, że na każdym szczeblu – od ministerstwa kultury po wiejskie biblioteki – inwestuje w czytelnictwo i wspiera pisarzy. Ten literacki snobizm sprawia, że małe księgarnie i niezależni wydawcy trzymają się tutaj mocno.

Wiluż paryskich mieszkaniach, które oglądałem, książki zakrywały całe ściany od podłogi aż po sufit, gabarytami bijąc na głowę wielkoformatowe zestawy kina domowego. Aby sięgnąć na samą górę, gospodyni lub gospodarz musieli się wdrapywać na drabinkę. Regały wypchane książkami są niezbywalnym elementem francuskiego, nie tylko inteligenckiego, designu. Nawet jeśli papierowe księgozbiory zaczynają powoli ustępować czytnikom.

Nawet na prowincji, gdzie nie ma czasem nic oprócz kilku domów, merostwa i starego (zamkniętego na cztery spusty) kościółka, natrafiam na skrzynkę z napisem „Boite à lire". Każdy chętny może za darmo pożyczyć książkę lub podzielić się z innymi pozycją ze swojego księgozbioru. A pomysł stworzenia samoobsługowej „mikrobiblioteczki" bierze się z inicjatywy mieszkańców.

To tylko dwa przykłady francuskiej pasji do słowa pisanego. Pasji, bez której trudno zrozumieć wyjątkowo szczodrą, na tle innych krajów Europy, publiczną politykę wspierania książki, autorów i wydawców.

Francuski duch

Można się spotkać z opinią, że głęboko zakorzenione upodobanie do książek jest częścią „esprit français", czyli francuskiego ducha. Tak uważa również François Annycke, animator czytelnictwa i dyrektor Regionalnej Agencji Książki i Czytania w regionie Hauts-de-France (fuzja historycznej Pikardii i Nord-Pas-de-Calais).

– Namiętność do czytania nie jest czymś racjonalnym, to raczej pewien symbol. Wystarczy spojrzeć na politykę francuską: przed ważnymi wyborami każdy z kandydatów poczuwa się w obowiązku, by wydać książkę na najrozmaitsze tematy, nawet odległe od współczesności, jak biografia króla Henryka IV. Kryje się za tym przekonanie, że czytanie kształtuje dobrego obywatela – mówi „Tygodnikowi" Annycke.

Początków państwowej polityki wsparcia dla czytelnictwa można szukać już pięćset lat temu, gdy król Franciszek I Walezjusz kładł podwaliny pod dzisiejszą Bibliotekę Narodową Francji.

Jak podkreśla Annycke, trwałą pozytywną tendencją jest to, że liczba nowych księgarni jest wyższa od liczby tych, które kończą działalność. Francuską specyfiką jest siła niezależnych wydawnictw publikujących ambitną literaturę oraz małych, „niesieciowych" księgarni. W całym kraju tych ostatnich jest około 3700, w tym aż 400 w stolicy.

Bardzo dużym wsparciem dla małych księgarzy i wydawców jest jednolita cena książek, wprowadzona tzw. ustawą Langa (od nazwiska ówczesnego ministra kultury, Jacka Langa) z 1981 r. Przed pojawieniem się tej regulacji wielkie sieci handlowe, takie jak Fnac (francuski odpowiednik Empików) walczyły z mniejszymi konkurentami, obniżając swobodnie ceny i dając rabaty. Dziś ta praktyka nie jest dozwolona.

– Jednolita cena książki pomogła obronić niezależne księgarnie i przyczyniła się do prosperity niezależnych wydawnictw – zaznacza François Annycke.

Sieć wsparcia

Mimo pewnego spadku czytelnictwa Francuzi kupują obecnie około 440 mln książek rocznie. To nawet nieco więcej niż w latach przed pandemią, w trakcie której zanotowano krótkotrwały rekordowy skok sprzedaży (do prawie 490 mln egzemplarzy).

Annycke podkreśla, że francuska administracja wspiera książki na wszystkich poziomach: miasta, społeczności gmin, departamentu, regionu i państwa: – To wspólna odpowiedzialność. Miasta utrzymują swoje biblioteki, ale do ich działania dokładają się także samorządy wyższego szczebla. Każdy departament musi wspierać inicjatywy związane z książkami (zakup księgozbioru, pomoc w organizowaniu imprez, festiwali, rezydencji autorskich itp.). Istnieje również szeroki zakres wsparcia na poziomie regionalnym. I oczywiście na poziomie centralnym: subwencje Ministerstwa Kultury, jak i pomoc organów publicznych, takich jak Krajowe Centrum Książki (CNL) – tłumaczy Annycke.

Wiele spośród istniejących dzisiaj narzędzi promowania powszechnego dostępu do książek powstało w latach 80. i 90., za czternastoletnich rządów prezydenta Françoisa Mitterranda. Na prowincji rozbudowano wówczas sieć bibliotek gminnych, dofinansowanych przez departamenty.

Z gminnej perspektywy

Teraz na terenach wiejskich biblioteki są nie tylko miejscem lektury, ale także jedną z nielicznych przestrzeni, gdzie można się spotkać, podyskutować czy obejrzeć spektakl. Tak jak w liczącej ledwie trzy tysiące mieszkańców miejscowości Sainte-Geneviève (departament Oise), 60 km od Paryża. O działaniach biblioteki w Sainte-Geneviève opowiada mi jej dyrektorka, Dorota Wieleżyńska, która przed ćwierć wiekiem wyemigrowała z Polski do Francji.

Mówi o sobie, że ma w sobie coś z „siłaczki" na peryferiach, ale od razu zastrzega: – Siłaczka kojarzy się z syzyfową pracą, a ja nie mam poczucia, że moja praca jest bezsensowna. Mamy sporo propozycji skierowanych zarówno do dzieci, jak i dorosłych, lekcje biblioteczne dla przedszkoli i szkół podstawowych, dyskusyjny klub książki, spektakle teatralne. Dużą popularnością cieszy się u nas czytanie dla maluchów do 3. roku życia – mówi Dorota Wieleżyńska. – Z dziećmi przychodzą na dwudziestominutowe seanse mamy i nianie, czasem tatusiowie. Dla mnie to także okazja, żeby porozmawiać z rodzicami i zachęcić do czytania dzieciom w domu. Bo rodzinna lektura umacnia więź z dzieckiem i pozwala na rozmowę o emocjach.

Pluszowy ekran

We wszystkich rozmowach o czytaniu powraca temat zagrożeń płynących z naszego uzależnienia od ekranów. Paradoksem jest to, że choć we Francji kupuje się wciąż dużo książek, coraz mniej się czyta. Inaczej mówiąc, książki zaczynają służyć głównie za dekorację salonu.

„Francuzi czytają coraz mniej, podczas gdy ekrany zdobywają coraz większą przestrzeń" – alarmuje tegoroczny „barometr" ośrodka Ipsos pt. „Francuzi i czytanie", zlecony przez francuskie Narodowe Centrum Książki (CNL). Według tego badania, przeprowadzanego co dwa lata nad Sekwaną, 63 proc. Francuzów deklaruje, że w ciągu ostatniego roku przeczytało 5 lub więcej książek (o 6 punktów procentowych mniej niż dwa lata temu). Z kolei 13 proc. nie przeczytało w ubiegłym roku żadnej książki (ten wskaźnik utrzymuje się od lat na zbliżonym poziomie).

Autorzy raportu podkreślają, że „konkurencja ze strony innych form spędzania wolnego czasu, w szczególności online i na ekranach, hamuje czytelnictwo". Na dowód tej tezy podają, że Francuzi spędzają prawie jedną dobę w tygodniu przed ekranami (ponad 35 godzin tygodniowo), podczas gdy na czytanie książek poświęcają średnio tylko 3 godz. 40 min.

Z polskiej perspektywy wszystkie te dane nie wyglądają źle, ale dla Francuzów, przynajmniej tych oczytanych, to fatalna tendencja. Stąd zrozumiały komentarz prezeski CNL Régine Hatchondo, która mówiła, że „po raz pierwszy w swojej historii stanęliśmy w obliczu posiadania swego rodzaju pluszowej zabawki wszczepionej do ramienia".

Na inny aspekt problemów z czytelnictwem zwraca uwagę François Annycke:

– Radykalna zmiana polega też na tym, że młodzi czytają nie tylko mniej, ale czasem mają problem ze zrozumieniem bardziej skomplikowanych treści. Stąd tendencja, by w nowych wydaniach upraszczać teksty, nawet te już klasyczne. ↦

RICCARDO MILANI / AFP / EAST NEWS

↦ Czy należy to robić, na przykład z powieściami Juliusza Verne'a? Francuscy wydawcy są w tej kwestii bardzo podzieleni.

Wartość książki

Jak promować w takim wypadku ambitniejsze treści? To pytanie stawia sobie dyrektorka biblioteki w Sainte-Geneviève. Wśród nastoletnich czytelników jej instytucji najbardziej popularne są komiksy i mangi, a wśród dorosłych – kryminały i romanse, w tym ostatnio tzw. dark romance. Wieleżyńska przestała kupować do biblioteki pozycje z tego nurtu, mimo ich popularności. Jej zdaniem nie zasługują one na miejsce w publicznej bibliotece ze względu na przemocowy charakter i niski poziom literacki.

– Uważam, że rolą ludzi zajmujących się zawodowo książkami – wydawców, bibliotekarzy, księgarzy – jest pokazywanie drogi do wartościowej literatury. I to staram się robić, gdy rozmawiam w bibliotece z ludźmi. Wsłuchuję się w ich zainteresowania i proponuję książki ambitne – wyjaśnia dyrektorka.

Francja chciała zawsze uchodzić za kraj o wyrafinowanym guście czytelniczym. Jego kształtowaniu służyły znakomite programy literackie w telewizji w rodzaju legendarnych już „Apostrophes" słynnego Bernarda Pivot. W latach 70. i 80. gromadziły one przed telewizorami nawet do 5 milionów Francuzów.

Te czasy dawno minęły. Ale telewizyjne programy z udziałem znanych pisarzy i pisarek, jak „La Grande Librairie" („Wielka Księgarnia") w kanale publicznym France 5, nadal przyciągają blisko pół miliona widzów. Trudno chyba wyobrazić sobie inny kraj, w którym trwające nieprzerwanie przez półtorej godziny rozmowy o literaturze cieszyłyby się takim wzięciem.

Goncourt i inne lokomotywy

Dużą rolę w promowaniu literatury mają we Francji nagrody literackie. Nikt dokładnie nie wie, ile ich jest. Szacunki wahają się zwykle od 500 do 1200, a niektórzy mówią nawet o 2 tysiącach.

– Nagrody literackie to francuska pasja. Z jednej strony chodzi o wyróżnienie książek, z drugiej – o społeczną mobilizację wokół dynamicznej rywalizacji. A kiedy nagrody przyznają młodzi, udział w konkursie zachęca ich jednocześnie do czytania – komentuje Annycke.

Najbardziej prestiżowa Nagroda Goncourtów jest symboliczna finansowo – to czek na 10 euro. Jednak w razie zwycięstwa wydawcy i laureaci mają gwarancję sukcesu czytelniczego. W ostatnich latach „goncourty" sprzedawały się średnio w 400-500 tys. egzemplarzy. Oznacza to – według wyliczeń dziennika ekonomicznego „Les Echos" – że obdarowany laurem autor czy autorka mogą liczyć na przychód w wysokości jednej dziesiątej zysków ze sprzedaży, czyli (przy średniej cenie egzemplarza ok. 20 euro) – od 800 tys. do miliona euro.

Inne z francuskich nagród krajowych – jak Renaudot czy Femina – także mają charakter honorowy. Ale podobnie jak Goncourt zapewniają laureatom setki tysięcy sprzedanych egzemplarzy. – Niektóre mniej prestiżowe nagrody literackie we Francji są lepiej finansowane. Czasem zamiast pieniędzy przyznaje się rezydencję twórczą w atrakcyjnym miejscu – wyjaśnia Annycke.

Czego się uczyć

Powróćmy do spojrzenia z tzw. prowincji. Gęsta i dobrze wyposażona sieć bibliotek (zwanych dziś często mediatekami) ma tutaj dla kontaktu z książką ogromne znaczenie.

W Sainte-Geneviève powstaje już dziś nowa biblioteka, która za dwa lata zastąpi obecną, ściśniętą na pierwszym piętrze gminnego budynku. W nowym lokalu na 700 metrach kwadratowych będzie także sala teatralna na sto osób.

– Walczyłam o tę siedzibę od kilkunastu lat – w głosie dyrektorki słychać satysfakcję. – Mimo wszechobecnych cięć budżetowych zdobyliśmy środki z Ministerstwa Kultury i samorządów. I, co ważne, wszyscy radni, także opozycja, głosowali za nową biblioteką, choć zwykle o wszystko się spierają! Bez silnej polityki publicznej nie ma skutecznego wsparcia dla czytelnictwa – kwituje moja rozmówczyni.

Ze słów bibliotekarki wyłania się jeszcze jeden wniosek: – Raz na miesiąc mamy tu swój „Klub czytelnika". Rozmawiamy o książkach, ale też o zwykłych sprawach, dzieciach i wnukach, omijając politykę. Dla wielu osób te spotkania są sposobem na wyrwanie się z samotności. We Francji mówi się, że biblioteki są ważnym elementem spójności społecznej. I w tym tkwi sedno sprawy, czyli siła książek.

© SZYMON ŁUCYK

Z ARCHIWUM „TP"

Dostojewski dla gówniarzy

ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI
polski pisarz, autor kryminałów

Kryminał jest dziś modny, jeżdżę na spotkania autorskie i słucham czytelników, opowiadających o największych europejskich nazwiskach, przy „Złym" jednak spuszczają oczy, niczym wagarowicz zapytany o lekturę. Tymczasem opowieść o samotnym mścicielu, wymierzającym sprawiedliwość w liżącym powojenne rany mieście, dzisiaj byłaby noszona na rękach przez wszystkich, wpisana w nurt kryminału miejskiego, porównywana do Mankella i jego Ystad, Rankina i Edynburga, Larssona i Sztokholmu – tyle tylko że Tyrmand bije ich wszystkich na głowę. Przejmująco poetycki portret miasta, godni Dickensa bohaterowie drugiego planu, rozmach właściwy XIX-wiecznym powieściom (zresztą Andrzej Kijowski nazwał złośliwie powieść „Dostojewskim dla gówniarzy") i trzymająca w napięciu do ostatnich stron tajemnica. Większość trupich powieści, które dziś święcą triumfy na całym świecie, wydaje się przy tym zbyt prosta, błaha i przewidywalna.

Cały tekst został opublikowana w 2010 r. w magazynie literackim „Książki w Tygodniku" (TP 45/2010)

SHUTTERSTOCK

Francja: co poleca Twój księgarz

DOROTA MALINA Z PARYŻA

Francja dba o to, by społeczeństwo było oczytane. Popularne wydania kieszonkowe to koszt 8 euro z groszami, czyli mniej niż kawa i rogalik. Młodzież dostaje co roku pass culture, czyli talon do wykorzystania na kulturę: kino, teatr, muzea i książki.

Francuskie media trąbią o kryzysie czytelnictwa. Narodowe Centrum Książki opublikowało barometr, z którego wynika, że Francuzi czytają coraz mniej, a czas wyrwany Proustowi oddają platformom streamingowym. Tylko 63 proc. Francuzów przeczytało w zeszłym roku co najmniej 5 książek (sic!), a czas na codzienną lekturę spadł do poziomu najniższego od niemal dekady. Statystyczny Francuz czyta 3 godziny 40 minut tygodniowo. Czyli tyle, ile codziennie poświęca na rozrywkę w internecie.

Niewątpliwie jest gorzej, ale z perspektywy Polski wydaje się, że nadal jest bardzo dobrze. Zamiast komentować słupki i cyferki, opowiem więc, co widzę. Oczywiście nie bez znaczenia jest, skąd patrzę. Jestem w stolicy, która w mocno scentralizowanej Francji podbija wszystkie statystyki. Inna rzecz, że mieszkałam też na uboższych, północnych przedmieściach, gdzie w imię wyrównywania szans mediateki dotowane są szczodrzej niż stołeczne. Jak wiemy z lektur Annie Ernaux czy Édouarda Louisa, erudycja jest we Francji drabiną do awansu społecznego.

Bogactwo bibliotek

Paryż jest rajem dla czytelniczek i czytelników. Jeśli ktoś lubi czytać, to naprawdę ogranicza go tylko czas. W mieście działa sieć 57 bibliotek miejskich i 15 bibliotek specjalistycznych. Jedna karta upoważnia do korzystania ze wszystkich, a centralny katalog ułatwia zlokalizowanie konkretnej pozycji, którą można zarezerwować przez internet.

Biblioteki regularnie kupują świeżutkie nowości, które, żeby sprawiedliwie obdzielić niecierpliwych, wypożyczane są na tydzień. W bogatych księgozbiorach można znaleźć też pozycje obcojęzyczne (głównie angielskie, ale też hiszpańskie, niemieckie, arabskie, w jednej filii nawet polskie), książki z dużą czcionką dla słabowidzących i audiobooki. Państwo dba o to, żeby dało się być oczytanym i na bieżąco, nie wydając na to ani grosza.

↦

Książki w budżecie

Mimo wszystko większość czytelniczek i czytelników nadal kupuje książki. Motywacji jest wiele: fetyszyzm, chęć wsparcia autora, niecierpliwość, przyzwyczajenie wyniesione z domu. Do dziś pamiętam, jak mój chłopak, architekt, wrócił kiedyś ze spotkania w mieszkaniu klienta i nie mógł się nadziwić – ponad sto metrów kwadratowych i ani jednej książki! Oczywiście ze względów lokalowych nie każdy może zgromadzić bibliotekę, ale ja jeszcze nie widziałam tu mieszkania, nawet mikrokawalerki, gdzie nie byłoby chociaż półeczki z książkami.

Argument „nie stać mnie" nie działa, bo popularne wydania kieszonkowe to 8 euro z groszami, czyli mniej niż kawa i rogalik. Można kupować książki, zamiast jeść ciastka. Młodzież od 15. do 18. roku życia dostaje dodatkową zachętę w postaci tak zwanego *pass culture*, czyli talonu do wykorzystania na dobra kulturalne: kino, teatr, muzea czy właśnie zakup książek (najpierw drobne kwoty, a potem 300 euro na wejście w dorosłość).

Ceny przystępne i regulowane

Wydania kieszonkowe ukazują się zwykle po roku od wydania formatowego – oczywiście dotyczy to głównie pozycji, które dobrze się sprzedały i dalej nieźle rokują. Zarówno tzw. kieszonkówki, jak i książki w dużym formacie mają ustandaryzowaną cenę: ustaloną przez wydawcę i, pod rygorem prawa, również przez niego respektowaną.

Ustawa o jednolitej cenie książki jest kategoryczna: „Niezależnie od sieci dystrybucji (księgarnia, supermarket, sprzedaż online, punkt sprzedaży na dworcu kolejowym itp.), sprzedawca detaliczny nie może zmieniać ceny ustalonej przez wydawcę lub importera. Jakakolwiek podwyżka lub obniżka ceny jest surowo wzbroniona. Reguła ta stosuje się również do samego wydawcy, gdy sprzedaje swoje książki bezpośrednio konsumentowi końcowemu".

Do dziś się rumienię na myśl o własnym *faux pas*: kiedyś, na spotkaniu autorskim, zapytałam, czy premierową książkę można nabyć z rabatem, bo podobne praktyki pamiętałam z Polski. Zapadła niezręczna cisza, a potem usłyszałam, że niestety wszędzie i zawsze obowiązuje cena okładkowa.

THIBAULT CAMUS / AFP / EAST NEWS

W piątek 12 kwietnia, mimo bardzo napiętego kalendarza, **EMMANUEL MACRON** *znalazł czas na odwiedzenie paryskich targów książki. W reakcji na niepokojący barometr czytelnictwa mówił o konieczności systematycznej lektury i rozwijania „uzależnienia od czytania u młodych". Więcej książek w szkołach i bibliotekach, dobre wzorce u dorosłych.*

Sam słynie z tego, że dużo czyta, a w jego przemówieniach nie brak aluzji literackich. Snobizm? Możliwe, ale chyba zdrowszy niż to, co prezentuje Donald Trump, który – jak z niedowierzaniem powtarzają wciąż tutejsze media – nie czyta ponoć absolutnie nic.

Księgarz pod parasolem

Oczywiście pisząc o sprzedaży książek, nie można nie wspomnieć o słoniu, jakim jest Amazon. Co prawda ceny nowych książek obniżać nie może, ale konkuruje wygodą, bo dostawa jest szybka i tania. A raczej była, bo żeby chronić niezależne księgarnie, które w czasie pandemii przegrywały z gigantem, w 2023 r. rząd wprowadził minimalny koszt wysyłki w wysokości 3 euro. I nawet leniwym opłaca się już pofatygować do księgarni.

Zwłaszcza że naprawdę warto, bo paryskie *librairies* to żywa ilustracja tego, że książka nie jest tylko towarem, a księgarz to zawód z powołaniem. W księgarniach regularnie odbywają się wieczorne spotkania z autorami oraz nieformalne dysputy o książkach, sesje biblioterapii i poradnictwa książkowego. Często mam wrażenie, że księgarz przeczytał wszystkie książki w swoim rewirze – a przynajmniej sążnistą recenzję i słynne dzieło Pierre'a Bayarda o tym, jak błyskotliwie mówić o książkach, których się nie zna.

Uwielbiam odręcznie wypisane karteluszki z recenzjami personelu, które przyczepia się do książek – ufam im bardziej niż celebryckim blurbom. No i nic mnie tak nie ujmuje jak to, gdy ktoś opowiada o „swoim księgarzu" (*mon libraire*), tak jak mówi się o swoim lekarzu czy fryzjerze. Relacja jest wieloletnia i oparta na wzajemnym zaufaniu. Ja wiem, że mi dobrze doradzisz, a ty wiesz, że wysłuchawszy rady, nie pójdę do Jeffa Bezosa.

Kłótnie o literaturę

Podobnym zaufaniem cieszą się krytycy, których nikt nie posądza tu o konszachty z wydawcami. Albo o obniżanie standardów w ramach promocji czytelnictwa. We Francji o książki można się kłócić, czego najlepszym przykładem jest kultowa audycja „Le Masque et la Plume", gdzie recenzenci z pazurem i swadą spierają się o książki (program poświęcony jest na zmianę literaturze, filmowi i teatrowi).

Oczywiście jest też program telewizyjny „La Grande Librarie", następca kultowych „Apostrophes" Bernarda Pivota (1975-1990). Nadawany w najlepszym czasie antenowym, czyli po kolacji, gromadzi prawie pół miliona ludzi. Tu mowa o wielkiej literaturze, ale, o czym wielokrotnie się przekonałam, w dyskusjach nie ma snobizmu – prestiżowa rozgłośnia France Culture nadaje audycje o kryminałach, dużym powodzeniem cieszy się też komiks.

Zapewne idealizuję. Bo Francuzi też czytają mniej, bo w metrze coraz więcej TikToka, a coraz mniej Balzaka, bo rynek książki przejmuje prawicowy oligarcha Vincent Bolloré. Owszem, pojawiają się niepokojące objawy. Ale pacjent nadal jest w stanie dobrym i pod doskonałą opieką. Z medialnej dyskusji jasno bowiem wynika, że państwo nie zostawia go samego i chroni przed dzikim kapitalizmem.

© DOROTA MALINA

Hiszpania: czas książek

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISZPANII

Młodzi Hiszpanie czytają coraz więcej i coraz chętniej. Książki wracają do łask nie tylko w statystykach, ale i na ulicach.

Ponad 200 spotkań z autorami i ponad 2 mln sprzedanych książek. Pod koniec kwietnia ulice Barcelony i pobliskich miasteczek zamieniają się w gigantyczną księgarnię pod gołym niebem. W powietrzu unosi się zapach róż, autorzy podpisują swoje najnowsze dzieła, a wydawcy rywalizują o uwagę czytelników. To książki są bowiem głównymi bohaterkami dnia św. Jerzego, czyli Sant Jordi, katalońskiej odpowiedzi na Walentynki i Międzynarodowy Dzień Książki w jednym.

Fenomen Sant Jordi opiera się na prostej idei: książka za różę, róża za książkę. Tradycja sięga lat 30. ubiegłego wieku, ale jej współczesna siła polega na połączeniu kultury z emocjami, a literatury z rytuałem społecznym.

– W erze algorytmów Sant Jordi jest żywym dowodem na to, że książka – fizyczna, podpisana, wręczona z intencją – wciąż jest prawdziwym świętem. Wystarczy znaleźć dla niej lokalnego „sojusznika" – kwiat, napój, smak lub inny symbol – i tchnąć w promocję czytelnictwa nową siłę. To może być także kostium albo gra wideo, jak w przypadku mangi – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Jorge Carrión, hiszpański pisarz i krytyk kultury.

Carrión w swojej książce „Librerías" (wydanej także w języku polskim jako „Księgarnie") pisze o znaczeniu księgarni i księgarzy w promocji czytelnictwa. – Kiedy sztuczna inteligencja zalewa internet fałszywymi informacjami i samozwańczą publikacją, księgarze i księgarnie gwarantują jakość i rzetelność – powtarza Carrión.

Specjalnie dla młodych

„Książka w Hiszpanii ma obecnie bardzo dobry czas" – mówił Federacji Wydawców Daniel Fernández podczas ogłoszenia wyników badania czytelnictwa. Z kolei minister kultury Ernest Urtasun zapewniał, że „to kolejny już rok, kiedy obserwujemy, że nawyk czytelniczy w hiszpańskim społeczeństwie nie tylko się umacnia, ale rośnie". Według Federacji Wydawców to pandemia sprawiła, że wielu Hiszpanów na nowo odkryło czytanie, choć tak naprawdę wskaźniki czytelnictwa systematycznie rosną tu od 15 lat.

Ministerstwo Kultury ma plan promocji, a jego celem jest promowanie nawyków czytelniczych zwłaszcza wśród młodzieży. W tym roku w szkołach średnich i szkołach artystycznych odbędzie się ponad 400 spotkań z autorami. Wszystko po to, aby zbliżyć młodzież do literatury przez bezpośredni kontakt z pisarkami i pisarzami.

Wydaje się, że plan ministerstwa przynosi efekty, bo w czytelniczych statystykach dominują młodzi. Osoby w wieku od 14 do 24 lat są najbardziej aktywną grupą czytelniczą w kraju, aż 75 proc. z nich deklaruje, że w wolnym czasie chętnie czyta książki. Młodsze pokolenia mogą przyciągać autorzy i poeci, którzy coraz częściej publikują fragmenty swoich dzieł w mediach społecznościowych. Mimo wszystko wciąż większość czytelników wybiera książki tradycyjne, papierowe. A czytelnictwo jest wyższe w dużych miastach.

Wśród najchętniej czytanych gatunków literackich w Hiszpanii utrzymują się powieści kryminalne i thrillery, a do najbardziej cenionych autorów należą Dolores Redondo i Carlos Ruiz Zafón. Dużym zainteresowaniem wśród starszych czytelników cieszą się powieści historyczne, kobiety sięgają po powieści obyczajowe, które dotyczą życia codziennego, problemów społecznych i relacji międzyludzkich. W Hiszpanii rośnie także zainteresowanie romansami LGBTQ+ i powieściami romantycznymi łączącymi elementy fantasy czy kryminału.

PONAD 70 PROC. HISZPANEK I HISZPANÓW *przyznaje, że w ubiegłym roku przeczytało co najmniej jedną książkę – wynika z Barometru Czytelnictwa przygotowanego we współpracy z Ministerstwem Kultury. Ponad jedna trzecia deklaruje, że czyta codziennie lub prawie codziennie, a 19 proc. raz lub dwa razy w tygodniu. Z raportu magazynu CEOWORLD, dotyczącego sytuacji w 102 krajach, wynika z kolei, że Hiszpanie czytają rocznie 9 książek, co oznacza, że są w pierwszej dziesiątce na świecie pod względem popularności czytelnictwa.*

Programy, stypendia, tantiemy

W Hiszpanii rośnie nie tylko liczba czytelników, ale i wydawanych tytułów. W 2024 r. opublikowano niemal 90 tys. nowych książek, a ich sprzedaż wzrosła o prawie 10 proc., napędzana m.in. przez święta i literackie festiwale, takie jak Sant Jordi czy targi książki w Madrycie. Łącznie w ubiegłym roku sprzedano w Hiszpanii 77 mln książek.

Resort kultury stara się wspierać twórców przez program stypendiów i dotacji na publikacje. W ubiegłym roku ministerstwo przyznało ponad 80 stypendiów po 6250 euro, łącznie przeznaczając na ten cel ponad pół miliona euro. Oprócz tego przy Ministerstwie Kultury działa program dotacji na publikacje książek, czyli wsparcia wydawców i autorów w procesie wydawniczym.

Jorge Carrión jest bardzo znanym pisarzem nie tylko w Hiszpanii. Jego książki zostały przetłumaczone na 15 języków. Nie żyje bezpośrednio z pisania, jest też wykładowcą, dziennikarzem, kuratorem i scenarzystą. Mimo że książka w Hiszpanii cieszy się prestiżem, praca autora wciąż, jak mówi, nie jest sprawiedliwie wynagradza.

– W Hiszpanii autor może liczyć zwykle na dziesięcioprocentowy udział w zyskach, a to zdecydowanie za mało. Wartość intelektualna i kreatywna jest dziś gorzej oceniania niż ta związana z rzemiosłem: edycją, drukiem, dystrybucją czy sprzedażą. W Hiszpanii pisarze mogą jednak liczyć na wsparcie, przede wszystkim dobrze płatne wykłady i projekty inspirowane tematami ich książek – przyznaje Carrión. ©

▪ *Zoe Thorogood*, **SAMOTNOŚĆ W CENTRUM WSZECHŚWIATA**, *tłum. Olga Mysłowska, wyd. Nagle Comics*

Życie to nie film – nie układa się w logiczny ciąg przyczynowo-skutkowy. Jest nieuporządkowane, jego faktura jest niezborna, wątki niedokończone i, co gorsza, trudno w nim o satysfakcjonującą pointę. Taka jest właśnie „Samotność w centrum wszechświata", memuar brytyjskiej rysowniczki Zoe Thorogood. Według autorki to „książka, która miała nigdy nie powstać", będąca zapisem wycieńczających zmagań z depresją lękową. Thorogood już w pierwszej scenie przywołuje moment, w którym znalazła się na emocjonalnym dnie: kiedy spogląda w lustro, trzyma kuchenny nóż i informuje czytelników, że od dłuższego czasu myśli, czy nie wbić go sobie w szyję. W tej sekwencji kadrów jak w soczewce skupiają się elementy twórczej strategii rysowniczki opowiadającej o zaburzeniach psychicznych w sposób nader obrazowy; traktującej komiks jako ratunek przed osunięciem się w pustkę. „Samotność..." jest utworem introspektywnym, w którym historia podporządkowana jest odwzorowaniu stanu psychicznego autobiografki. W uplecionej ze zniekształconych przez depresję wspomnień opowieści autorka stosuje rozliczne techniki: rysunek, kolaż, fotografię, markuje stylem tak mangę, jak webkomiks, przekłada na papier interfejs komunikatorów internetowych oraz wywraca na nice strukturę narracyjną (dość powiedzieć, że w połowie zaczyna komiks od początku). „Samotność..." jest więc tyleż przejmującym wyznaniem melancholiczki, co przykładem artystycznej brawury.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

▪ *Gipi*, **STACY**, *tłum. Jacek Drewnowski, wyd. timof comics*

Jest w „Ostatniej rodzinie" scena, gdy Beksiński snuje sadystyczne fantazje o Alicii Silverstone. Mimo że malarz wyraźnie rozgranicza myśl od pragnienia jej urzeczywistnienia, jego monolog szarpie etyczne i aksjologiczne struny. Wybrzmiewa pytanie: czy fantazja jest równie naganna, co czyn? Odpowiedź na nie próbuje znaleźć Gianni, scenarzysta tandetnych seriali *science fiction*, który pochopnie podzielił się z mediami snem, w którym porywa i więzi dziewczynę imieniem Stacy. Kontrowersyjna wypowiedź wprawia w ruch machinę reakcji, a pisarz staje się *persona non grata*. PR-owa katastrofa potęguje w nim resentyment do obłudnej branży. Włoski rysownik i scenarzysta Gipi przeplata urywki niedorzecznych rozmów przedstawicieli świata filmu z koszmarnymi majakami, oddając w naturalistyczny sposób zamęt panujący w głowie upokorzonego Gianniego. „Stacy" jest opowieścią o popędliwości i okrucieństwie, które stanowić ma rdzeń człowieczeństwa. Gipi opisuje mroczne zakamarki ludzkiej psychiki za pomocą kreski nieestetycznej, surowej i rozedrganej, udobitniając w ten sposób brzydotę zarówno świata przedstawionego, jak i jego mieszkańców, którzy z *cancel culture* uczynili sposób na wycinanie konkurencji i torowanie sobie drogi do awansu.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

REKLAMA

ROBERTO RICCUTTI / MATERIAŁY PRASOWE EDINBURGH INTERNATIONAL BOOK FESTIVAL

Międzynarodowy Festiwal Książek w Edynburgu. 17 sierpnia 2021 r.

Szkocja: poeta na etat

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Kiedy mieszkańcy dowiedzieli się, że ich biblioteki zostaną zamknięte z powodu oszczędności, postanowili zaprotestować. Chcą przejąć wypożyczalnie i samodzielnie nimi zarządzać.

W rybackim Macduff biblioteka mieści się kilkaset metrów od przystani – w przestronnym, niedawno odnowionym budynku. Można tu przeglądać książki samodzielnie albo poprosić o pomoc bibliotekarkę – jeśli poszukiwany tytuł nie jest dostępny na miejscu, zostanie sprowadzony z centrali.

Biblioteka tętni życiem: są spotkania, zajęcia dla dzieci, raz w tygodniu zagląda na herbatę lokalna grupa spacerowa. Wiosną działa też „biblioteka nasion", w ramach której mieszkańcy wymieniają się nasionami sadzonych w domowych ogródkach warzyw i kwiatów.

To ostatnie takie miejsce w okolicy – dawny ratusz, kiedyś centrum życia towarzyskiego, od lat stoi zamknięty. Dziś cała nadzieja w bibliotece.

PRZECIĘTNY BRYTYJCZYK *przeczytał w ubiegłym roku (albo wysłuchał w wersji audio) trzy książki. Połowa mieszkańców Wysp kupiła co najmniej jedną. 19 proc. skorzystało z biblioteki, a 28 proc. pożycza książki od znajomych i krewnych. Preferowana jest książka drukowana, a nie e-book czy wersja audio – tak wybiera aż 61 proc. czytających.*

Ale z przeprowadzonych dwa lata temu badań wśród szkockich dzieci i nastolatków (między 8. a 18. r.ż.) wynika, że w swoim wolnym czasie 27 proc. z nich czyta prawie codziennie, a ponad 61 proc. przynajmniej raz w tygodniu. Prawie połowę do czytania zachęcili rodzice lub opiekunowie, także dlatego, że niemal 62 proc. dzieci po prostu widziało, jak rodzice sami czytają książki.

Komitet obrony bibliotek

W listopadzie ubiegłego roku mieszkańcy Macduff – a także kilkunastu innych miejscowości w regionach Aberdeenshire i Moray w północno-wschodniej Szkocji – otrzymali wiadomość, że ich biblioteka zostanie zamknięta w ramach budżetowych oszczędności władz samorządowych. Uznano, że pożyczających książki jest coraz mniej, więc taniej będzie niektóre biblioteki zamknąć, a książki dostarczać w inny sposób.

Nie wzięto pod uwagę funkcji, jakie te placówki pełnią – w małych ↦

↦ miejscowościach są sercem społeczności, często jedynym miejscem, gdzie mieszkańcy mogą się spotkać. Dla wielu starszych osób wyprawa do biblioteki to szansa na rozmowę, bycie z innymi ludźmi. Ich zamknięcie to coś więcej niż tylko trudniejszy dostęp do książek.

Po serii protestów, zawiązaniu się komitetów obrony bibliotek, apelach w mediach i dyskusji w szkockim parlamencie, w niektórych miejscach z planów się wycofano. W kilku z nich grupy mieszkańców zaproponowały przejęcie bibliotek i samodzielne ich prowadzenie. W Macduff petycję w sprawie zachowania otwartej biblioteki podpisało ponad dwa tysiące osób – to więcej niż połowa wszystkich mieszkańców.

Kiedy odwiedzam bibliotekę w Macduff pod koniec kwietnia, jej los nadal się waży. Jak zawsze, kieruję się w stronę półek z książkami dotyczącymi historii regionu. Kiedyś z książki o wielorybnikach dowiedziałam się, że późniejszy twórca postaci Sherlocka Holmesa, szkocki pisarz Arthur Conan Doyle, w młodości służył na statku wielorybniczym. A że kilka razy wpadł do wody, zaczęto go nazywać „Wielkim Północnym Nurkiem".

Tym razem znajduję książkę Christian Watt, urodzonej prawie sto lat temu w małej rybackiej osadzie Broadsea (teraz to część Fraserburgha). Życie Christian nie było łatwe, kilku członków jej rodziny, w tym syn, zginęło na morzu. Mimo wszystko pozostawiła po sobie fascynujące wspomnienia. To z nich dowiaduję się, że kiedy pracowała jako służąca, jej pani, chcąc ją wynagrodzić, zaproponowała jej materiał na nową sukienkę. Christian grzecznie odmówiła i zapytała, czy zamiast sukni mogłaby dostać... słownik. „Otworzył w moim życiu nowe królestwa" – pisała potem.

Kodeks dobrych praktyk

Edinburgh International Book Festival, który co roku odbywa się w szkockiej stolicy, jest jednym z największych na świecie. W tym roku swoje wspomnienia zaprezentuje na nim znana z czytelniczej pasji była premierka Nicola Sturgeon, regularnie polecająca książki na swoim Instagramie. Są też inne znane imprezy, jak Bloody Scotland, poświęcona kryminałom. W sumie co roku w całej Szkocji odbywa się 60 festiwali i targów książki.

GUILLEM LOPEZ / EAST NEWS

Jim Carruth, poeta i farmer, w przeszłości makar Glasgow

Istnieje też wiele instytucji wspierających pisarzy i promujących książki, jak m.in. Scottish Book Trust czy Creative Scotland. Szkocję obejmuje swoim działaniem brytyjski związek zawodowy The Society of Authors, zrzeszający 12 tys. twórców. Jego szkocki oddział wspólnie z branżową organizacją sektora wydawniczego Publishing Scotland wypracował kodeks dobrych praktyk, regulujący relacje między autorami a wydawcami.

Jednak z raportu zamówionego w 2022 r. przez Literature Alliance Scotland, największą w tym kraju organizację zrzeszającą pisarzy, wydawców, bibliotekarzy i inne osoby ze środowiska literackiego, wyłania się mniej optymistyczny obraz. Według niego aż 25 proc. freelancerów w tych zawodach – pisarzy, redaktorów, korektorów, wydawców, tłumaczy, ilustratorów itp. – uważa, że nigdy nie otrzymuje uczciwego wynagrodzenia. Średni dochód wynosił niewiele ponad 21 tys. funtów – to mniej niż płaca minimalna. Ale aż 66 proc. ankietowanych nie zarabiało nawet tyle. Ponad połowa freelancerów spotkała się z kolei z oczekiwaniem, że będzie wykonywać swoją pracę za darmo.

Poeta na pełen etat

„Makar" oznacza po szkocku twórcę, barda, poetę. Od 2004 r. istnieje oficjalne stanowisko makara – Narodowego Poety Szkocji (brytyjski odpowiednik, „poet laureate", istnieje od XVII w.). Kadencja trwa kilka lat, makar otrzymuje wynagrodzenie, a do jego obowiązków należy popularyzacja poezji, a także pisanie wierszy na okoliczność ważnych wydarzeń państwowych. Obecnie makarem jest Pàdraig MacAoidh (Peter Mackay) – pierwszy poeta na tym stanowisku piszący głównie w języku gaelickim.

Wsparcie poezji i poetów w Szkocji nie oznacza jednak, że nie mają oni podobnych wyzwań jak twórcy w innych krajach. Zresztą sam Robert Burns – bard, który głęboko zapisał się w szkockiej kulturze i tożsamości – zmagał się z chronicznym brakiem pieniędzy. Mimo sławy i otwartych drzwi na salony Edynburga, był ubogi i choć desperacko trzymał się posady poborcy podatkowego, umarł zadłużony. Za to teraz związana z nim turystyka przynosi Szkocji ponad 150 mln funtów rocznie.

– Nie można być poetą na pełen etat, nawet w Szkocji. Nie zarobi się na tym dużych pieniędzy. Do niedawna ja też zawsze miałem jeszcze inną pracę – przyznaje Jim Carruth, znany szkocki poeta, działacz literacki i farmer. – Są dostępne pewne stypendia, ale tylko na krótkoterminowe projekty. Przewodniczę „St Mungo's Mirrorbal" – sieci stu poetów w Glasgow, którą założyłem dwadzieścia lat temu – i tylko dwóch z nich utrzymuje się z działalności związanej z pisaniem, takiej jak korepetycje, redagowanie itp.

Carruth wychował się na wsi, nadal pomaga bratu w gospodarstwie, a doświadczenia rolniczej społeczności i związek z ziemią to znaczące wątki w jego wierszach. Ostatnia książka Carrutha, „Far Field", dokumentuje zmiany w rolniczym krajobrazie zachodniej Szkocji.

– Moja poezja jest często bardzo osobista, ale ważne jest dla mnie, by się nią dzielić – mówi Carruth, który chętnie czyta wiersze na spotkaniach autorskich w całym kraju. Podkreśla, że jego czytelnicy pochodzą zarówno z miast, jak i środowisk wiejskich. Jak zostaje się poetą w Szkocji? – pytam. – W moim przypadku niemal niechcący. Zawsze uwielbiałem czytać poezję, ale nigdy nie myślałem, że będę mógł ją pisać. Moją pasją było bieganie na długie dystanse. Kiedy kolana odmówiły posłuszeństwa, miałem nagle mnóstwo czasu... Myśli, które krążyły mi w głowie podczas biegania, zacząłem zapisywać na papierze. Mój brat wyrzucał starą maszynę do pisania, więc poprosiłem go o nią i tak się zaczęło – opowiada Carruth. Teraz, jak mówi, nie mógłby robić niczego innego.

Carruth zdobył wiele nagród, był makarem Glasgow i przyznaje, że tego rodzaju uznanie jest pomocne. Jednak poeci w Szkocji przyciągają dużo mniejszą uwagę niż inni twórcy.

Szkoła pisania

Donald S. Murray, pochodzący z wyspy Lewis na Hebrydach Zewnętrznych, wielokrotnie nagradzany autor ponad dwudziestu książek, w tym zbiorów poezji, też na początku pisarskiej kariery miał drugą, „zwykłą" pracę – był nauczycielem. Pisać zaczął wcześnie – jeszcze gdy był studentem jedno z jego opowiadań zostało zaadaptowane w radiu BBC, wygrał też konkurs dla młodych szkockich pisarzy.

– Pisałem zawsze, nawet gdy chodziłem do szkoły podstawowej. To była dobra szkoła, zachęcano mnie tam do pisania. Miałem szczęście do nauczycieli – mówi „Tygodnikowi". Zaznaczmy, że chodzi o małą szkołę na Lewis, wyspie, na której mieszka ledwie kilkanaście tysięcy ludzi. Dała ona Murrayowi też coś jeszcze – dwujęzyczność. Angielski jest jego pierwszym językiem, ale w wieku kilku lat po przeprowadzce na Lewis nauczył się gaelickiego.

– Piszę częściej po angielsku, bo w tym języku precyzyjniej się wyrażam, ale zdaję sobie sprawę, że na rytm mojego angielskiego ma wpływ gaelik – mówi. – W Szkocji było i jest bardzo wielu pisarzy z dwujęzycznego środowiska. Moim zdaniem dwujęzyczność pomaga w pisaniu.

W szkockiej literaturze współistnieją właściwie trzy języki: angielski, szkocki i gaelicki. Publikowane są też książki w regionalnych dialektach, na przykład doryckim. Zdaniem Murraya, w porównaniu z sytuacją gdy on zaczynał pisać i publikować, teraz wsparcie dla tworzących po gaelicku jest znacznie większe. I w ogóle władze mają wobec twórców bardziej – jak to określa – „przyjazny" stosunek.

Koszty brexitu

Obecny szkocki Makar Pàdraig MacAoidh – również pochodzący z Lewis – za swoje zadanie uważa „zachęcanie ludzi do tworzenia we wszystkich językach Szkocji, w dziesiątkach języków, którymi mówi się w tym kraju" i obserwowanie, co może się między nimi wydarzyć.

Neil M. Gunn był jednym z najważniejszych szkockich pisarzy pierwszej połowy XX w., zaangażowanym w szkocki ruch narodowy. Teraz co dwa lata odbywa się konkurs pisarski organizowany przez fundację Neil Gunn Trust.

Gunn urodził się w Dunbeath na północy Szkocji, gdzie zaczyna się też jego najbardziej znana powieść „Highland River". W wiosce, w której mieszka około 160 osób, znajduje się dziś pomnik małego chłopca Kenna i łososia – bohaterów tej właśnie książki (ich zmagania w chłodny poranek w wodach strumienia otwierają powieść).

Nieco dalej, za ostatnimi domami, blisko rzeki, znajdziemy wydawnictwo Whittles Publishing, publikujące głównie książki naukowe i non-fiction, ale też tytuły Gunna. Keith Whittles, założyciel wydawnictwa, opowiada, że wybór Dunbeath na siedzibę firmy był raczej przypadkowy – potrzebował miejsca na biuro, które mieściłoby się w budżecie.

Przypadkiem było też w pewien sposób założenie wydawnictwa. – Zacząłem pracować w 1978 r. w wydawnictwie Blackie & Son w Glasgow. Właśnie skończyłem moje badania do doktoratu z geologii i zmierzałem w stronę kariery akademickiej. Ale moja żona zobaczyła ogłoszenie o pracy dla redaktora w dziedzinie nauk ścisłych i inżynierii i stało się! – wyjaśnia Whittles. – Zostałem redaktorem freelancerem. Opuściłem Blackie w 1986 r., aby założyć Whittles Publishing Services, zaś Whittles Publishing Ltd powstało w 2003 r.

Wydawnictwo działa z powodzeniem od prawie ćwierćwiecza. Jednak rosnące w ostatnim czasie koszty papieru i wysyłki okazują się wyzwaniem. – Oraz okropna biurokracja przy próbach sprzedaży do Europy z powodu brexitu, który był ogromnym błędem – dodaje wydawca. – Co więcej, podczas gdy wszystkie koszty idą w górę, my nie możemy podnieść cen naszych książek, ponieważ czytelnicy również cierpią z powodu rosnących kosztów utrzymania. Można dostać jakąś pomoc, ale to niełatwe.

W przeszłości o wsparcie Whittles rzadko zabiegał, zdając sobie sprawę, że rodzaj literatury faktu, jaką publikuje, ma na to mniejsze szanse. – Teraz przechodzę już powoli na emeryturę – przyznaje – ale gdybym tylko był młodszy, chciałbym, by wydawnictwo dalej się rozwijało.

© PATRYCJA BUKALSKA

Z ARCHIWUM „TP"

Ulga w ponure dni

ALBERTO MANGUEL
argentyński pisarz i tłumacz

Kiedy pragnąłem odpowiednika kojącej strawy, czegoś, co dałoby mi rozkosz, i do czego mógłbym w nieskończoność i niestrudzenie powracać, poprosiłem przyjaciela, by przywiózł mi dwa tomy „Don Kichota". „Don Kichot" to wybór doskonały. Wcześniej wielokrotnie wracałem do tej powieści, wiedziałem więc, że nie zaskoczy mnie fabułą, a że można czytać arcydzieło Cervantesa rozkoszując się samym pomysłem, bez konieczności zgłębiania erudycyjnych zagadek, to pozwoliłem sobie na spokojny dryf z nurtem opowieści w ślad za szlachetnym rycerzem i jego wiernym giermkiem. Do pierwszej lektury „Don Kichota", która przypada na czas szkoły średniej, a którą odbywałem pod przewodem mojego profesora Izajasza Lernera, dodałem w późniejszych latach wiele innych lektur, podejmowanych w różnych miejscach i nastrojach. Teraz mogę tę listę uzupełnić o „Don Kichota" uzdrawiającego, niosącego pospołu ukojenie i pociechę. „Don Kichot" przynosił mi ulgę w ponure dni i niespokojne noce. Gdy dowiedziałem się, że będę musiał wrócić do szpitala na drugą operację, byłem przygotowany.

Cały tekst został opublikowany w 2011 r. w magazynie literackim „Książki w Tygodniku" (TP 49/2011)

Natura kluski

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Paulina Nawrocka-Olejniczak – dziennikarka, twórczyni kulinarnego podkastu „Zabawy jedzeniem" w ramach food studies na Uniwersytecie SWPS napisała pracę dyplomową o... kluskach. W 2021 r. zrobiła z niej e-book, który w wersji rozszerzonej ukazał się właśnie w okładkach. To nie tylko – i aż – kompendium przepisów na współczesne i historyczne, ogólnopolskie i regionalne kluski, kluseczki, kopytka, knedle czy kartacze, ale też wiedzy o pochodzeniu i naturze tego niebanalnego, choć niepozornego pokarmu.

Bo czym właściwie są kluski? Z badań autorki wynika, że kluskę definiuje się przez negacje i paradoksy: to nie makaron ani nie pierogi. Nie są pieczone ani smażone, choć świetnie smakują również po odsmażeniu. Mogą być dodatkiem do zupy lub samodzielnym daniem. Z nadzieniem lub bez. Robi się je z mąki, ziemniaków, twarogu lub ich kombinacji. Gotuje na wrzątku, choć ledwie mrugającym. Zamotane to jak nasza tożsamość. A okazują się naszej tożsamości (jarskim) składnikiem.

Autorka przyznaje się do bycia jedną z milionów Polek, dla których kluski to comfort food. I już na wstępie konfrontuje się z faktem, że kluska, jak wszystko co wiąże się z domem, a więc z tożsamością, to materia drażliwa: czy białe kluski wolno jeść z czymś innym niż rolada i modra kapusta? Czy leniwe to kluski, czy pierogi? I czym dla Ciebie, czytelniku, jest właściwie pyza? Kluchą ziemniaczaną czy drożdżową, nadziewaną czy nie? Ano właśnie.

Ikoną polskiej kuchni stały się pierogi, a to przecież kluski są świadectwem naszej różnorodności i złożoności – bo kluski, czasem z parmezanem, czasem z bryndzą – łączą też chłopską chatę z mieszczańską kuchnią, a nawet (jak XVII-wieczne „kloski z marchwie") z barokowym dworkiem. Czasem jedna nazwa kluski zależnie od regionu oznacza coś zupełnie innego, czasem pod wieloma nazwami kryje się ta sama kluska.

A nazwy, które autorka pieczołowicie zbiera, same w sobie są smakowite. I znaczące, bo czy o kluskach wiele nie mówi fakt, że ich nazwy niosą tyle bombastyczności, rozpasania, zabawy? Oto hulajdy, kulanki, nagusy, kacapoły, cepeliny, żabieckie gały, klęgle, bendzwały...!

Nie mamy jeszcze, wzorem neapolitańczyków i ich pizzy, Instytutu Kluski Polskiej. Jak dobrze, że mamy tę książkę. ©℗

■ *Paulina Nawrocka-Olejniczak,* **KLUSKI. TEORIA I PRAKTYKA**, *il. Kira Pietrek, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025 r.*

REKLAMA

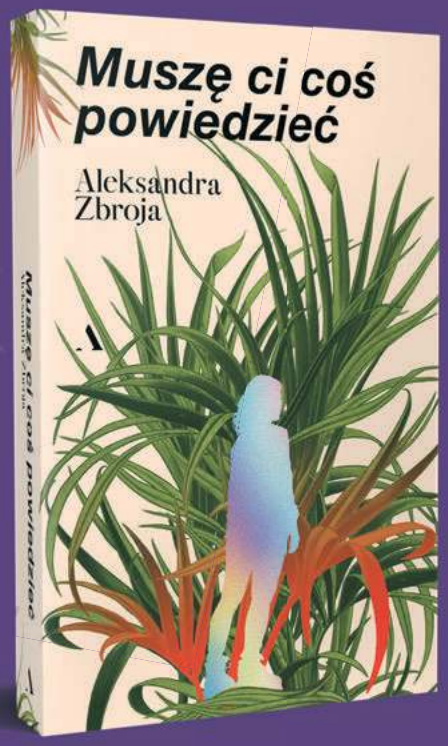

Nowa książka laureatki Odkryć Empiku, nominowanej do Nagrody Literackiej „Nike"

Joanna rusza w daleki świat spełniać marzenia. Diagnoza, która spada jak grom z jasnego nieba wywraca jej życie do góry nogami. Nagle zostaje bez nadziei i planów. Autorka książki „Mireczek. Patoopowieść o moim ojcu" wraca z powieścią, która przełamuje tabu i chwyta za gardło.

Takiej powieści jeszcze w Polsce nie było.

SYLWIA CHUTNIK

Wciągający Bildungsroman. Czytajcie!

IGNACY KARPOWICZ

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

Duch w urzędzie

MONIKA OCHĘDOWSKA

Na targach książki w Warszawie ustawia się do niej tłum czytelniczek i czytelników. Mimo że na stoisku wydawcy szybko wyprzedano wszystkie jej książki, pokaźna grupka wielbicieli tak czy owak chce zdobyć autograf albo chociaż uścisnąć jej dłoń. Nie inaczej jest podczas spotkania w Pałacu Kultury – Sala Kisielewskiego pęka w szwach.

To z jednej strony wynik rosnącej popularności literatury południowokoreańskiej, ale sam temat, który podjęła w swojej książce Jeon Heyjin, wzbudza dziś spore zainteresowanie. Dość powiedzieć, że został on właśnie rozwinięty na dużej wystawie w Muzeum Manggha. Od 1 czerwca można w Krakowie oglądać ekspozycję „Sto nocnych zjaw. Duchy, demony i upiory w sztuce Japonii i Zachodu".

Południowokoreańska pisarka, autorka opowiadań science ficton i popularnych powieści poruszających tematykę mniejszości czy dyskryminacji, pojawia się w języku polskim z historiami o duchach i demonach, które zamieszkują zarówno w starych wierzeniach i legendach, jak i we współczesnych komiksach, serialach, filmach i powieściach z Korei Południowej. Skądinąd, jak mówi „Tygodnikowi" Heyjin, to właśnie popularne w latach 90. programy telewizyjne, które oglądała jako gimnazjalistka, skłoniły ją po latach do przyjrzenia się temu, jaka myśl kryje się za wzbudzającymi lęk postaciami upiorów.

Heyjin dotarła do starych ksiąg i archiwów, przeczytała setki legend, uporządkowała je i podzieliła na kategorie, a następnie postanowiła rozpracować schematy, wedle których w jej kulturze przedstawiane są kobiety. Książka wyjaśnia więc, jak najczęściej pokazywane były w opowieściach ofiary morderstw i wojen, ale też domowej przemocy – i dlaczego to właśnie w tej roli pojawiają się najczęściej kobiety. Autorka pokazuje, jak prezentowane były w kulturze koreańskiej miłość, macierzyństwo i staropanieństwo. Wyjaśnia, dlaczego kobiety tak często musiały między sobą rywalizować.

Dowiadujemy się też, dlaczego duchy tak często nawiedzają koreańskich urzędników, albo jak problemy na rynku mieszkaniowym przejawiały się w tamtejszych historiach o nawiedzonych domach. „Duchy i boginie" sprawdzą się jako przewodnik po popularnych, coraz częściej przekładanych na język polski powieściach z Korei Południowej, w których co rusz natrafiamy na motywy fantastyczne, ludzi zamieniających się w rośliny albo zmarłych wracających zza grobu. ©℗

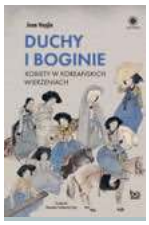

▪ *Jeon Heyjin*, **DUCHY I BOGINIE. KOBIETY W KOREAŃSKICH WIERZENIACH**, *przeł. Dominika Chybowska-Jang, Wydawnictwo Bo.wiem, Kraków 2025*

REKLAMA

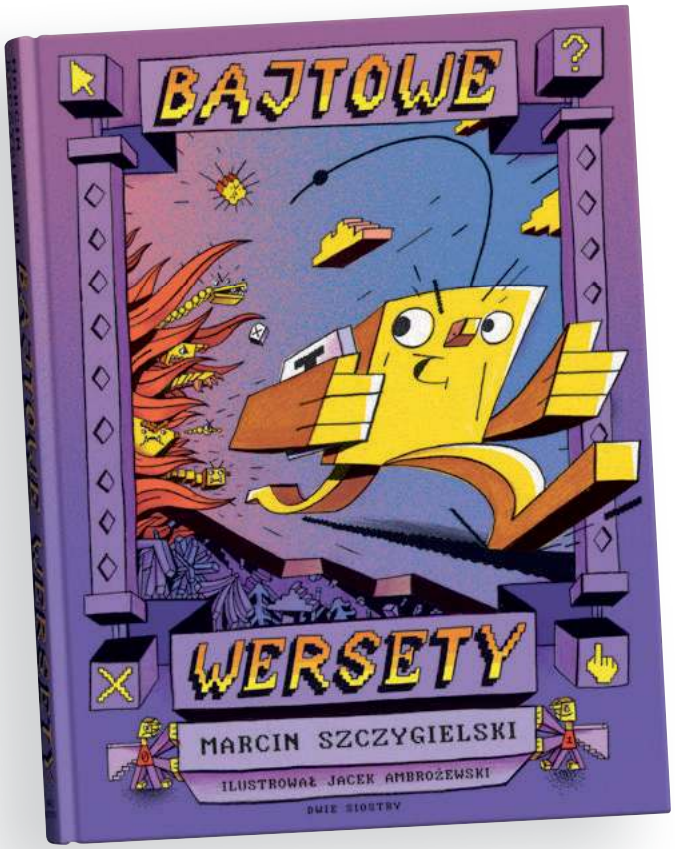

Czym jest dysk, o Panie?
– zapytali strwożeni bajtowie.
Dysk światem jest całym
– odrzekł Buk Marzenka IVC.

Nowa powieść najczęściej nagradzanego autora literatury dziecięcej!

Przeczytaj ją, a dowiesz się, co naprawdę kryje się we wnętrzu komputera. I przekonasz się, że przygody bywają niebezpieczne, ale jeszcze groźniejsze bywa czasem... **myślenie.**

wydawnictwodwiesiostry.pl

Korea Południowa: opowieści poprawiają nastrój

DOMINIKA CHYBOWSKA-JANG

Koreańska fala z impetem dotarła również nad Bałtyk i na razie nic nie wskazuje na to, by miała ustąpić.

Ciesząca się ogromnym zainteresowaniem muzyka, coraz chętniej oglądane seriale, których mnóstwo nie tylko na Netfliksie, ale również w ofercie TVP, lokale serwujące koreańskie potrawy w kolejnych polskich miastach. Boom na wszystko, co związane z Krajem Spokojnego Poranka, przełożył się również na rosnącą popularność literatury. Wydawcy na całym świecie zapowiadają kolejne książki, powieści koreańskich autorów coraz częściej otrzymują nominacje do prestiżowych nagród takich jak Międzynarodowy Booker, a w zeszłym roku doczekali się nawet pierwszego literackiego Nobla. Jak wygląda zatem sytuacja na tamtejszym rynku książki?

Koreańczycy uwielbiają podążać za trendami. Ma to swoje odzwierciedlenie również w ofercie księgarń, czego przykładem może być (stopniowo słabnąca) popularność tzw. healingów, czyli prostych obyczajówek przedstawiających codzienne problemy i przemyślenia bohaterów, których losy krzyżują się w przytulnych miejscach takich jak księgarnie, pralnie czy różnego rodzaju sklepy.

Najpopularniejsze tytuły z tego nurtu mogą się pochwalić niesamowitymi wynikami – opublikowanego pierwotnie w 2021 r. „Nietuzinkowego sklepu całodobowego" (pol. wyd. Znak Literanova) wraz z jego kontynuacją Kim Ho-Yeon sprzedał już ponad półtora miliona egzemplarzy, a wydana w roku 2023 „Pralnia Serc Marigold" Jungeun Yun (Mova) doczekała się kilka miesięcy temu setnego dodruku, sprzedawszy się w przeszło 500 tysiącach sztuk.

Obserwując cotygodniowe rankingi sprzedaży na stronie Kyobo, najpopularniejszej sieci księgarń w Korei Południowej, można spostrzec, że najwyższe miejsca zajmują różnego rodzaju poradniki, publikacje popularnonaukowe oraz podręczniki do nauki. Koreańczycy chętnie stawiają na rozwój, co przekłada się również na ich wybory czytelnicze. Ale, co ciekawe, gatunkiem publikowanym znacznie częściej niż w Polsce są zbiory esejów.

Największą popularnością cieszą się w Korei rodzimi autorzy. W pierwszej dwudziestce najlepiej sprzedających się powieści pod koniec maja znalazło się tylko sześć przekładów, ale z reguły wygląda to podobnie: w przypadku literatury pięknej koreańscy czytelnicy sięgają głównie po klasykę, np. Hessego czy Orwella, po zagranicznych pisarzy nagradzanych prestiżowymi nagrodami oraz poczytnych sąsiadów, np. Harukiego Murakamiego czy Keigo Higashino. Trochę więcej obcych nazwisk można znaleźć wśród publikacji popularnonaukowych.

Według danych zbieranych przez Koreański Urząd Statystyczny (KOSIS) Koreańczycy coraz rzadziej znajdują czas na lekturę. Badanie z roku 2023 mówi, że w ciągu dekady poziom czytelnictwa spadł z 62,4 proc. do 48,5 proc. Oznacza to, że ponad połowa obywateli nie sięga nawet po jedną książkę rocznie. Nie będzie raczej zaskoczeniem, że grupę najpilniejszych czytelników stanowi młodzież w wieku szkolnym. Warto jednak zaznaczyć, że w koreańskich szkołach nie ma utartego kanonu lektur, dzieci nie mają nawet obowiązku sięgania po książki – najważniejsze teksty kultury poznaje się na lekcjach głównie dzięki fragmentom zamieszczonym w podręcznikach.

Mimo wszystko da się zaobserwować tendencję wzrostową – między 2021 a 2023 rokiem, kiedy opublikowano najświeższe wyniki ankiet, poziom czytelnictwa wzrósł o 2,9 punktu procentowego. Zainteresowanie literaturą zaczęło rosnąć jeszcze bardziej po Noblu dla południowokoreańskiej pisarki Han Kang. Wydawnictwo Munhak Dongne, odpowiadające za publikację między innymi „Białej elegii" oraz „Nie mówię żegnaj", odnotowało ostatnio ogólny wzrost sprzedaży o 43,8 proc., co przełożyło się na wzrost zysków w wysokości 297 proc. względem poprzedniego roku.

Wpływ na wyniki wydawców może mieć również stała cena książki, która została uregulowana prawnie w roku 2014. Ustawa zakłada, że przez pierwsze 18 miesięcy od publikacji rabat sprzedażowy nie może wynieść więcej niż 10 proc. (zezwala się maksymalnie na 15 proc. z uwzględnieniem zniżek członkowskich). Na terenie całego kraju prężnie funkcjonuje również sieć antykwariatów Aladin, oferująca najnowsze pozycje z drugiej ręki w atrakcyjnych cenach.

Koreański marketing również różni się nieco od rynków zachodnich. Co prawda bookstagramy i inne profile recenzujące książki w mediach społecznościowych cieszą się coraz większą popularnością, jednak ważny jest wciąż wpływ celebrytów. Przyłapanie znanego aktora z tomikiem w ręku potrafi w jednej chwili zmienić nieznaną książkę w bestseller. Tak było chociażby w przypadku „Nie mam ochoty żyć, ale za bardzo lubię tteokbokki" Baek Sehee (Yumeka) czy „Demiana" Hermanna Hessego.

Najbliższe lata pokażą, czy literatura koreańska zdoła na dłużej zagrzać miejsce w sercach zagranicznych czytelników. Jak na razie zainteresowanie wydawców nie słabnie, następne miesiące przyniosą polskim czytelnikom wiele ciekawych premier. ©

Jak z filmu

URSZULA HONEK

Po raz pierwszy przychodzę do państwa z debiutem. Krzysztof Hoffmann nie opublikował jeszcze książki poetyckiej, ale kiedy przeczytałam kilka jego wierszy, od razu zdecydowałam, że muszę się podzielić tym odkryciem. Nie mogłam przestać myśleć o jego utworach, a jeden z nich – publikowany na tej stronie – ogromnie mnie poruszył. Czytałam go wiele razy, na głos i po cichu, aż w końcu nauczyłam się go na pamięć.

Wiersz „Tak miało być" jest jak scena filmowa: mężczyzna wsiada do samochodu, chwilę się waha i w końcu odpala auto. Wyraźnie chciałby zostać, ale nigdy nie dowiemy się, dlaczego. Jest noc, cisza i ciemność. Przypominają mi się wszystkie chwile, kiedy, jak on, chciałam sobie lub komuś bliskiemu powiedzieć: zostań. Ten moment może trwać sekundę albo wieczność, lecz zapamiętuje się go na zawsze. Aż w końcu się rusza, choć po drodze, jak w wierszu Hoffmanna, może czekać wszystko albo nic. Nie ma żadnej gwarancji ani obietnicy spełnienia.

W tym utworze ważny wydaje się ruch i powtarzane czynności: mężczyzna przyspiesza, zwalnia, puszcza kierownicę, zamyka oczy, gasi światła. Gna do życia czy ku śmierci? Powiedziałabym, że i tu, i tam. „Tak miało być" to bowiem jedno z najtrudniejszych zdań, które – czy tego chcemy, czy nie – trzeba będzie wypowiedzieć. Warto wtedy – na głos lub po cichu – zanucić: „Zakochuj się w szumie, świście, ciszy, każdym dźwięku, w śpiewie". ©

KRZYSZTOF HOFFMANN

Tak miało być

Była północ, za kwadrans, gdy wsiadał w samochód,
ale nie chciał odjeżdżać, ani gnać przed siebie.
Choć pracował po drodze, nie czekał go dochód.

Puste place, ulice, przyspieszał po trochu,
latarnie się zmieniały w rwany ścieg na niebie.
Północ pięć na zegarku, prowadził samochód.

Wyjechał poza miasto. Słupki na poboczu
migały odblaskami. Ustał smak po chlebie.
Zgasił światła. Po drodze nie czekał go dochód.

Na obecność poza nim nie szukał dowodu
więc wolno zamknął oczy – nic nie pokolebie.
Druga czterdzieści w nocy, prowadził samochód.

Aż mógł przestać prowadzić. Poszukał sposobu
by puścić kierownicę. Nie czuł się w potrzebie
tej pracy rąk po drodze, nie czekał go dochód.

I było jak być miało. Pomyślał: „Zakochuj
się w szumie, świście, ciszy, każdym dźwięku, w śpiewie".
Może mogło już świtać, wciąż jechał samochód.
Choć pracował po drodze, nie czekał go dochód.

MACIEJ KACZYŃSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

KRZYSZTOF HOFFMANN
(ur. 1983) – mieszka w Poznaniu, gdzie pracuje na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza.

Wiersze poetek i poetów publikowane w felietonach Urszuli Honek mają swoją premierę na łamach „Książek w Tygodniku".

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 23/2025

REDAKCJA: Monika Ochędowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | FOTOEDYCJA: Jacek Taran
TP TYPOGRAFIA: Agnieszka Cynarska-Taran

PARTNEREM WYDANIA JEST ERGO HESTIA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

NOMINACJE

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

Nagrodę Literacką GDYNIA ustanowiono w 2006 roku z inicjatywy władz miasta. Przyznawana jest za wyjątkowe osiągnięcia literackie – polskim autorom i autorkom, których książki ukazały się w poprzednim roku – w czterech kategoriach: Esej, Poezja, Proza, Przekład na język polski.

Nagrodzie Literackiej GDYNIA, która w tym roku obchodzi swoje dwudziestolecie, towarzyszy festiwal Miasto Słowa. Z tej jubileuszowej okazji odbędzie się wiele spotkań i dyskusji podejmujących próbę uchwycenia tego, co najistotniejsze w polskiej literaturze XXI wieku.

Festiwal odbędzie się w Muzeum Miasta Gdyni w dniach 25-31 sierpnia.

W skład Kapituły Nagrody wchodzą: Dorota Kozicka (przewodnicząca), Piotr Bogalecki, Eliza Kącka, Barbara Klicka, Jakub Kornhauser, Adam Lipszyc, Tomasz Swoboda oraz Natalia Gromow (sekretarz).

Ogłoszenie laureatek i laureatów oraz wręczenie nagród odbędzie się 29 sierpnia w Teatrze Muzycznym w Gdyni.

Szczegółowe informacje na temat nominowanych książek oraz wydarzeń festiwalowych: www.nagrodaliterackagdynia.pl

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

BIBLIOTEKA GDYNIA

GDYNIA moje miasto

WOJCIECH ROJEK

ESEJ

- Agnieszka Berlińska **SZAJNA SZAJNISKO. PORTRET ZAKULISOWY** (Teatr Studio): znakomita opowieść o kontrowersyjnym reżyserze i sztuce PRL-u.

- Weronika Kostyrko **RÓŻA LUKSEMBURG. DOMEM MOIM JEST CAŁY ŚWIAT** (Marginesy): czuła, a zarazem zaangażowana biografia wybitnej myślicielki, przywracająca ją polskiej kulturze.

- Kora Tea Kowalska **PATRZ POD NOGI. O ZBIERANIU RZECZY** (Karakter): książka o fascynacji gromadzeniem przedmiotów, które na pierwszy rzut oka wydają się śmieciami, lecz w istocie nimi nie są.

- Maciej Pisuk **STANIEMY SIĘ TACY JAK ON. GŁOSY Z PRZEKLĘTEJ ULICY** (Cyranka): poruszająca książka oddająca głos wykluczonym mieszkańcom ulicy Brzeskiej.

- Joanna Wilengowska **KRÓL WARMII I SATURNA** (Czarne): wspaniała opowieść o Warmii i o trudnej, lecz pięknej relacji między córką a starzejącym się ojcem.

DO NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA 2025

POEZJA

▪ Anouk Herman **SILESIAN GOTHIC** (Girls and Queers to the Front). Zamiast gotyku – Hala Kapelusz i kawiarnia Arizona; zamiast stereotypu – intensywność indywidualnego przeżycia; zamiast naśladownictwa – energia rytmu i poetycki szwung. W drugiej książce poetyckiej Herman wszystko jest dziwniejsze, niż się wydaje.

▪ Agata Puwalska **OTWARTE ŚWIATY** (Katalog Press). W 2024 r. Puwalska opublikowała dwie znakomite książki poetyckie. W jednej zaprasza nas do świata funku, w drugiej uczy patrzenia, prześwietlając gęste wiersze bielą. To ta druga – spójna, zdyscyplinowana, nawiązująca do najlepszych wzorców awangardy – otwiera przed nami najwięcej.

▪ Krzysztof Siwczyk **NA PRZECIĘCIU ARTERII** (Biuro Literackie). Na przecięciu dyskursów i ustrojów, biografii ojca i własnej, poematu i narracji, poezji i prozy – Siwczyk stworzył chyba najbardziej osobistą, a z pewnością jedną z najbardziej poruszających książek poetyckich ostatnich lat.

▪ Przemysław Suchanecki **ŁUCZNIK** (Kontent). Strzały wypuszczane przez tego poetę rzadko chybiają. Lecąc przez odległe tradycje i epoki, przez wyludnione miasta i ogrody, przez dawne dykcje i estetyki – trafiają w punkt.

▪ Mateusz Żaboklicki **GARADOBEDARO** (Nisza). Rozbrajający, nostalgiczny poemat o utracie, a jednocześnie szalona, chłopięca podróż do czasów, gdy Michael Jordan mylił się z Michaelem Jacksonem, a CB-radio wydawało się ósmym cudem świata.

PROZA

▪ Andrzej Dybczak **LAS DUCHÓW** (Nisza) fascynującą opowieść o wyprawie na Syberię w poszukiwaniu wyjaśnienia zagadki tajemniczych figurek znalezionych w krakowskim Muzeum Etnograficznym.

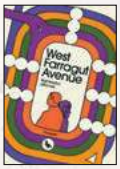

▪ Agnieszka Jelonek **WEST FARRAGUT AVENUE** (Cyranka) – historia miłosna, która została opowiedziana tak, że trudno się nią nie zachwycić.

▪ Elżbieta Łapczyńska **MOWA CHLEBA** (Agora) poruszająca, boleśnie realistyczna, a jednocześnie baśniowa i surrealna opowieść o rumuńskim zakładzie dla sierot, do którego trafiają dziesiątki niechcianych dzieci.

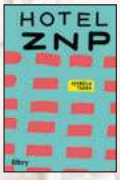

▪ Izabela Tadra **HOTEL ZNP** (Filtry) barwny, fascynujący, przerysowany monolog dziewczyny o wiele mówiącym imieniu Belcia.

▪ Michał Trusewicz **PLEMIĘ** (ArtRage) – alegoryczna, rozbuchana, językowo odważna opowieść o tych, którzy byli, są i będą zepchnięci na margines, upokorzeni, zawstydzeni.

PRZEKŁAD NA JĘZYK POLSKI

▪ Marcin Gaczkowski za przekład powieści **MIASTO** Waleriana Pidmohylnego z języka ukraińskiego (Kolegium Europy Wschodniej). Gaczkowski stworzył żywą, dynamiczną wersję polszczyzny, która z Kijowa lat 20. XX w. uczyniła fascynującą metropolię.

▪ Barbara Jaroszuk za przekład powieści **PASIERB** Juana José Saera z języka hiszpańskiego (ArtRage). W tym tłumaczeniu wyrafinowana polszczyzna tętni fascynacją językiem i odkrywaniem świata – nawet jeśli tym światem jest XVI-wieczne Rio de la Plata.

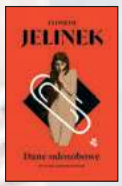

▪ Agnieszka Kowaluk za przekład powieści **DANE ODOSOBOWE** Elfriede Jelinek z języka niemieckiego (W.A.B.). To przekład obnażający zarówno mechanizmy władzy, jak i sam język jako jej narzędzie.

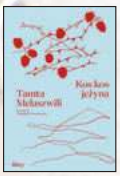

▪ Magdalena Nowakowska za przekład powieści **KOS KOS JEŻYNA** Tamty Melaszwili z języka gruzińskiego (Filtry). Tłumaczka w przejmujący sposób oddała jednocześnie czuły i stanowczy głos bohaterki tej opowieści.

▪ Aga Zano za przekład zbioru **JOHNNY PANIKA I BIBLIA SNÓW ORAZ INNE OPOWIADANIA** Sylvii Plath z języka angielskiego (Marginesy). W jej przekładzie Plath jest zarazem łagodna i melancholijna, zawadiacka oraz bezkompromisowa.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

MORTEZA NIKOUBAZL / GETTY IMAGES

Międzynarodowe Targi Książki w Teheranie w Wielkim Meczecie Imama Chomeiniego. Iran, 14 maja 2023 r.

Ostatnia wiosna w Iranie

NÉGAR DJAVADI, PISARKA I SCENARZYSTKA:

Iranki są wyjątkowo odważne. Od czterdziestu lat niezmordowanie walczą o wolność i coraz bardziej zsuwają chustę. Nie dlatego, że reżim odpuścił. Same sobie to wywalczyły.

Z Négar Djavadi spotykam się pewnego marcowego ranka w kawiarni nad kanałem Valmy. Do Paryża w końcu zawitała wiosna. Kawiarnia, którą wybrała autorka, to typowa francuska café ze stałymi bywalcami, za to bez napojów roślinnych. Zajmuję miejsce w środku i przez dobry kwadrans obserwuję świat zza brudnawej szyby.

Djavadi zjawia się chwilę przed czasem i wita mnie z autentycznym entuzjazmem, jakby nie był to kolejny z wywiadów, w którym cierpliwie opowiada, że nie, nie jest swoją powieściową bohaterką Kimją, i tak, chciałaby wrócić do Iranu, ale dopiero po upadku reżimu.

DOROTA MALINA: Umówiłyśmy się o dziewiątej rano, bo potem biegnie Pani na spotkanie z producentem i czytanie scenariusza serialu.

NÉGAR DJAVADI: Po pierwsze, bardzo lubię pisać dla kina. Mogę wymyślić sobie scenę, która dzieje się w tej kawiarni, a potem kilkadziesiąt osób nad nią debatuje – to jest fantastyczne. A po drugie: zawsze lubiłam wstawać bardzo wcześnie. Dawniej poświęcałam poranki na oglądanie filmów, teraz głównie piszę. Scenopisarstwo wymaga dużego nakładu pracy – trzeba napisać średnio cztery, pięć scenariuszy, żeby choć jeden został zrealizowany. A potem i tak kilka razy go przepisać. Nie uważam jednak, że jest to czas stracony.

Nawet jeśli komuś z publiczności testowej nie spodoba się zakończenie i trzeba będzie wszystko zmieniać?

Tak, w tej pracy trzeba zaakceptować, że jest się trybikiem w wielkiej maszynie i schować ego do kieszeni. Z literaturą jest inaczej – redaktorzy, przynajmniej we Francji, wprowadzają bardzo niewiele zmian, nie mają śmiałości. Znam sporo pisarzy, którzy próbowali zostać scenarzystami, ale potem wrócili na poletko literackie, bo nie mogli znieść ciągłych ingerencji.

Jak było w Pani przypadku?

Ze mną jest inaczej, właśnie dlatego, że zaczynałam w kinie. Przez dziesięć lat byłam asystentką kamerzysty, potem operatorką. Równocześnie pisałam scenariusze do czterech filmów. Literatura przyszła później.

Wiele zawdzięczam pisaniu dla kina. Gdyby nie ono, nigdy nie napisałabym „Wszystkich moich rewolucji", nie miałabym odwagi. Nie byłabym też w stanie utrzymać w głowie tylu bohaterów, epok i historii, pociągać za wiele różnych sznureczków. Nie wiedziałabym, jak podzielić opowieść, kiedy po-

PHILIPPE MATSAS / / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA CZARNE

Négar Djavadi, 2020 r.

rzucić wątek, kiedy do niego wrócić. Jak nadać opowieści taki rytm, żeby czytelnik ani się nie znudził, ani nie pogubił. To wszystko kwestia techniki pisarskiej. Metoda, nie muza.

Pani książka ukazała się po francusku prawie dziesięć lat temu, w Polsce dostajemy ją dopiero teraz. Co się zmieniło przez tę dekadę? Czy nadal czuje się Pani, jak mówiła wtedy w wywiadach, wygnańcem, nie imigrantką?

Już od dawna nie czuję się ani imigrantką, ani wygnańcem. Od czterdziestu pięciu lat mieszkam we Francji. Nie mam więc problemu, z którym borykają się ludzie z podwójnym obywatelstwem. Nie jestem rozdarta między dwoma krajami, bo po prostu nie mogę wrócić do Iranu.

Oczywiście, adaptacja przebiegała powoli, ale z czasem kraj dzieciństwa się oddala, a kraj, w którym się osiadło, staje się coraz bliższy. W czasie tej dekady napisałam też dwie inne powieści.

O Francji.

Tak, o Francji. Mój stosunek do niej raczej się nie zmienił. Zmieniło się natomiast moje podejście do Iranu. W 2022 r. wybuchła rewolucja i myślałam, wszyscy myśleliśmy, że reżim upadnie. Tak się jednak nie stało.

Francuzi nie mają pojęcia, jak bardzo są wolni: nie muszą chodzić do kościoła, mogą palić papierosy na ulicy, balować całą noc w barze...

Albo wiązać się z osobami tej samej płci.

Tak, mają pełnię swobód, z której nie zdają sobie sprawy. Ale poza tą wolnością niczego we Francji nie idealizowałam, może dlatego, że nie miałam porównania. Przyjechałam tu jako jedenastoletnia dziewczynka. A wcześniej, w Iranie, byłam za mała, żeby krytycznie analizować tamtejszą kulturę. W dzieciństwie właściwie wszystko jest wspaniałe.

Dziś widzę, że Francuzi są bardzo dumni z własnej literatury i języka, niechętnie otwierają drzwi obcym. Wydają im co prawda książki, ale tylko, jeśli ci obcy piszą o swoich krajach. „Wszystkie moje rewolucje" to właśnie książka o takim „innym kraju". Dlatego Leila Slimani pisze o Maroku, a Kamel Daoud o Algierii i lepiej, żeby tak zostało. Człowiek, który się tu nie urodził, nie ma prawa pisać o Francji.

Ale Leila Slimani debiutowała powieścią, która opowiada właśnie o społeczeństwie francuskim.

Racja, ale to rzadkość. Poza tym jest w połowie Francuzką, w połowie Marokanką, co daje jej szczególny status. No i w Maroku francuski jest oficjalnym językiem. Iran jest bardziej obcy niż kraje Maghrebu. Pisanie o Francji wymaga ode mnie większej odwagi, trzeba się przełamać.

Skąd u Pani ta odwaga?

Zawdzięczam ją Salmanowi Rushdiemu. Dawno temu przeczytałam jego eseje „Ojczyzny wyobrażone" i do dziś pamiętam fragment, w którym Rushdie rozmawia z kolegą po piórze i mówi: „Anglicy przyjeżdżają do nas na dwa tygodnie i wracają z książką, a ty mieszkasz tu już trzydzieści lat i nie masz śmiałości pisać o Anglii. Pisz, daj sobie prawo".

Francuzi pewnie nie zawsze chcą być oglądani.

Spotykałam się z tym na początku swojej pracy scenarzystki. Pytano mnie wtedy, czy na pewno umiem pisać po francusku. Albo: co ty wiesz o francuskiej rodzinie, żeby ją opisywać? W pewnym momencie trzeba sobie powiedzieć: trudno, będę pisać. Zastanawiałam się więc, jak opowiedzieć historię Iranu, który Francuzom kojarzy się wyłącznie z szachem, Chomeinim...

I ropą.

Chciałam opowiedzieć historię Iranu, ale bez zbędnego dydaktyzmu. Postanowiłam więc połączyć wydarzenia polityczne z konkretnymi postaciami. Powieściowy pradziadek to rewolucja konstytucyjna 1906 roku, babcia – zamach stanu w roku 1921 i tak dalej. W ten sposób włączyłam historię Iranu do historii rodzinnej.

Zaczyna Pani swoją powieść od cytatu z piosenki PJ Harvey o tęsknocie za domem.

Angielskie słowo *home* to termin egzystencjalny. Francja jest moim domem, bo żyję tu już od bardzo dawna, ale nigdy nie będę miała z tym krajem takiej więzi jak ludzie, którzy tu dorastali. Gdybym była ↦

Z ARCHIWUM „TP"

Rewolwerowiec

MAREK BIEŃCZYK
pisarz i eseista

Raymond Chandler jest mistrzem, albo i sztukmistrzem koncentracji. Wysysa znaczenia z twarzy, ubiorów, scenerii jednym ruchem, krótkim akapitem; to fenomenolog na dopalaczu, nadaktywny czujnik. To Balzac puszczony w przyśpieszonym tempie, wsadzony w wyżymaczkę. Chandlerowskim arcydziełem wydaje mi się „Żegnaj, laleczko" (1940), powieść napięta od pierwszego do ostatniego zdania jak płótno, bez jednego załamania i najlepiej równoważąca obie, „kryminalną" i „metafizyczną", strony. To wielka literatura. Debiutancki, świetny „Głęboki sen" (1939) niewiele w tym porównaniu odstaje; gęstość zdarzeń jest nieco większa, ciut mniej wyważona, słychać, jak Chandler z hukiem i fantastyczną energią wkracza w powieść detektywistyczną, by ją rewolucjonizować. „Długie pożegnanie" (1953) jest również arcydzielne, choć zauważyć można leciutką nadwyżkę popisu; sztuka pisarska jest tu tak opanowana, tak doskonała, że chwilami Chandler kręci piórem niczym rewolwerowiec coltem – jeszcze jedno śliczne kółeczko w powietrzu, zanim padnie strzał.

Cały tekst został opublikowany w 2010 r. w magazynie literackim „Książki w Tygodniku" (TP 45/2010)

↦ Iranką wychowaną tutaj, mój stosunek do Francji byłby inny. Iran symbolizuje dla mnie utracone dzieciństwo.

Nie mam już co prawda obywatelstwa irańskiego i może po 45 latach mogłabym wreszcie tam pojechać, ale powody, dla których stamtąd uciekliśmy, nie zniknęły. Więc nie wracam.

Ale wciąż mówi Pani po persku.

Perski pozostał dla mnie językiem afektywnym, swobodniej jest mi w nim wyrażać uczucia, mówić do bliskich. Są też zjawiska, które zawsze pozostaną perskie.

Na przykład?

Na przykład wiosna – wiosna zawsze będzie dla mnie irańska. Zima w położonym wysoko Teheranie jest sroga, więc hucznie świętuje się jej koniec, Nouruz. W tym roku wypadał 20 marca.

Słownictwo dotyczące dorosłego świata – socjologii, polityki, historii – poznawałam już tylko po francusku.

Pytałam koleżankę, filolożkę perską, jaka jest Pani recepcja w Iranie – w końcu odniosła Pani międzynarodowy sukces. Powiedziała, że nie znalazła żadnych informacji.

To kraj, w którym od zawsze obowiązuje cenzura. Pisanie i mówienie prawdy, informowanie społeczeństwa o tym, jak jest – wszystkie reżimy widziały w tym zagrożenie. Fakt, że moja książka nie została przetłumaczona, wpisuje się w tę irańską historię cenzury, choć nie jest to przecież książka irańska. Wiem natomiast, że są Irańczycy, którzy czytają ją w obcych językach, próbują przetłumaczyć i wrzucić do darknetu. Ale oficjalnie w moim kraju nie istnieję.

Czy w Pani książce, napisanej po francusku, słychać echa perskiego?

Tak, bez wątpienia, bo kiedy piszę, myślę obrazami, a ten sposób pisania jest schedą po perskim. To język bardzo obrazowy i pełen metafor. Zamiast powiedzieć komuś, że jest niewdzięcznikiem, mówi się na przykład, że jest jak ślepy kot. Takich wyrażeń jest mnóstwo.

Czytelnicy utożsamiają Panią z bohaterką?

Tak, ale to normalne i wcale mi to nie przeszkadza. Już w szkole filmowej wszyscy mnie pytali, jakie filmy zamierzam robić, i radzili, żebym koniecznie opowiedziała swoją historię, historię dziewczynki, która przeżyła rewolucję, której rodzice-intelektualiści byli w opozycji i tak dalej. Przeczuwałam, że faktycznie jest to coś, z czego mogę czerpać, ale nie chciałam pisać o sobie, nie interesowało mnie to.

Podobno pierwsza książka zwykle jest mocno autobiograficzna.

Mnie wystarczyło, że to wszystko przeżyłam, nie chciałam wracać do tamtych wydarzeń. Byłam już w innym miejscu, zostawiłam przeszłość za sobą, zajęłam się kinem. Nie miałam ochoty pisać autobiografii. Lubię natomiast sagi rodzinne, więc pomyślałam, że umieszczę tę małą, rodzinną historię, dzieje opozycyjnej rodziny z trzema córkami, na tle wielkiej historii Iranu. To normalne, że Kimja mnie przypomina. Jest jednak bardziej szalona, bardziej punkowa. Ja nie byłam aż taką buntowniczką.

Gdyby rodzice Kimji nie uciekli z Iranu, jak dziś wyglądałoby jej życie?

Iranki są wyjątkowo odważne. Od czterdziestu lat niezmordowanie walczą o wolność, coraz bardziej zsuwają chustę. Nie dlatego, że reżim odpuścił. Same sobie to wywalczyły. Mężczyźni nie poszli ich śladem.

Oglądałam niedawno irański film „Moje ulubione ciasto". W jednej ze scen dziewczynę, która z gołą głową spaceruje po parku, zatrzymuje policja obyczajowa.

Tak, kobiety są cały czas pod nadzorem. Na ulicach są nawet kamery, które rejestrują, czy kobieta w aucie na pewno ma chustę. Pełna inwigilacja. Każda irańska dziewczyna była wiele razy zatrzymywana, przesłuchiwana... Ale od 2022 r. widzimy stopniowe zmiany: do rewolucji dołączają mężczyźni. I też sprzeciwiają się obowiązkowi chusty, który wcześniej bagatelizowali. Ale to wszystko dzięki kobietom, ich odwadze.

Zresztą kobiety wyszły na ulice już pierwszego dnia dyktatury Chomeiniego. On, jak wszyscy dyktatorzy, zaczął od zamykania ich w domu: zero podróży bez zgody ojca czy męża, zakrywanie włosów. Reżimy zawsze uderzają w kobiety.

© Rozmawiała DOROTA MALINA

POWIEŚĆ *irańskiej pisarki i scenarzystki* **NÉGAR DJAVADI** *to patchwork wydarzeń rozgrywających się między Mazandranem lat dziecinnych a imigranckim Paryżem, baśniową Persją i współczesną Francją. Fabuła meandruje w czasie i przestrzeni oraz pomiędzy gatunkami. Po skrupulatnie notowanych faktach padają słowa, że „z biegiem czasu materia wydarzeń ulega rozkładowi i pozostaje jedynie szkielet wrażeń, wokół którego można snuć opowieść". Główna bohaterka, Kimja Sadr, niczym Szeherezada wciąga nas w wir łączący indywidualne losy z wielką historią.*

Myli się jednak ten, kto spodziewa się sagi o pokoleniach zniewolonych kobiet i wygnanych dysydentów. Owszem, nie brak tu refleksji o patriarchalnej kulturze i (dez)integracji w nowym środowisku, ale „Wszystkie moje rewolucje" to przede wszystkim wciągająca, wartka akcja. Autorka, scenarzystka filmowa, potrafi budować napięcie – nad opowieścią od początku unosi się widmo Zdarzenia, które zmieniło wszystko. Akcja zaczyna się w poczekalni kliniki leczenia bezpłodności, w której Kimja czeka na inseminację. A że czekać trzeba długo, wypełnia sobie czas opowiadaniem, bo – jak twierdzi – w życiu Irańczyków chodzi o to, by opowiadać.

Śledzimy więc długie i skomplikowane dzieje Sadrów – pradziadka, który miał harem, a w nim pięćdziesiąt dwie żony, ormiańskiej babki, która wróżyła z fusów, oraz rodziców – Sary i Dariusza – intelektualistów, którzy sprzeciwiali się kolejnym reżimom tak, że w końcu musieli wyemigrować. Wreszcie poznajemy samą Kimję, didżejkę, która szuka swojego miejsca między kulturami i językami.

Négar Djavadi, **WSZYSTKIE MOJE REWOLUCJE**, Wołowiec, Czarne 2025

Człowiek z odległej wyspy

WIT SZOSTAK

Homer doskonale rozumiał, że jako ludzie jesteśmy splotem wielu wersji samych siebie. Nigdy nie poznamy ostatecznej prawdy o tym, kim naprawdę jesteśmy. Opowiadamy siebie różnymi głosami, bez końca to ukrywając, to ujawniając swoje oblicza.

B&EW

Herber James Draper, Odyseusz i syreny, 1909 r.

Nie sposób zliczyć, ile wydań dawnych tłumaczeń „Odysei" jest dzisiaj w sprzedaży. Są to głównie edycje tłumaczenia Lucjana Siemieńskiego, z którego cytaty najskuteczniej przeniknęły do naszego języka, tworząc kulturowe kody. Ale nie brakuje też prozatorskiego przekładu Jana Parandowskiego. Nie podejmuję się wchodzić w spór wokół obecnej w naszej kulturze już od siedmiu dekad próby przełożenia tekstu Homera bez korzystania ze środków mowy wiązanej. Warto jednak zauważyć, że gdyby nie to tłumaczenie, przyjazne przez swoją formę, być może do tekstu „Odysei" nie sięgnęłoby wiele osób, zniechęconych niedostępnością starożytnego heksametru. Być może żywotność eposu Homera w naszej kulturze zawdzięczamy właśnie temu ryzykownemu eksperymentowi.

Szczęśliwie wciąż pojawiają się nowe próby zmierzenia się z tym tekstem, a każda z nich to zamierzenie heroiczne: wyprawa na odległe wyspy i nieznane morza. Całkiem niedawno, bo w 2020 r., ukazał się nowy przekład „Odysei" autorstwa Roberta Romana Chodkowskiego (ten sam tłumacz dał nam w 2022 r. również nowy przekład „Iliady"). Chodkowski oddaje w polszczyźnie grecki heksametr, ale rezygnując z rymów, które wprowadził np. Siemieński, pozwala również na lekturę prozaiczną. Wtedy z wersów układają się zdania, jeśli więc kogoś odstrasza metrum, nie powinien się obawiać. A przez przekład, za sprawą nowoczesnego języka, płynie się z prawdziwą radością.

Zeszłoroczna wiosna przyniosła dwie nowe edycje, których miłośnicy „Odysei" nie powinni przegapić. Pierwsza to ponowne wydanie trudno dostępnego przekładu Józefa Wittlina, którego historia to kilka dekad zmagań z tekstem. Wittlin postanowił stworzyć polszczyznę skrzącą się archaicznymi zwrotami i słowami od dawna w polszczyźnie nieobecnymi. Ten zabieg pozwala uznać epos Homera za zabytek dawnego języka polskiego. Wydanie, przygotowane przez wydawnictwo Austeria, to tekst dwujęzyczny, zawierający grecki oryginał.

Druga edycja to przygotowany przez PIW nowy przekład Antoniego Libery. We wstępie tłumacz deklaruje, że chce konsekwentnie oddać tekst Homera polskim heksametrem, którego zasady opracował Mickiewicz.

Dyskusję nad tymi przekładami pozostawiam ekspertom, jako miłośnik „Odysei" cieszę się z tego translatorskiego i edytorskiego ożywienia. Wszystkie te próby pokazują, jak żywotnym tekstem jest „Odyseja". Nie ta uproszczona, zamknięta w lekturowych streszczeniach i parafrazach, ale ta pełna, niełatwa, czasem przytłaczająca.

Nie da się zrozumieć fenomenu tej popularności, jeśli zamkniemy ją w epoce, która dawno przeminęła. Wiele rzek i strumieni, które dziś nas opływają, w których zanurzamy się, czasem toniemy, a czasem poddajemy się prądowi, ma swoje źródła w dziwnej opowieści o tułaczce byłego herosa.

Arystoteles przywołuje w „Poetyce" opowieść, która pojawia się na marginesach mitu wielkiego herosa. Nie znalazła się ona w eposach Homera, dużo później opowie ją rzymski mitograf Hyginus. Jest jednak znamienna, gdyż ujawnia zasadę, która buduje Odyseusza i powtarzana jest w wielu innych historiach.

Otóż gdy Agamemnon zwoływał achajskich królów na wojnę trojańską, władca Itaki wcale nie miał ochoty, by porzucić rodzinną wyspę. Znalazł szczęście w codzienności. Miał piękną żonę Penelopę, właśnie urodził im się syn Telemach. Nie mógł jednak odmówić wielkiemu rodowi Atrydów, dlatego uciekł się do fortelu. Nałożył czapkę, którą ubierano obłąkanym i na oczach poselstwa, które do niego wysłano, prowadził pług, do którego zaprzągł woła i konia. Odys liczył, że zostanie uznany za szaleńca, a wysłannicy wrócą do króla Myken z wiarygodnym usprawiedliwieniem jego nieobecności podczas wojennej wyprawy. Gdyby tylko podstęp się udał, Odys nie pojawiłby się na kartach „Iliady" i „Odysei", opowieść o nim w ogóle by nie powstała. Po co śpiewać pieśni o nieobecnych?

Bohater zostaje jednak przechytrzony przez kapłana Palamedesa. Ten kładzie na ziemi przed lemieszem małego Telemacha. Odys może grać swoją rolę do końca, zabijając syna, lub zatrzymać pług, demaskując swoją grę i ruszyć pod Troję.

Dwa wielkie eposy zaświadczają o tym, jakiego dokonał wyboru. A na kartach „Iliady" można przeczytać, jak okrutnie zemścił się później na sprytnym kapłanie. Ta scena iskrzy od sensów. Przemyślny Odys udaje pozbawionego rozumu – wiele wieków później obranym z rozumu nazwany zostaje Don Kichot. Zarazem zdrowy rozsądek każe mu przerwać grę. Każdy obrót jest ukryciem bądź ujawnieniem. A sworzniem tej rotacji jest rozum.

W tej scenie, jak w soczewce, widzimy wyjątkowość Odysa. Jego orężem nie jest nadludzka siła, zwinność czy mistrzostwo w sztukach walki. Odys jest przebiegły. Po latach bezowocnego oblężenia Troi Achajowie wygrywają dzięki jego podstępowi, a koń trojański staje się na wieki symbolem triumfu sprytu. Obrotność czy też pomysłowość stają się pierwszym z długiej listy imion Odysa: to różnie tłumaczone na polski greckie słowo polytropos z pierwszego wersu eposu. Dopiero w dalszej kolejności pojawia się udział w zburzeniu Troi i błądzenie.

Świat bez bogów

Właśnie dlatego wedle filozofów Adorna i Horkheimera Odys jest pierwszym nowoczesnym bohaterem. Dlatego wymyka się z dawnych pieśni i staje się protoplastą nowożytnego podmiotu. Jego zasadą jest zaradność, zdolność adaptacji i radzenia sobie w zmiennych okolicznościach. Dzięki rozumowi człowiek naszych czasów oswaja dawnych bogów i podporządkowuje sobie żywioły. Nie mogąc zapanować nad naturą siłą, przechytrza ją swoją skuteczną wynalazczością. To fascynujące rozpoznanie.

Bohater Homera pojawia się w greckiej kulturze na długo przed pierwszymi filozofami i uczonymi. „Odyseja" jest śpiewana, zanim rozum zacznie triumfować nad mitem, mało tego: jej pieśni są bodaj najwspanialszym śpiewem dawnych mitów. Po Odysie nadchodzą greccy uczeni i tragicy, potem kolejne szkoły, średniowieczne uniwersytety, ale to właśnie on uznany zostaje w „Dialektyce oświecenia" za pierwszego herosa nowoczesności. Dlaczego?

Wcześniej mitologiczni spryciarze nie kończyli dobrze. Oszukiwanie bogów miało swoje konsekwencje. Każdego dnia przekonują się o tym choćby Prometeusz czy Syzyf. Ale działali oni w czasach, kiedy świat pełen był bogów, a ich władza niezagrożona; dlatego musieli przegrać. Nawet przemyślny Dedal, patron inżynierów i wynalazców, musiał gorzko wspominać swój niebosiężny triumf. Wprawdzie przechytrzył Minosa i uszedł z Krety, wzlatując wysoko jak ptak, lecz stracił ukochanego syna.

Odys pojawia się później, u samego schyłku tej epoki. Włoski pisarz i eseista Roberto Calasso stawia tezę, że Odys jest herosem, który wymknął się z mitu. W „Zaślubinach Kadmosa z Harmonią" proponuje następującą interpretację wojny trojańskiej: to bogowie popchnęli ostatnich królów i herosów z dawnych czasów do wyniszczającej walki. Sami postanowili wycofać się ze świata. Ale żeby ta ucieczka bogów się udała, trzeba było przeciąć wszystkie łączące ich z ludźmi nici.

Tymi nićmi byli półboscy herosi, których obecność między śmiertelnikami zaświadczała o bogach. Dlatego na polach Ilionu starły się wrogie armie i po raz ostatni bogowie stawali ramię w ramię z ludźmi. Celem było zatarcie śladów. Zginął Achilles, Priam, Hektor i wielu innych, Agamemnon znalazł śmierć na progu własnego pałacu. Ci, którzy przeżyli – jak Nestor czy Menelaos – w „Odysei" są tylko cieniami samych siebie, jakby utracili wszystkie moce. Wojna, a wraz z nią cała mityczna przeszłość, to dla nich odległe wspomnienia, które zacierają się w pamięci.

W ujęciu Calassa Homer swoimi eposami tłumaczy Grekom świat bez bogów. Można wznosić świątynie i składać ofiary lub próbować wyczytać boską wolę z mętnych słów wyroczni, ale bogów już nie ma. To doświadczenie człowieka nowoczesnego, które zostało spisane około VIII w. przed naszą erą.

Co w tej sytuacji może zrobić Odys? Od początku odstawał od swoich boskich towarzyszy. Miał tylko – i aż – spryt. I wracając do domu, tym sprytem stara się ograć bogów i mityczne siły. Oszukuje cyklopa Polifema, przedstawiając się jako Nikt, oślepiając go i ukrywając siebie oraz swych towarzyszy pod owczymi brzuchami. Znów podstęp: bohater ukryty pod maską szaleńca, w drewnianym wnętrzu konia, w owczym runie. Odys ma wszystko, co potrzebne w nowym świecie bez bogów, w którym pozostały tylko siły do ogrania. Zachowanie Odysa jest nieheroiczne. Ale jest skuteczne. A skuteczność jest zasadą nowoczesności: każdą drogę można usprawiedliwić, jeśli tylko doprowadzi nas do celu. Wszystko inne można pominąć.

Ucieczka z mitu

Ale w losie Odysa jest coś jeszcze. I to być może naznacza go nawet silniej niż przebiegłość. Jest to postać, która przeżywa chyba największą przemianę w całej historii literatury. Nieśmiertelny, boski bohater, który wybiera śmiertelność. To bardzo wzruszająca scena. Od lat Odys przebywa w słodkiej niewoli nimfy Kalipso, gdzie ma wszystko: to oaza boskości w głęboko ludzkim świecie. Może wybrać swoją nieśmiertelność i wieczne życie u boku najpiękniejszej kobiety świata.

Świat się o niego nie upomni, już dawno przetworzył go w pieśń i ten śpiewany Odys ludziom w zupełności wystarcza. Jednak zamiast cieszyć się szczęściem, być może na ostatniej wyspie dawnego

świata, codziennie siada na nadmorskich skałach i patrzy przed siebie, bo gdzieś tam, za horyzontem jest rodzinna Itaka.

Wie, że czeka go tam zwykłe życie, a Penelopa jest zwykłą kobietą, nie mogącą się równać z Kalipso. I wie, że czeka go tam śmierć, spokojna, jak przepowiedział mu wieszczek Tejrezjasz. Ale to właśnie wybiera i – z boską pomocą, być może ostatnią boską pomocą w świecie – rusza do domu. Nie jest to jednak chlubny powrót. Stracił swe okręty i towarzyszy, stracił wiezione spod Troi skarby. Wraca na skleconej naprędce tratwie i nawet ją zabierze mu gniew Posejdona, każąc pokonać ostatni etap podróży do wyspy Feaków wpław.

Odys na własne życzenie wysnuwa się z mitu. Rezygnuje z boskich przywilejów i wybiera zwyczajność. Świat mitu zaczynał się za progiem domu. W domu była codzienność. Moce zawsze wyciągały bohaterów z ich domostw. Tam czekały skarby, przygody, wieczna sława. A król Itaki przez dziesięć lat szuka szczeliny, przez którą mógłby do tego niemitycznego domu powrócić. Dom powiązany jest ze śmiertelnością. Dom jest ciągle zagrożony, wymaga ustawicznej troski. Również dlatego to antypody boskości.

Czy Odyseusz zmyśla

Ciągłe wiązanie starożytnego eposu z nowoczesnością może razić, wydawać się wysilone. Ale każda kolejna lektura „Odysei" odsłania misterność i nieoczywistość tego tekstu. Zazwyczaj myślimy o przygodach Odyseusza tak: wyruszył spod Troi, przeżył wiele, a potem wrócił na Itakę, rozprawił się z zalotnikami i przywrócił porządek. Ale Homer opowiada tę historię zupełnie inaczej.

Kiedy się rozpoczyna, Odys od siedmiu lat mieszka na wyspie Ogygii, w domu nimfy. Bogowie postanawiają wysłuchać jego próśb i pozwolić mu wreszcie wrócić do domu. Zanim jednak do tego dojdzie, Atena posyła dorosłego już Telemacha, by u dawnych towarzyszy swego ojca rozpytał o jego losy. Kolejne pieśni to podróż młodzieńca do Pylos i Lakedajmonu.

Czytelnik, ciekawy anonsowanych na początku eposu przygód Odyseusza, musi uzbroić się w cierpliwość. Dopiero po skrupulatnej opowieści o wyprawie Telemacha Homer wraca na Ogygię i pozwala Odysowi z niej odpłynąć. Ten rusza na tratwie, cudem dopływając na wyspę Feaków. Tam nie ujawnia swej tożsamości, a król Alkinoos nie pyta go o imię. Podczas uczty aojda śpiewa o przygodach Odysa i wtedy bohater nie wytrzymuje i zaczyna płakać. Wyznaje swoje imię i zaczyna opowiadać.

Czy ktoś, kto spędził dwie dekady poza domem, jak Odyseusz, doświadczył wojny, potem wiele lat błądził, może powiedzieć prawdę o sobie?

To podczas uczty pojawiają się historie o baśniowych ludach i stworzeniach, które po latach pamięta się najmocniej. Dekada tułaczego życia opowiedziana zostaje podczas biesiady. Wtedy rozpoczyna się powrót na Itakę, kolejne intrygi i ostateczny triumf. Cała akcja trwa niewiele ponad miesiąc. Poukrywana i ujawniana w opowieściach tułaczka rozciąga się na lat dziesięć. To, co Homer robi z czasem, jak rozciąga chwile i zagęszcza lata, to bardzo nowoczesna strategia narracyjna. W dawnych wiekach, u zarania powieści, powstaje arcydzieło, które zapowiada wiele współczesnych eksperymentów i poszukiwań literackich.

Dalej robi się jeszcze ciekawiej. Wszystko, co znamy jako przygody Odysa, to jego własna opowieść. Nie mówi o tym narrator eposu. Słów Odysa nie może potwierdzić nikt inny – jego towarzysze zginęli. Został sam, może opowiedzieć wszystko. Czy można mu ufać? W naszym świecie nie ma zwodzących marynarzy syren, nie ma jednookich olbrzymów. Nie pojawiają się ani na wyspie Feaków, ani na Itace. Te miejsca są nadzwyczaj zwyczajne: skały, nieurodzajna ziemia, stada owiec, chatka świniopasa, pies zdychający na śmietnisku. Baśniowość roztaczają tylko opowieści Odysa, ostatniego świadka mitu. A jeśli kłamie? Jeśli to wszystko zmyślenia?

SHUTTERSTOCK

Ostatnie kłamstwo

W „Pracy nad mitem" niemiecki filozof Hans Blumenberg pisze o „ujętych w heksametry marynarskich opowieściach z tawern wybrzeża Jonii". Jakby Homer, znów nowocześnie, wpuszczał do swej gęstej opowieści o tułaczce i powrocie trochę oddechu wziętego wprost z ludowych podań, podlanych winem i wyolbrzymionych knajpianą atmosferą.

Odys nie jest narratorem zbyt wiarygodnym. Nawet jeśli wziąć w nawias historie o dziwnych wyspach i ich mitycznych mieszkańcach, jego zachowanie nie budzi zaufania. Na Itace opowiada o sobie Atenie, która skrywa się pod postacią pastuszka, dalej pasterzowi świń, ↦

↦ Eumajosowi, u którego znajduje gościnę, potem Penelopie i zalotnikom.

W żadnej z tych opowieści nie ujawnia się jako Odys, a jedynie jako ktoś, kto go co najwyżej znał lub kiedyś spotkał. Jak pisze Homer: „Wiele zmyślał, mówiąc rzeczy do prawdy podobne". Co ciekawe, w każdej z tych wersji pojawia się Kreta. Czyżby nawiązanie do przypisywanego Epimenidesowi z Krety paradoksu kłamcy: „wszyscy Kreteńczycy to kłamcy", który przez wieki spędzał logikom sen z powiek? W każdym razie Odys kłamie jak najęty.

Fabularnie można zrozumieć jego ukrywanie się – to oś intrygi. Przybywa na rodzinną wyspę pod postacią starca i przygotowuje odwet. Ujawnia się dopiero, kiedy wie, że może pokonać ucztujących w jego pałacu zalotników. Wyjaśnia to zasada skuteczności, ta sama, która przyczyniła się do pokonania Troi. Jednak skuteczność i przemyślność nie tłumaczą tu wszystkiego. Odys nie tworzy jednej spójnej legendy, fałszywej tożsamości – jak znani z powieści sensacyjnych tajni agenci – tylko zmienia swą opowieść z każdym nowym powtórzeniem, ryzykując zdemaskowanie, jeśli tylko jego słuchacze skonfrontowaliby te różne wersje ze sobą. Ale robi to i brnie w kłamstwa, jakby nie mógł się opanować. A z każdym zmyśleniem w czytelniku rośnie podejrzliwość względem bajecznych przygód opowiedzianych Feakom.

Homerowi bardzo zależy, by jego bohater został uznany za kłamcę. Kiedy kurz bitewny opada, megaron spływa krwią i porządek zostaje przywrócony, a Odys się ujawnia, rusza poza pałac, gdzie mieszka Laertes. Jest już po wszystkim, syn nie ma powodu okłamywać ojca, który żyje nadzieją jego powrotu. Mimo to Odys, widząc sędziwego i cierpiącego starca, znów podejmuje swoją grę. Przedstawia się jako Sporny z Błędochodu, syn Nieszczęsnego (tłum. Parandowskiego) i dopiero na widok łez ojca coś w nim pęka i wyjawia swoją prawdziwą tożsamość. To ostatnie kłamstwo daje do myślenia, gdyż nieuzasadnione jest przebiegłością. Jest kłamstwem czystym, bezinteresownym, choć w porę urwanym.

W co gramy

Swobodny stosunek do prawdy ma jednak wymiar nie tylko moralny. Choć oczywiście można sensownie pytać, dlaczego heros miałby podlegać ludzkim normom. Wydaje się, że w tym uporczywie powtarzanym przez Homera środku jest coś więcej. Jest taktyka. W jednej z wersji Odys opowiada – nie ujawniając się oczywiście – że spotkał Odysa i ten zamierza wrócić na Itakę, lecz zasięga w Dodonie rady Zeusa, rozważając, czy wrócić jawnie, czy w ukryciu.

Są to więc zmyślenia podobne do prawdy: ukrywający się Odys ujawnia chęć ukrycia się Odysa. Podobnie ukrywa się przed Polifemem: przedstawia się jako Nikt, przez co oślepiony cyklop nie może wobec współbraci nazwać swego prześladowcy. Ukrywanie się i ujawnianie się jest sposobem bycia Odysa, o czym pisze w swym eseju „Odys gość" Cezary Wodziński. To nie tylko przemyślna taktyka odzyskania władzy.

W „Odysei" rodzi się nowoczesna podmiotowość. Homer wie, że wobec każdego gramy inną rolę, że w środku jesteśmy kłębkiem różnych wersji samych siebie i być może do końca nie wiemy, jaka jest ostatecznie prawda o nas. Możemy tylko opowiadać siebie różnymi głosami, ciągle grając w ukrycia i ujawnienia.

Można też postawić ten problem bardziej literacko. Bo, ostatecznie, czy ktoś, kto spędził dwie dekady poza domem, doświadczył wojny, doprowadził do zburzenia Troi, potem wiele lat błądził, może przekazać drugiej osobie prawdę o sobie? I wreszcie: czy ktoś, kto porzucił nieśmiertelność, kto odwrócił się od tego wszystkiego, o czym śmiertelnicy marzą, może wyjaśnić to swoim bliskim, którzy przez lata stali się zupełnie obcy?

Wydaje się, że wpisanie zachowania Odysa w taktykę intrygi jego powrotu to literacki zabieg, by powiedzieć nam coś więcej. Nam, a więc nie tylko zasłuchanym w pieśni aojdy Grekom sprzed wielu wieków, ale też nam, tu i teraz, dzieciom płynnej nowoczesności. I być może dlatego wciąż sięgamy do „Odysei", choć jej metryka niemal prowokuje, by skazać ją na zakurzone zapomnienie w odległym kącie biblioteki. I w tym sensie epos Homera nie jest mitem, lecz grą, jaką z mitami prowadzi świadomość, która nie potrafi już w mit uwierzyć.

Bo z greckimi herosami nie sposób się zaprzyjaźnić. Ich losy możemy oglądać z dystansu, uzbrojeni w historyczne i krytyczne narzędzia. Odys nie jest już jednym z nich. Staje się nam niepokojąco bliski.

© WIT SZOSTAK

Z ARCHIWUM „TP"

Różowe pigułki

MAŁGORZATA REJMER
prozaiczka, autorka reportaży

Był taki czas, gdy czytałam tylko kobiety: Jane Bowles, Hertę Müller, Anaïs Nin i Alice Munro. Potem był czas, gdy czytałam tylko specjalistów od końca ludzkości i świata: Thomasa Bernharda, Cormaca McCarthy'ego, Williama Faulknera. Potem znowu odkryłam Dostojewskiego i Kafkę. Oniemiałam. A potem miesiącami czytałam „Dziennik" Máraia. Po kawałku, po akapicie, po jednym roku i jednym dniu. Ale przypomina mi się taki obrazek. Mam 7 lat, przyjechałam z ojcem do babki, która mieszka w starej, biednej izbie z kuchnią. Czeka na nas wielkie drewniane łóżko ze stertą kołder, przykryte żółtą kapą, z plastikową lalką na pierzynowej górze. Nie idziemy spać, bo ojciec przez całą noc czyta mi opowiadania Zoszczenki, na zmianę z Czechowem. Płaczę ze śmiechu. Śmieję się tak bardzo, że nie mogę oddychać. Wracam do tych tekstów, ilekroć chcę poprawić sobie nastrój. Zoszczenko to moje różowe pigułki na depresję, moje dzieciństwo. Jego narracja tak bardzo wrosła w moje myślenie, że nigdy nie rejestruję, kiedy piszę Zoszczenką. On po prostu wymościł sobie we mnie izbę. I siedzi.

Tekst został opublikowany w 2013 r. w magazynie literackim „Książki w Tygodniku" (TP 38/2013)

WOJCIECH

Bonowicz:
Bitwa końca świata

Otóż i właśnie – już po bitwie. To znaczy ja piszę jeszcze przed, ale Państwo czytacie po. Wynik znany (mnie jeszcze nie), jedni szaty na sobie drą i trupy z pobojowiska zbierają, drudzy się cieszą i przegranym wygrażają, a niewykluczone nawet i to, że z powodu nieuznania wyborów za ważne władzę przejmie marszałek Hołownia. Wszystko w rękach – no właśnie kogo? Taki obecnie mamy ustrój, że tak naprawdę nie wiadomo kogo, i to chyba jest najstraszniejsze, jak na razie.

Owszem, ale i sama ciągnąca się tygodniami bitwa też była strasznym, chwilami krew w żyłach zamrażającym widowiskiem. Bitwa końca świata, bitwa pięciu armii... Jak pięciu, kiedy dwóch tylko? Jakby tak uważniej policzyć, to pięciu, a może nawet sześciu. Oczywiście, że im bliżej finału, tym bardziej znikały z oczu detale, a pogląd, że to po prostu siły dobra zewrą się z siłami zła, serca potencjalnych uczestników rozgrzewał. Gdzie dobro, a gdzie zło, na ten temat poglądy były rozbieżne, ale sam koncept wspólny. Zwarły się hufce nieprzeliczone w boju ostatecznym, od którego losy nie tylko Polski, ale i cywilizacji całej zawisły – tak to w każdym razie oczom naszym się ukazywało. Człowiek budził się rano, a telefon już był gorący od błagalnych nawoływań, by nie gubić ojczyzny, by faszyzm lub bolszewizm powstrzymać, by Polski już to Niemcom, już to Putinowi w pacht nie oddawać. „Och, dołoż nasza, dolo, na co nam przyszło", z niejednych ust takie i podobne zapewne dobywały się westchnienia. A potem dalejże w bój. I tak od rana do wieczora, co tam do wieczora – do późnej nocy, a w dniu ostatecznym nawet do świtu.

Nie szydzę, starcie cywilizacyjne było realne. I od tego, jak wybraliśmy, wiele będzie zależało, a głównie to, czy nasza energia w najbliższych latach zużywać się będzie w kolejnych konfliktach, czy może jednak obróci się w coś pożytecznego. Nie szydzę więc, ale jednak zdystansować się muszę albo przynajmniej otrząsnąć, gdyż tej retoryki bitewno-apokaliptycznej zwyczajnie nie trawię. Słyszę stąd i zowąd, że tylko ona jest w stanie zmobilizować naród do głosowania. Że rzeczywistość musi być w stanie wrzenia – inaczej prawie połowa w domach zostanie. No nie wiem. Mnie taka przegrzana rzeczywistość męczy i odpycha. Ile się człowiek w tym czasie bitewnym wyzwisk naczyta, szkoda nawet mówić. Nie pod swoim adresem, rzecz jasna, choć – pośrednio – pod swoim także. Ludzi opanowuje jakaś przedziwna gorączka i w tej gorączce wydaje im się, że jak kogoś wyśmieją, zawstydzą albo obsypią obelgami, to zdanie zmieni i na ich stronę przejdzie. Znacie takie przypadki? Choć jeden? Ja nie znam.

Akurat w czasie, gdy bitwa rozgorzała na dobre, czytałem „Dziennik" Jurka Pilcha. Rytualnie, chciałoby się powiedzieć. Rytualnie? Zawsze o tej samej porze roku? No nie zawsze, ale jakoś tak. W każdym razie od kilku lat regularnie, bo mnie ta lektura literacko wzmacnia. Jest oczywiście w „Dzienniku" również coś na dzień dzisiejszy i chwilę obecną – gdy odgłosy bitwy powoli milkną – przeznaczone. Jest mianowicie zwięzły opis wieczorów spędzanych w rodzinnym domu w Wiśle. „Mocą niepisanej zgody siadamy z matulą o dziewiętnastej i do oporu – najplugawszymi słowami lżąc widocznych na ekranie nieszczęśników – oglądamy politykę", pisze Jurek. „Na ogół wytrzymujemy do dwudziestej trzeciej, choć czasem – gdy jakiś arcynadrodak czy inny wolnomularczyk specjalnie peroruje – trwamy w męczarni dłużej". Opis jest z 8 stycznia 2011 roku, dawne czasy, a jednak czytam i jakbym całą Polskę naraz zobaczył, no może dwie trzecie Polski lub, powiedzmy, trzy czwarte. Scena tyleż mało oryginalna, co esencjonalna w najwyższym stopniu. Tak to przecież się odbywa, nieprawdaż? Z tą małą korektą, że dziś upowszechnił się internet, więc można opisanej rozrywce oddawać się przez całą dobę.

Piszę o tym wszystkim, choć z tygodni poprzedzających wyborczą bitwę końca świata zapamiętam coś zupełnie innego. Zapamiętam mianowicie obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który nagle, po trzech latach agresji rosyjskiej na Ukrainę, odkrył, że Putin bombarduje miasta i morduje cywilów. „Co się z nim stało, do cholery?", zdziwił się amerykański prezydent, który jeszcze tydzień wcześniej zapewniał, że rozmowy idą bardzo dobrze, a Putin chce pokoju (choć w tym czasie również bombardował, a cywile ginęli). „Co się z nim stało?", miałbym ochotę powtórzyć pytanie, jednocześnie je przekierowując. Zdumienie amerykańskiego prezydenta wydawało się autentyczne, jego złość i rozczarowanie nieudawane, skłonny byłbym nawet przyznać, że (po raz pierwszy?) rzeczywiście współczuł ginącym i ich rodzinom... Ale nie, to przecież niemożliwe, żeby wcześniej nie wiedział! Więc co? Założył, na przekór faktom, że mimo wszystko jest inaczej? Wiedział, ale nie chciał wierzyć?

Zaprawdę ogromna jest potęga wyobrażeń – na temat świata, innych, a przede wszystkim samego siebie. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem.
Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

KULTURA

HISTORIA JEDNEGO ZDANIA

JOANNA SZCZEPKOWSKA, AKTORKA:

Po moim występie Jerzy Urban napisał, że mam ćwierć mózgu. Potem ktoś mu odpowiedział, że mam cały mózg. No i tak rozmowa o wielkości mojego mózgu trwa do dzisiaj.

ZDJĘCIE: GRAŻYNA MAKARA

JOANNA SZCZEPKOWSKA: Spotykamy się w maju, tuż przed II turą wyborów. Ta rozmowa ukaże się już po ogłoszeniu wyników. Uprzedzam o tym, bo ktoś z czytelników „Tygodnika Powszechnego" może się zdziwić brakiem komentarza do powyborczej rzeczywistości.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: 36 lat temu skomentowała Pani rzeczywistość w głównym wydaniu Dziennika Telewizyjnego jednym zdaniem: „Proszę Państwa, 4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm".

To była sobota, 28 października, kilka miesięcy po tamtych wyborach. Przez ten czas nie mogłam się pogodzić z tym, że nie świętowaliśmy zwycięstwa. Jakbyśmy nie zdawali sobie sprawy, co się tak naprawdę stało. Dobrze pamiętałam sytuację sprzed kilkunastu lat, kiedy na wieść o tym, że Karol Wojtyła został papieżem, w Warszawie na Placu Teatralnym ludzie tańczyli ze szczęścia, coś się w nich na tę chwilę uwolniło.

Może nie było tej euforii, bo do końca nie wierzyliśmy, że dokona się ustrojowa zmiana?

Może była w wielu ludziach jeszcze taka czujność, czy to w ogóle jest możliwe, zwłaszcza że przecież mieliśmy tu ciągle wojska radzieckie. Z drugiej strony, co jak nie wiara było tą napędową siłą, która doprowadziła do strajków, do Solidarności, do demonstracji? Zwycięstwo w tamtych wyborach było dla mnie zwieńczeniem tego wielkiego zrywu. Byłam rozczarowana brakiem świadomości, ile teraz pozostaje w naszych rękach, zwłaszcza jeśli chodzi o autocenzurę, mentalność zmienioną przez system w PRL-u. Uważałam, że jeśli nie poczujemy się wolni, to wolni nie będziemy.

Wolność to stan umysłu?

Właśnie w takim momencie zadzwonili do mnie z Dziennika Telewizyjnego z propozycją krótkiego wywiadu na temat mojej kariery zawodowej. Odmówiłam, bo to miejsce kojarzyło mi się nadal z propagandą i kłamstwem. Ale szybko tej decyzji pożałowałam. Pomyślałam, że można wykorzystać takie wystąpienie w głównych wiadomościach. I stało coś niebywałego: zadzwoniono do mnie jeszcze raz, z pytaniem, czy może jednak zmienię decyzję.

Już wtedy była Pani pewna, że powie to zdanie?

Wtedy już tak. Wymyśliłam je po pierwszym telefonie, tylko w sferze marzeń. Po drugim już byłam zdecydowana, ↦

JOANNA SZCZEPKOWSKA
(ur. w 1953 r.) jest aktorką, pisarką i reżyserką. Prowadzi w Warszawie Teatr Na Dole.

Obok:
„Proszę Państwa, 4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm". Joanna Szepkowska w głównym wydaniu Dziennika Telewizyjnego 28 października 1989 r.

YOUTUBE

↦ jak i co chcę powiedzieć. Zastanawiałam się tylko, czy mam to zachować dla siebie, czy konsultować je z ludźmi, z którymi znałam się z podziemia: Tadeuszem Mazowieckim, Bronisławem Geremkiem, Jackiem Kuroniem, Adamem Michnikiem...

Po co konsultować?

Bo to było zdanie wybuchowe i zdawałam sobie z tego sprawę. Nie jest łatwo iść z takim kalibrem samotnie, w samo centrum mediów z PRL-u. Z drugiej strony wiedziałam, że autorytety opozycji mają wiedzę i doświadczenie, ale niekoniecznie znają się na mediach. Jak zaczną dyskutować, czy to ma sens, jakich słów użyć, nic nie zostanie z tego jednego prostego zdania. Postanowiłam to trzymać w tajemnicy.

Chyba słusznie.

Weszłam do starego gmachu telewizji, na Placu Powstańców. Jechałam windą na ciężkich łańcuchach, łoskot nie budził najlepszych skojarzeń. To był moment, kiedy straciłam pewność, czy dam radę. I nagle okazało się, że zaprasza mnie do siebie szef Dziennika. Wchodzę do jego gabinetu i mam wrażenie, że znalazłam się w świecie filmów Barei: on siedział pod palmą, za nim wisiał portret Lenina. Wtedy wszystkie wątpliwości ze mnie opadły. Tu był stary świat. Miał media. Nie czas na panikę, nie ma, nie ma odwrotu.

Przed publicznym pogrzebaniem komunizmu?

Tyle że okazało się, ku mojemu zdumieniu, że ta rozmowa nie była na żywo. Poproszono mnie do studio na jakieś piętnaście minut przed emisją Dziennika. Zaczęłyśmy z dziennikarką rozmowę, próbowałam zboczyć na kluczowy dla mnie wątek, mówiąc: „Właściwie to ja bym chciała być na pani miejscu". A ona, nieświadoma tego, co będzie dalej, zażartowała: „To co, zamieniamy się na miejsca?". Tak zrobiłyśmy: ja siadłam za stołem dla dziennikarzy, zwróciłam się do kamery i powiedziałam to, co miałam powiedzieć.

I?

Zapanowała kompletna cisza. Kątem oka zobaczyłam, jak kamerzysta zdejmuje słuchawki, patrząc na mnie w osłupieniu. Potem ktoś przyszedł, powiedział, że wywiad był za długi, musimy go powtórzyć. Rozumiałam, że chodzi o to, żeby nie dopuścić do tego zdania. Więc właściwie od razu przeszłam do rzeczy.

Tę rozmowę zapamiętałam w ten sposób, że Pani i dziennikarka siedzicie na swoich miejscach. Ona nawet Panią prosi, byście się nie przesiadały.

Była bogatsza o doświadczenie sprzed kilku minut. Do dziś nie wiem, co stało się z pierwszym nagraniem, nie ukrywam, że chciałabym je zobaczyć, jeśli oczywiście nie skasowano go od razu. Znane jest właśnie to drugie. Potem wracałam piechotą do domu w przekonaniu, że to nie pójdzie na antenę, wszystko zostanie w opowiadaniach świadków, kamerzystów chociażby.

Szybko się okazało, że jednak poszło?

Otwieram drzwi do mieszkania: a tam cała kwiaciarnia, mnóstwo bukietów od ludzi z sąsiedztwa. Niektórzy przynieśli mi kwiaty doniczkowe. Za dwa dni Urban napisał, że mam ćwierć mózgu. Potem ktoś mu odpowiedział, że mam cały mózg. No i tak rozmowa o wielkości mojego mózgu trwa do dzisiaj.

Pani naprawdę była przekonana, że komunizm skończył się wraz z tymi półdemokratycznymi wyborami?

Tak. To, co dzisiaj możemy nazywać „półdemokratycznymi wyborami", oceniać i analizować na różne sposoby, dla nas wtedy było całkiem inne. To był czas romantyczny, jak w wypadku każdego powstania, rewolucji, przewrotu. Tym zdaniem trzeba było przepchnąć naszą świadomość, dać rozpęd nowej mentalności. Co miałam powiedzieć: „Czwartego czerwca być może skończył się komunizm?" Albo : „Nastąpiło zakończenie realnego socjalizmu?". Już samo publiczne wypowiedzenie słowa „komunizm" było w PRL-u nie do pomyślenia. Choć wielu uważa, że nadużyłam go, bo komunizmu nie było, użyłam go właśnie dlatego, że było niewymawialne.

I wszystko się zmieniło?

Wszystko się dopiero zaczęło. Z jednej strony sklepy pełne towarów, z drugiej strony pytania o sens lustracji i rozliczeń. To się tak teraz wszystko oddala... Czas komuny był tak powikłany, że trudno go było rozsupłać.

Ale marzyła Pani o innym świecie?

Jak wszyscy. Kiedy byłam nastolatką, ktoś mi przysłał pocztówkę z Paryża. Zdjęcie zatłoczonej kawiarni z parasolami. Zachwyt budziły już same żywe kolory. Ze szkłem powiększającym studio-

wałam, w co ci ludzie są ubrani, wyobrażałam sobie, o czym mogą rozmawiać. Dzisiaj już wiem, że o niczym szczególnym, ale wtedy wydawało mi się, że to musi być coś niezwykle interesującego.

I nieosiągalnego?

Dobrze pamiętam swój pierwszy wyjazd na Zachód. To była połowa lat 70., po pierwszym roku Szkoły Teatralnej zapytano, kto ze studentów zna francuski. Zgłosiłam się ja i dwóch kolegów. W ramach jakiejś wymiany posłano nas do Avignonu. Byliśmy przejęci, rodzice w komisach zaopatrzyli nas w zachodnie ubrania. A mimo tego od pierwszych dni zwracano się do nas po rosyjsku. To było straszne. Zastanawiałam się, gdzie w nas tkwi ten szczegół wskazujący od razu, że jesteśmy z innego świata niż zachodni. W postawie, spłoszonym spojrzeniu, niepewnym głosie?

I co się okazało?

Pierwszego dnia na placu w Avignonie miał odbyć się bal młodzieży. Przywiozłam długą, niebieską suknię, przetykaną srebrnymi nitkami. Staję w niej na szczycie schodów, gra głośna muzyka, światła świecą, patrzę na młodzież, a oni są w podartych dżinsach i rozciągniętych podkoszulkach. Wtedy dotarło do mnie, że jestem z innej epoki, co najmniej 20 lat do tyłu. Zawsze to opowiadam, kiedy ktoś mnie pyta, jak było za komuny. Bardzo trudno to wytłumaczyć.

A jak było u Pani?

To jest zarazem pytanie o dzieciństwo, młodość, więc oczywiste jest, że wspominam z nostalgią ten czas. Nie odczuwałam niczego szczególnego w tym, że jestem posyłana na całe godziny do kolejki, kiedy „rzucili" do sklepu parówkową, że szkoła nie uczy prawdy, ale o tym się głośno nie mówi. To było normalne. Nie znałam innego świata. Dopiero potem, razem ze świadomością, że tak nie musi być, wszystko zaczęło się zmieniać. Byłam zaangażowana w podziemie. W moim domu był punkt zbiorczy bibuły, zebrania konspiracyjne, ciągły ruch. A w tym czasie za ścianą spały dwie moje córeczki, w każdej chwili mogła wpaść milicja, mnie zatrzymać, a córki zawieźć do domu dziecka.

Wieczna adrenalina?

Raczej stan wyższej konieczności.

Jechałam windą. Łoskot ciężkich łańcuchów nie budził najlepszych skojarzeń. **Straciłam pewność, czy dam radę.** Ale kiedy w gabinecie szefa Dziennika zobaczyłam portret Lenina na ścianie, wątpliwości ze mnie opadły.

Czyli?

W walce zmienia się hierarchia wartości.

Myśli o emigracji?

Każdy miał. Mnie dopadały i mijały bardzo szybko. Nie chciałam żyć w innym otoczeniu. W innej historii, w innym krajobrazie, w innym języku. Tu nie chodzi o jakiś sentymentalizm. Ja za granicą zawsze tęsknię do Polski. Po prostu.

Pani rzeczywistość po 4 czerwca 1989 roku?

Łagodnie mówiąc – zmienna. Od zachwytu, przez różne rozczarowania, do lęku, a nawet paniki. Najpierw romantyczna euforia, potem konfrontacja z kapitalizmem, z tabloidyzacją, z rosnącymi podziałami, z brutalnym językiem. Coraz mniej podobała mi się polityczna poprawność, ale też zmieniał się mój stosunek do Kościoła, stawiałam sobie coraz więcej pytań. Skoro rozmawiamy o tym jednym zdaniu, to też ciekawa jest jego historia po 1989 roku. Jak je dynamizowano, jak chowano, jak zmieniano. Bardzo szybko zgłosili się ludzie z reklamy. Ile towarów mogłabym zareklamować ogłaszając, że „Zaczęły się tego i tego dnia". Naprawdę proponowano mi duże pieniądze.

Jakaś pokusa?

Żadnej. Jak mogłabym zarabiać na tym zdaniu?! Ciekawe jest, jak ludzie reagowali w czasie spotkań autorskich, które odbywałam po całej Polsce. W pierwszym dziesięcioleciu po roku 1989 wszyscy zgadzali się z postawą, że nie wszystko jest na sprzedaż. W drugim dziesięcioleciu pojawiały się pojedyncze głosy, że w sumie użycie tego zdania do reklamy jest dopuszczalne. W trzecim dziesięcioleciu najczęściej słyszałam: „A co pani szkodzi zarobić pieniądze?"

Może mają rację?

Tylko że ta racja to powolny zanik poczucia innych wartości niż pieniądz. Nie wyobrażam sobie siebie jako osoby bogatej dzięki temu, co czułam jako misję wobec społeczeństwa. Poza tym tu w ogóle nie chodzi o mnie, tylko o zawartość tego zdania. Ona nie jest na sprzedaż. Ja zresztą też nie jestem. Dzisiaj liczy się bardziej to, jak ktoś umie siebie zareklamować, od tego, co i jak naprawdę robi. Nie wchodzę w to.

A jeszcze dla Pani te lata 90.?

Ja bym to porównała do umytego lustra. W tych nieograniczonych szansach i możliwościach można było nareszcie spojrzeć na siebie wyraźnie, ocenić swoje możliwości, marzenia, słabości. Bardzo szybko zobaczyłam, że nie nadaję się do wyścigu szczurów, a jednocześnie nie chcę milczeć wobec tego, co mi się nie podoba. Tu zaczęły się trudności, bo liczono na to, że jako ta, która ogłosiła koniec komunizmu, będę przodowniczką nowej rzeczywistości, tymczasem szybko przeszłam do krytyki. Przerażała mnie tabloidyzacja, imperium rynku i reklam. Uważałam, że kopiujemy to, co na Zachodzie najgorsze, często nieporadnie, choć była szansa na stworzenie nowej jakości. I to od razu kręgi progresywne uznały za wsteczność.

Konserwatywna przecież Pani nie jest.

Właśnie. Nie czułam się wsteczna, ani w żaden sposób powiązania z myśleniem konserwatywnym. No, ale lata 90. to był dopiero początek batalii. Prawdziwy chrzest bojowy przeszłam w XXI wieku, kiedy spadły na mnie wszystkie możliwe epitety od każdej ze stron. Nie zliczę, ile razy zdanie, które wypowiedziałam lub napisałam, było wyciągane z kontekstu, reinterpretowane, zafałszowywane, przestawało mieć jakikolwiek związek z pierwotnym sensem.

Korzystamy z wolności słowa, którą Pani ponad trzy dekady temu pochwaliła w Dzienniku Telewizyjnym?

↦

Korzystamy, pytanie tylko jak... Korzystamy do manipulacji, albo wyzywamy się po prostu. To z wolnością słowa nie ma nic wspólnego. W ogóle nic – ani ze słowem, ani z wolnością.

A jak Pani korzysta z wolności?

Specyficznie. Ja sobie po prostu życie utrudniłam. Wyszłam z bezpiecznych etatów w teatrach. Pracuję tylko na własne ryzyko i na własny rachunek. Stworzyłam swoją fundację i autorski Teatr Na Dole, dla którego piszę i tworzę scenografię.

W manifeście Teatru Na Dole pada zdanie: gramy nawet dla jednego widza.

Tak, bo na początku nie miałam pojęcia, co z tego będzie, skoro nie korzystałam z mediów i mało kto o tym teatrze wiedział. Napisałam tak, żeby dać znać, że to jest teren wolności, a nie robienia kasy. Manifestacja nonkonformizmu.

Inne zdanie z manifestu: nieważne co mówią, ważne co czują.

Bo to jest chyba sedno tego, czym powinniśmy się kierować, zwłaszcza artyści. Słowa tracą na wartości, są nośnikami jakichś pakietów światopoglądowych. Wielu boi się przyznać, nawet przed sobą, co naprawdę myślą, w obawie, że się ich zaliczy do wrogiego towarzystwa. Trzeba po prostu robić swoje. Choć nie jest to proste, oczywiście.

O tym przecież traktuje Pani ostatnia sztuka „Separatka".

Niezupełnie. Po prostu usadziłam dwie kobiety w jednej sali szpitalnej. Muszą razem wytrzymać, choć w normalnych warunkach byłoby to niemożliwe. Są ze skrajnie różnych baniek światopoglądowych.

Czyli rzecz o współczesnej Polsce – podzielonej i zantagonizowanej.

No tak. Myślę że nigdy w historii Polski nie było to aż tak silne. Żeby było jasne, nie jestem symetrystką. Uważam, że za nasz podział jest odpowiedzialny Kaczyński, który emocje swojego elektoratu wywindował na poziom zdrady narodowej.

To generuje przyzwolenie na każde zachowanie i całkowity brak zaufania w stosunku do faktów ujawnianych przez media. Wiemy teraz o tym aż za dobrze. Z drugiej strony, sytuacji nie pomaga gaz do dechy w poprawności politycznej. Kiedyś brałam udział w debacie o karierach kobiet. Powiedziałam, że pewnym problemem jest usuwanie na margines tych, które nie robią karier, tylko zajmują się domem. Wtedy lewicowa aktywistka z furią w głosie zapytała mnie, czy żałuję, że byłam matką i jednocześnie robiłam karierę. Odpowiedziałam, że czasem żałuję. Jakie było jej oburzenie! Powiedziała, że obrażam kobiety. Jak to obrażam!? Mówiąc coś, co dotyczy mnie? Każda mała prawda składa się na prawdziwy obraz, a nie na ten, który akurat się przyda.

Symboliczna scena dla kondycji nas wszystkich.

Nie ma prawdziwej rozmowy. Pani powie swoje, ja swoje, i każda z nas z niczym niezaburzonym światopoglądem wróci do swoich spraw.

Może niepotrzebnie tyle politykujemy?

To chyba nie dotyczy polityki, tylko zaniku przestrzeni na refleksję. Oj, sama już słyszę, jak w naszej rozmowie narzekam...

To może teraz bez narzekania...

Kiedy we wrześniu ubiegłego roku Kłodzko zalała woda, na Facebooku przeczytałam ogłoszenie, w którym nieznany mi człowiek napisał, że jedzie tam busem i jak ktoś chce oddać rzeczy dla powodzian, on zawiezie. Skontaktowałam z tym panem, szybko zorganizowałam zbiórkę w swojej dzielnicy, spotkaliśmy się na przekazanie rzeczy, on je zapakował, poszliśmy na szybką kawę. I przy tej kawie okazało się, że jesteśmy z dwóch różnych baniek... i co? Miałam mu powiedzieć, że go nie lubię i ma rozpakować samochód? On – że nie będzie wiózł rzeczy zebranych przez wielbicielkę Tuska? Podaliśmy sobie ręce, on pojechał i potem jeszcze kilka razy wrócił po kolejną zbiórkę. I nawet bawiła nas ta sytuacja. Ciekawe, jak byłoby teraz, gdybyśmy się przypadkiem spotkali. Wszystko zależy od wyniku wyborów. Kończąc tę naszą rozmowę, nie mamy pojęcia, w jakiej Polsce będzie czytana. Między jedną a drugą różnica jest galaktyczna. A między wyborcami? Wszystko zależy od okoliczności.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTERY

I CZYTAJ NAJLEPSZE TEKSTY TYGODNIKA, KIEDY CHCESZ!

W „Niezbędniku Tygodnika" znajdziesz codzienny przegląd informacji, zapowiedzi nowych numerów, wieści ze świata kultury i ciekawą lekturą na weekend.

Bez algorytmów. Od redakcji, której możesz zaufać.

dowiedz się więcej!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Polska, wykroje i wzory

ZIEMOWIT SZCZEREK

Tęsknię do jakieś formy, w której zamanifestowałaby się siła i atrakcyjność mojego państwa. Czy już jest za późno na to, by choć spróbować ją Polsce nadać?

IWONA BURDZANOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Lublin, Stare Miasto

Jeździłem po austriackiej Styrii późną zimą i czułem się jak w domu. W Galicji. Ale nie jak w Polsce jako takiej. Jak w jej części. Styria, Galicja – podobne rzeczy. Habsburgia, po prostu. Nekropaństwo, które nadal istnieje w najlepsze w kulturowym krajobrazie od Krakowa po Triest. Małe miasteczka i wioski o jasnych domach wśród wzgórz, cytrynowo czy kremowo malowane wieże kościołów. Wiechcie ciężkiej, mokrej trawy sterczące spod topniejącego śniegu, falista linia górskiego, krótkiego horyzontu.

Wjechałem później do Słowenii i nic się nie zmieniło, poza językiem na szyldach i reklamach. Tak, zmienił się język z niemieckiego na słoweński, ale nie zmieniła się cywilizacja, bo niemieckość – czy poaustriackość w tym wypadku – to coś o wiele szerszego niż naród. I wszyscy tu jesteśmy – wychodzi na to – dziećmi tej cywilizacji, choćbyśmy po niemiecku słowa nie mówili.

Boże wspieraj, Boże chroń ten kształt

Słowenia szybko się skończyła (jej niepozorność kłóciła się z *gravitas* tylu lat upartego trwania) i wjechałem do chorwackiej Slawonii. I tu także w gruncie rzeczy niewiele się zmieniło, mimo że Słowenia w ramach dawnej habsburskiej monarchii austro-węgierskiej należała do Austrii, a Slawonia – do Węgier. I mógłbym tak jeździć w kółko, dookoła pięknie zabalsamowanych zwłok martwego państwa, i za Ryszardem Peją podśpiewywać pod nosem „...i nie zmienia się nic". W Slawonii mógłbym, na przykład, skręcić na wschód, minąć serbską granicę i dostałbym się do Wojwodiny. I też by się nic nie zmieniło, tylko krajobraz by się spłaszczył i zmienił. Ale tylko ten naturalny. Ten kulturowy pozostałby podobny.

Gdybym potem pojechał na południe, do Dunaju, przez Banat albo Syrmię, dopiero wtedy dotarłbym do południowej granicy trupa dawnej Habsburgii. I dopiero za nią wszystko by się pozmieniało. Architektura miasteczek, dotąd koronkowa, gęsto-kamieniczna, małoryneczkowa – zmieniłaby się w nieco bardziej toporną, poottomańską albo tę z czasów przedpierwszowojennego serbskiego królestwa. Tak, wszystko ujmowałby w jednolite karby jugosłowiański brutalizm, ale jednak punktowo. Budynek tu, budynek tam. No i blokowiska, wiadomo. Ale mimo wszystko, Jugosławia czy nie, północna, pohabsburska Serbia i ta południowa, dokąd wpływy naddunajskiego imperium nie dotarły – wyglądają i dziś zupełnie inaczej.

Mógłbym też pojechać na północ. Minąć nie tylko Wojwodinę i Węgry w ich obecnych granicach, z ich rozłożonymi na płaskiej puszcie spokojnymi miastami z tendencjami do znarowionej nieco narodowo, specyficznej secesji i jednorodnymi wsiami o wrzecionowatych rynkach. Potem – słowackie Karpaty z ich strzelistymi zamkami i sprawiającymi tajemnicze i malownicze nieco wrażenie górskimi miastami. Trzeba minąć polski już dzisiaj Spisz i wjechać do polskiej Galicji. I nadal bylibyśmy w tym samym krajobrazowym sznycie, co w reszcie imperium. Kształtne miasteczka w górach, sielskie ryneczki, miłe, niewysokie kamienice, pod którymi aż się chce usiąść przy kawie.

Może to wszystko nieco bardziej zapyziałe, niż, powiedzmy, w Styrii, ale w gruncie rzeczy o to samo chodzi. Sanok, Krosno, Dukla, Gorlice i tak dalej. Albo te większe miasta: Przemyśl wspinający się na górskie zbocze tak malowniczo, że aż chce się płakać z zachwytu, Tarnów z najbardziej chyba niedocenionym starym miastem w naszej części Europy, czy w końcu Kraków, miasto, w którym posthabsburskość eksploduje jak wulkan ryczący austriacki hymn: „Boże wspieraj, Boże ochroń nam cesarza i nasz kraj".

Ale zaraz za Krakowem ten nieistniejący już kraj, który Bóg miał chronić i nie ochronił – się kończy. I zaczyna zupełnie inny. Dawne rosyjskie imperium. Choć już od stu ponad lat żadnej granicy tu nie ma. I tu, i tam – Polska. Jak okiem sięgnąć. Ale czuć, że jesteśmy już w Kongresówce, w dawnym rosyjskim zaborze zwanym nieformalnie Królestwem Kongresowym, a później Krajem Przywiślańskim.

Granica cywilizacyjna jest tu podobna do tej w Serbii, pomiędzy dawną ↦

↦ Habsburgią a dawną Ottomanią. Miasteczka, po galicyjskiej stronie nieco bardziej wyrafinowane, tu często zmieniają się w zbieraninę prostackich, często prostokątnych klocków poustawianych wokół kwadratowych rynków, rozwłóczonych na sporej przestrzeni. To po prostu dawne place targowe otoczone budynkami: sklepami, składami, domami, karczmami, które dawniej często były drewniane, a w PRL-u zamieniono je na pustaczane kostki.

Niemieckość to coś o wiele więcej niż narodowość.
To cały cywilizacyjny projekt, do którego Polacy w znacznym stopniu też należą. Jak zresztą kawał Europy Środkowej.

Ojczyzna, niemczyzna

I tak, sto lat po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, Kongresówka architektonicznie nadal jest marniejsza od Galicji. Sto lat nie wystarczyło, żeby wymyślić jakiś charakterystyczny dla Polski sznyt i nadać go krajobrazowi kulturowemu zmartwychwstałego państwa. A przecież robili to Bułgarzy po oderwaniu się od Imperium Ottomańskiego, robili to Serbowie.

Nie to, że nie ma w dawnej Kongresówce pereł: są. Lublin, Piotrków Trybunalski, zabudowa centrum Kielc, przejrzystość rozwoju architektonicznego Radomia, fascynująca i dziwna wielkomiejskość Łodzi, Płock czy w ogóle miasta nad Wisłą. Ale można też odnieść, na przykład, wrażenie, że gdyby Lublin leżał w dawnej Austrii (a było tak przez jakiś czas) czy zaborze pruskim, to wyglądałby bardziej efektownie niż dziś. I byłby miastem na miarę Poznania, Wrocławia czy Lwowa.

Wyjątkiem jest tu Warszawa jako kulejący jeszcze nieco, ale jednak feniks, który powstał z popiołów: to miasto zbudowane na nowo właściwie od zera, już w Polsce. Ze Starówką będącą właściwie wariacją na temat miasta średniowiecznego (bardzo zresztą udaną i koronkową) i starą zabudową, której nadano formę z czasów przedrozbiorowych: saskich i stanisławowskich. Tak, jeśli szukać w polskiej architekturze czegoś najbardziej polskiego – to właśnie w odbudowanej Warszawie. Ale jest to polskość nowa. Zrekonstruowana.

Dziwnym miejscem jest też Kalisz, który dawniej leżał na samej granicy Rosji i Prus. I mimo że po stronie rosyjskiej leżał, to jednak wpływy urbanistyki niemieckiej, promieniującej zaraz zza granicy, były tu tak silne, że trudno do dziś uwierzyć, że nie było to miasto zaboru pruskiego. Tym bardziej, że Kalisz, podobnie jak Warszawa, jest miastem odbudowanym: w czasie I wojny światowej Niemcy, nie bacząc na fakt, że Kalisz mocno się inspirował płynącymi od nich cywilizacyjnymi nurtami, zrównali to miasto z ziemią. Zresztą – również przedwojenna Warszawa w pamiętnikach niemieckich oficerów opisywana była jako miasto z bardzo mocno „niemieckim charakterem".

Narodowy i tępy niemiecki szowinizm niszczył z rozmachem własne wpływy cywilizacyjne, ale nawet szalejący naziści, ani ich pogarda, ani polskie upokorzenie nie były w stanie wymazać obojętnego na to wszystko i niewygodnego właściwie dla nikogo faktu. Niemieckość to coś o wiele więcej niż narodowość. To cały cywilizacyjny projekt. Do którego Polacy w znacznym stopniu, chcąc nie chcąc, też należą. Jak zresztą kawał Europy Środkowej.

Bo cóż: jedźmy dalej na północ od Warszawy. Do Torunia, do Bydgoszczy. Dalej – do Gdańska, do Fromborka. Jeśli Prusy Królewskie były polskie, jeśli toruński mieszczanin Mikołaj Kopernik był Polakiem – to niemieckość jest po prostu częścią państwowej polskości i tyle. Koniec i kropka. Nie zawsze się historia i fakty pokrywają z chciejstwem współczesnych nacjonalizmów i politykami historycznymi obecnych państw narodowych. Niemiecki Danzig był polski, nawet jeśli mówił po niemiecku i jeśli chcemy żyć jego tradycją, to musimy zaakceptować fakt, że również ten język niemiecki jest w jakiejś części nasz – polski.

Bardzo mi przykro, drodzy patrioci. Chcecie Kopernika, Heweliusza i toruńskie pierniki – przełknijcie niemczyznę jako część własnej tożsamości. To, że później ci „porzeczpospolici" gdańszczanie stali się największymi polakożercami, jacy żyli na ziemi – to też nic dziwnego. Ukraińcy, przez wiele lat stanowiący z Rosjanami jeden byt polityczny – dziś Rosji nienawidzą. Tak to jest z wyrywaniem się spod dominacji (albo lękiem przed dominacją, jak to było w przypadku Wolnego Miasta Gdańska) niechcianego hegemona.

Wystarczy również wspomnieć relacje polskiej szlachty z jej własnym, polskim mieszczaństwem, z którym szlachta prowadziła pełną pogardy i uprzedzeń handlową i kulturową wojnę. Bo, wbrew temu, czego się nas dziś uczy w wykutych w dobie państw narodowych i na bazie współczesnego nam nacjonalizmu podręcznikach, twierdzących, że „Polska nie miała mieszczaństwa" – Polska mieszczaństwo jak najbardziej miała. Tylko że to mieszczaństwo często nie mówiło po polsku.

Im bardziej ci, którzy się mieli za depozytariuszy tej polskości, czyli szlachta, je do siebie zniechęcali – tym mniej miało to mieszczaństwo ochotę i motywację się polszczyzną posługiwać. Tak, sabotowaliśmy własną pra-klasę średnią. I to był, między innymi, jeden z powodów, dla których Polska została rozebrana. I dla których nie została mocarstwem równym albo choć porównywalnym do Francji czy Niemiec.

Ale kreśląc w naszej historycznej pamięci jednorodny obraz szlachecko-chłopskiej Polski rodem z „Trylogii" łamanej przez serial „1670", zapominamy o innych aspektach naszej państwowości. Na przykład o tym, że na Pomorzu mieliśmy we własnych granicach coś w rodzaju kulturowo-ekonomicznych Niderlandów, części europejskiego cywilizacyjnego centrum, które odcinamy od własnej pamięci historycznej bojąc się (być może słusznie), że okazałoby się ono wobec Polski ogonem machającym psem. Będącym dla rolniczo-wojowniczej Rzeczypospolitej tym, czym dla Scytów były położone przy ujściach ich rzek do Morza Czarnego kolonie greckie. Być może. Ale nie zmienia to faktu, że – gdybyśmy zmienili nieco optykę – moglibyśmy aspirować również do tej pamięci i tradycji.

Zapyziałe jako rozwinięte

Jeśli pojedziemy z Prus Królewskich na wschód, do dawnych Prus Książęcych, do Warmii i Mazur, tam, gdzie Krzy-

ALBIN MARCINIAK / EAST NEWS

Kłodzko, woj. dolnośląskie. Uliczka do centrum

żacy wojujący z bałtyjskimi Prusami okiełznali i cywilizowali ogniem, mieczem i czerwoną cegłą Grosse Wildnis, czyli wielką, wschodnią puszczę będącą dla nich czymś w rodzaju końca zachodniego świata – też wyraźnie będzie widać granice. Jeśli wyjechać z dawnych Prus Wschodnich w kierunku Suwalszczyzny, Podlasia czy Mazowsza – wraz z dawną granicą prusko-rosyjską kończą się nagle czerwonocegłe zabudowania, a zaczynają widoczne spomiędzy współczesnej nam chaotycznej zabudozy resztki drewnianych stodół i chat.

Najciekawszym przykładem tego cywilizacyjnego uskoku jest Golub-Dobrzyń składający się z dwóch historycznych miast położonych po dwóch stronach dawnego kordonu: popruski Golub, z rynkiem, malowniczymi kamienicami i zamkiem wygląda jak istota tego, co nazywamy „zachodnią przestrzenią kulturową a Dobrzyń – rozwłóczony, niezwarty, z chaotyczną strukturą – wygląda jak to wszystko, co ciągnie się jeszcze daleko, daleko na wschód.

A gdy chodziłem po Poznaniu, stolicy tego „pruskiego wariantu" Polski, czułem się – podobnie jak w Golubiu – na czystym Zachodzie. Struktura ulic, placów i „fyrtli", spadziste dachy z czerwoną dachówką, architektura kamienic, cała ta mieszczańska porządność i poczciwość. To był kolejny wariant polskości – tej, która, czy nam się to podoba czy nie – idzie noga w nogę z niemieckością, który mi się całkiem podobał.

Tak, Wielkopolska może i należała do najbardziej zapyziałych części Niemiec, gdy leżała w ich granicach, ale zawsze była najbardziej rozwiniętą dzielnicą Polski. Tej przed-, jak i porozbiorowej. Po wczesnej, piastowskiej Polsce pozostały, oczywiście, głównie wały i fundamenty (inspirowanych Niemcami) katedr i budynków.

Pomysł Mieszka I na państwo był taki, żeby poza sprzedawaniem w niewolę własnych poddanych stawać się po prostu częścią Świętego Cesarstwa Narodu Niemieckiego, jeśli nie polityczną, to jak najbardziej cywilizacyjną i kulturową. Ale i później, między innymi ze względu na bliskość Brandenburgii i Śląska oraz relatywnie długi okres bez wojen, Wielkopolska kwitła, a dawni podróżnicy opisują ją jako, co prawda, nie aż tak „wygodną" jak krainy niemieckie, ale stosunkowo niewiele od nich odstającą. A już wydającą się wręcz rajem w porównaniu do tego, co czekało ich dalej na wschodzie.

Lech, Czech, Ruś i Germanus

Chodziłem więc ulicami Poznania, budowanymi w niemieckich czasach, ale będącymi przecież również na wskroś polskimi, bo obok niemieckiego od zawsze kłębił się tutaj żywioł polski i pod takim czy innym wpływem brał udział w powstawaniu tego całego cywilizacyjnego krajobrazu (a cywilizacja to, powtarzam, więcej niż naród) i rozmyślałem o pytaniu, które zadał mi niedawno pewien znajomy: „jakie jest najbardziej polskie miasto"?

Czy Lublin z jego starą częścią miasta, z wąskimi uliczkami pnącymi się pod górę, co w jakiś sposób – w wyobraźni chociażby – łączy tę polską formę miejską ze miastami starej Europy? Czy celebrowany Kazimierz nad Wisłą z kilkoma wyrafinowanymi kamienicami bogatych kupców na krzyż? Czy Kraków z jego ↦

PRZEMYSŁAW KRZYSZCZUK / ADOBE STOCK

Poznań. Centrum Kultury Zamek

↦ starym miastem (bo reszta dobudowana już za Austrii)?

Czy może po prostu trzeba się pogodzić z faktem, że polskich form było więcej, a każda z nich rozwijała się w ramach szerszego projektu państwowego – niemieckiego, austriackiego czy rosyjskiego – i po prostu była jego częścią? W końcu, do cholery, przedrozbiorowe, w tym średniowieczne polskie miasta również rozwijały się w ramach szerszego projektu kulturowego, którym była kultura zachodnioeuropejska, którego lokalnym aspektem był nasz lokalny „gotyk bałtycko-wiślany".

A że nie mieliśmy własnego wystarczająco silnego centrum cywilizacyjnego, które nadałoby nam oryginalną formę nieco inną, niż wyłącznie „dworek drewniany acz podmurowany"? Nie ma się co dziwić, że w poszczególnych częściach, z których, niczym twór Frankensteina, pozszywano Polskę, dawne rzeczywistości nadal trwają. Ale czy naprawdę nie mogliśmy choć podjąć ambitniejszej próby stworzenia swojego wyraźnego stylu?

Czy naprawdę to chaotyczna zabudoza właśnie, którą pokryliśmy całą Polskę, włącznie z ziemiami pozyskanymi po II wojnie światowej od Niemiec, musi już na zawsze pozostać naszą główną cechą charakterystyczną? Tak jest na wschodzie Europy i w krajach Trzeciego Świata, gdzie mało kto się przejmuje odgórnie narzucaną formą i każdy spełnia się na własną rękę.

Owszem, w międzywojniu mieliśmy poszukiwania polskiej formy: planowo zbudowaną Gdynię i rozsiane tu i tam nowe osiedla: Bielany i Żoliborz w Warszawie, osiedle Oficerskie w Krakowie, Stalową Wolę i tak dalej. Owszem, wczesny PRL pobłogosławił nas Nową Hutą, Tychami, Muranowem i MDM-em, a potem rozsianymi po całej Polsce charakterystycznymi blokowiskami, po których, faktycznie, można poznać Polskę zawsze i wszędzie, choćby się było do niej zrzuconym w nocy na spadochronie. Jasne. Ale czy chcemy, by właśnie z tym nas kojarzono? Czy chcemy sami siebie z tym właśnie kojarzyć?

Czy już jest zupełnie za późno na to, by choć spróbować nadać naszemu krajowi jakąś spójną formę? W poznańskim rynku, wyglądającym jak wiele pośredniowiecznych europejskich miast, pod inskrypcją łacińską stylizowaną na średniowieczną siedziały na murku dzieci z jakiejś wycieczki i słuchały, jak przewodniczka socjalizuje ich w polskości opowiadając im historię o Lechu, Czechu i Rusie, ale w tej historii, szczególnie opowiadanej w tym miejscu, bardzo brakowało Germanusa. A i Romulusa, bo przecież również w Niemczech to wszystko nie wzięło się znikąd.

Lekcja porcelany

Potem wyszedłem z uniwersalnych, średniowiecznych ulic Poznania i wszedłem w kwartały budowane w czasach pruskich. I nie miałem problemu z tym, żeby uznać je za swoje. Do pewnego stopnia bowiem naprawdę jesteśmy cywilizacyjnymi Niemcami, choć nie mówiącymi po niemiecku. Niemcy nie byli w kategorii podpinania się pod „innych" gorsi, wieki przeżyli w tworze zwanym Świętym Cesarstwem Rzymskim Narodu Niemieckiego. Poza tym żyjemy dziś w Unii Europejskiej, i ona też nam wszystkim nadaje formę. Przekona się o tym każdy, kto, na przykład, z Czarnogóry czy Bośni wjedzie do Chorwacji. Czy z Serbii na Węgry. Ta forma nie jest może do końca uchwytna, ale – przynajmniej ja – mam wrażenie, że wjeżdżając do Unii wjeżdżam za każdym razem do jakiejś własnej, lepiej mi znanej rzeczywistości, w której bardziej wiem, czego się spodziewać.

Ale tęskniłem jednak do jakieś formy, w której zamanifestowałaby się siła i atrakcyjność mojego państwa. Polski. Szedłem tak tymi popruskimi – a zarazem polskimi przecież ulicami Poznania i zastanawiałem się, czy zawsze będziemy skazani na upychanie tej naszej polskości, noszonej bardziej po kieszeniach niż manifestowanej w formie domów, w formy, których źródło nie bije u nas? I czym jest to „u nas"? I czy zawsze będziemy musieli dostosowywać tę „naszą" formę do kształtów nadawanych jej przez „kogo innego"?

Szedłem, aż dotarłem na róg ulicy Szyperskiej i Estkowskiego, a tam, na ścianie kamienicy, odpowiedzi udzielił mi wymalowany mural z wierszem Stanisława Barańczaka: „Jeżeli porcelana to wyłącznie taka / której nie żal pod butem tragarza lub gąsienicą czołgu; / jeżeli fotel, to niezbyt wygodny, tak aby / nie było przykro podnieść się i odejść; / jeżeli odzież, to tyle, ile można unieść w walizce, / jeżeli książki, to te, które można unieść w pamięci, / jeżeli plany, to takie, by można o nich zapomnieć / kiedy nadejdzie czas następnej przeprowadzki / na inną ulicę, kontynent, etap dziejowy / lub świat: // kto ci powiedział, że wolno ci się przyzwyczajać? / kto ci powiedział, że cokolwiek jest na zawsze? / czy nikt ci nie powiedział, że nie będziesz nigdy / w świecie / czuł się jak u siebie w domu?".

© ZIEMOWIT SZCZEREK

▪ *Dana Kavelina,* **THE LEMBERG MACHINE**, *Lublin, Galeria Labirynt, wystawa czynna do 15 czerwca*

Tytułowa „The Lemberg Machine" przenosi zwiedzających w czasie i przestrzeni do Lublina. Znajdujemy się pod pomnikiem braterskich narodów, wzniesionym przez władze sowieckie po zajęciu miasta w 1939 r., albo na ulicach miasta podczas pogromu ludności żydowskiej w lipcu 1941 r. Wreszcie trafiamy do wąwozu, zwanego Piaskami, w którym odbywały się masowe egzekucje. O tych wyprawach w przeszłość opowiada godzinny animowany film, którego bohaterowie mówią w jidysz, po polsku i ukraińsku, ale także po niemiecku i rosyjsku. Kavelina pokazuje wydarzenia nie tylko z punktu widzenia ofiar, ale też świadków i katów. Przedstawia cierpienie, przemoc, zbrodnie. Pokazuje też proces „oswajania" i „normalizacji" horroru. Przystosowywania się. Pisze: „Deportacja staje się »uprzejmą eskortą«, plądrowanie – »pilnowaniem dobytku«, a wymordowane całe rodziny to »życia, które zniknęły« – jakby wydarzyło się to samoistnie". W ostatnich dekadach z pamięcią o Zagładzie konfrontowało się wiele artystek i artystów. Jednak praca urodzonej w 1995 r. Dany Kaveliny, jednej z najciekawszych reprezentantek młodej ukraińskiej sztuki, jest wyjątkowa. Przywołuje miejsca, których doświadczyć można niemalże fizycznie, m.in. poprzez makiety przestrzeni, w których rozgrywają się sceny z filmu.
© PIOTR KOSIEWSKI

▪ *Cardinal Black,* **MIDNIGHT AT THE VALENCIA**, *Jump In Records*

Obsesja, samotność, rozchodzenie się wspólnych dróg, wspominanie dawno wyblakłych uczuć, mierzenie się ze skutkami starych kłamstw, błaganie, „by pozwoliła do siebie wrócić" – o tym zawsze opowiadał blues i o tym jest również nowa płyta walijskiego zespołu Cardinal Black. Trio zaczynało od grania w pubach, potem supportowało Petera Framptona i Joego Bonamassę, a obecnie odbywa światowe tournée. I jest to zespół, którego artystyczną drogę warto obserwować, bo proponuje znacznie więcej niż vintage'owe pokłony dla przeszłości.
Brzmienie buduje przede wszystkim frontman: dysponujący szeroką skalą i „czarną" barwą głosu Tom Hollister (do tego niezły tekściarz). Kolejna tajna broń grupy to Chris Buck, gitarzysta, który kilka lat temu przebojem wdarł się do pierwszej ligi blues-rocka. Jego minimalistyczny styl (którego tajniki chętnie zdradza na swoim kanale YT) oraz czyste, prawie przeźroczyste, ale jednak bluesowo przybrudzone brzmienie – tworzą pełne gwałtownych emocji muzyczne historie, którym trudno się nie poddać (odnajdźcie też koniecznie cover „Chain" Fleetwood Mac zagrany wspólnie z Martinem Millerem, oraz utwór „Slow Train" projektu Buck & Evans).
I to solówki Bucka prześwietlają przybijające teksty Hollistera promykiem nadziei. Jest ciężko, ale udźwigniemy to. Żyjmy dalej. Tego też zawsze uczył blues.
©℗ MACIEJ MÜLLER

▪ **CLAIR OBSCUR: EXPEDITION 33**, *Platformy: PC, XSS/XSX, PS5, xCloud, GeForce NOW; producenci: Sandfall Interactive, Sandfall S.A.S.; wydawca: Kepler Interactive*

„Clair Obscur: Expedition 33" to turowa gra RPG przedstawiająca losy ekspedycji, której celem jest zniszczenie Malarki odpowiedzialnej za śmierć mieszkańców uwięzionych na wyspie Lumière. Inspirowana japońskimi grami RPG, takimi jak „Final Fantasy" czy „Persona", została stworzona przez byłych pracowników studia Ubisoft. I choć na pierwszy rzut oka tytuł przywodzi na myśl wysokobudżetowe produkcje, grze bliżej do segmentu AA (w skrócie: budżetowych średniaków). Tytułowe *chiaroscuro* jest pojęciem zaczerpniętym z malarstwa i oznacza kontrast między światłem a cieniem stosowany do nadania obrazom głębi. Nie bez przyczyny to słowo jest pierwszym członem tytułu, który nieustannie bawi się kontrastami: francuska *belle époque* rozpada się na kawałki w konwencji *dark fantasty*, przepełniona rozpaczą i śmiercią wyprawa łamana jest przez komediowe sekwencje, a turowe starcia zabarwione zostają elementami zręcznościowymi. Gra umiejętnie trzyma w napięciu, powoli odsłaniając kolejne fragmenty historii, a także nieustannie urozmaicając sekwencje walki i wprowadzając nowe umiejętności oraz postaci.
Jeśli nie straszne wam romantyczne historie, dajcie szansę „Clair Obscur: Expedition 33". Chociażby po to, żeby doświadczyć obłędnej ścieżki dźwiękowej. © MAGDALENA KOZYRA

MATERIAŁY PRASOWE X3

Nasze podkasty się rozwijają!
Dotychczasowe cykle tematyczne dostały własne kanały. W aplikacji, w której słuchasz podkastów, koniecznie odszukaj i zasubskrybuj:

PODKAST TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY KULTURA

TYGODNIK POWSZECHNY NAUKA

STRONA ŚWIATA JAGIELSKI & STORY

SZKOŁA UCZUĆ

Szczegółową ramówkę znajdziesz na stronie TygodnikPowszechny.pl/Podkast

Weź, słuchaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Życie toczy się dalej

ANITA PIOTROWSKA

Kamera rejestruje życie wspólnoty opierającej się nowoczesności, ale nie ma złudzeń – znana im dotychczas postać świata musi przeminąć. Co nie oznacza, że dokument „Gaucho Gaucho" celebruje nostalgię.

Dziś prawdziwych kowbojów już nie ma. Zwłaszcza takich, którzy oparli się kulturowej westernizacji, poprzestając na tradycyjnej hodowli bydła i pierwotnym kodeksie wartości. A im bardziej takich bohaterów nie ma, tym bardziej kino skłonne jest romantyzować ich „proste życie". Oczywiście „nieśpieszne" i „wpisane w rytm natury". Uruchamia w ten sposób nasze tęsknoty i wyobrażenia, które zazwyczaj niewiele mają wspólnego z surową rzeczywistością. Zwłaszcza gdy tak zwane kino pasterskie zapuszcza się w dalekie, egzotyczne dla nas rejony świata. Nie można łatwo sprawdzić, jak tam jest naprawdę, kupujemy więc czyjąś wizję – artystyczną, etnograficzną, mniej lub bardziej turystyczną.

Kto jednak zna i lubi „Truflarzy", poprzedni film Michaela Dwecka i Gregory'ego Kershawa, będzie wiedział, czego mniej więcej się spodziewać po ich najnowszym dokumencie. I na ile w ogóle mamy do czynienia z dokumentem w klasycznym tego słowa znaczeniu. Tym razem kręconym na argentyńskiej pampie, gdzie czas zdaje się tkwić w miejscu i zarazem przyspieszać na naszych oczach.

„Gaucho Gaucho" samą swoją koncepcją zdjęciową (jest konsekwentnie czarno-biały i ostentacyjnie „wizualny") może budzić podejrzenia o nazbyt artystowskie zapędy. Ale pewnie trudno byłoby dziś sprzedać do kin nieuszlachetnione i nieudramatyzowane życie południowoamerykańskich pasterzy z prowincji Salta. Jeszcze trudniej zaś nie powielać kulturowej kliszy, jaką stali się tradycyjni hodowcy bydła w Paragwaju, Urugwaju, a szczególnie w Argentynie, gdzie *gaucho* to wręcz bohater narodowej epopei. Twórcy filmu balansują zatem między dokumentalną obserwacją, nienachalną inscenizacją a stylizacją retro.

Poprzedni ich dokument, ten o sędziwych zbieraczach trufli z Piemontu, był równie gawędziarski w tonie i wyraźnie podkręcał sceny czy zdarzenia. Jednak bohaterami uczynił kilku lokalnych dziwaków, których łatwiej było ukazać w ciepłym, a chwilami nawet pociesznym świetle. Tu zaś mamy całą wielopokoleniową społeczność o mieszanych, rdzenno-hiszpańskich korzeniach i synkretycznej religijności. Też powoli odchodzi w zapomnienie ze swoim stylem życia i etosem, ale ma za sobą co najmniej dwuwiekową historię i żywotną mitologię.

Otwarte przestrzenie, konie w galopie, świat wolności i męskiej rywalizacji, czego symbolem jest oczywiście rodeo w pobliskim pueblu – Dweck i Kershaw serwują zrazu typowe obrazy gauchowskiej kultury. Są także śpiewy i tańce przy har-

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM **www.radiokrakow.pl**

MATERIAŁY PRASOWE AURORA FILMS.

GAUCHO GAUCHO
– reż. Michael Dweck, Gregory Kershaw. Prod. USA/Argentyna 2024. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 6 czerwca.

Michael Dweck i Gregory Kershaw to amerykański duet reżyserski, któremu rozgłos przyniósł dokument „Truflarze" (2020). Pierwszy jest cenionym artystą wizualnym, twórcą wielu projektów fotograficznych. Ich filmowa współpraca rozpoczęła się od „The Last Race" (2018), a kolejny wspólny tytuł dokumentalny, „Gaucho Gaucho", został doceniony na festiwalu Sundance za dźwięk.

Kadr z filmu „Gaucho Gaucho"

moszce, picie wina i mate, jowialni starcy chwalący się erotycznymi podbojami i mali chłopcy, którzy już czują się *gaucho*. Ale w tych folklorystycznych i dość statycznych obrazkach od razu pojawia się zadziorna dziewczyna w kapeluszu i z lassem. Dużo bardziej niż szkoła interesuje ją ujeżdżanie koni – tylko jak tu zostać gauchą w świecie tak bardzo *macho*?

To jeden z przewodnich wątków tego filmu, raczej rozbitego na scenki, piękne kadry i anegdotki niż podporządkowanego jakiejś jednolitej historii. Kamera rejestruje życie wspólnoty opierającej się nowoczesności, ale nie ma przecież złudzeń – musi przeminąć znana im dotychczas postać świata. Co nie oznacza, że „Gaucho Gaucho" jest filmem celebrującym nostalgię. Jeśli nawet, robi to z umiarem. Brak również krytycznego komentarza na temat ekonomicznych przyczyn stopniowego obumierania tej kultury, związanych przede wszystkim z uprzemysławianiem się hodowli czy grodzeniem terenów. Za chwilę filmowana osada może zamienić się w żywy skansen, w którym nastoletnia Guada na koniu będzie turystyczną atrakcją.

Jednakże pomimo całej malowniczości, witalizmu i „konserwacyjnej" pasji, brakuje temu filmowi bardziej zmysłowego dotknięcia, jakie bez wątpienia miał wspomniany dokument o truflarzach. Być może to obraz, z którego dla estetycznej rafinady zdjęto kolor, tak właśnie działa na widza, albo pewien (kulturowy?) dystans, z jakim amerykańscy filmowcy przyglądają się swoim bohaterom i ich otoczeniu. Wygląda na to, jakby w argentyńskiej dolinie Calachaqui czuli się dużo bardziej obco aniżeli w piemonckich lasach i momentami za bardzo naginają tę opowieść do swoich oczekiwań, nie pozwalając wybrzmieć jej autentycznym czy głębszym tonom. Stąd, mimo lekkości i humoru, nie ma ona aż takiego łobuzerskiego wdzięku jak poprzednia.

Są w niej za to rozmaite świadectwa autentycznych związków z „matką ziemią", pokoleniowych przemian i pielęgnowanej tożsamości, także poprzez lokalne radio. Najbardziej symboliczna dla tego filmu wydaje się scena, w której dwóch małych *gaucho* układa na pampie kompletny szkielet konia, prawdopodobnie wyczyszczony przez kondora. Jest w niej wszystko, o co z grubsza chodzi w „Gaucho Gaucho": nieuchronność przemijania, pokora wobec sił natury, pochwała zabawy i cierpliwe dopasowywanie kawałków, ażeby stworzyć chociaż zarys tego, co kiedyś było tak drogim dla całej społeczności zwierzęciem. Nic już go nie wskrzesi, lecz przecież życie toczy się dalej. ©

Lektor:
Świat, który wraca

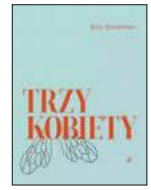

▪ *Jerzy Jarniewicz*
TRZY KOBIETY. WIERSZE I STORIE
Biuro Literackie, Kołobrzeg 2025, ss. 54

W TRUDNYCH CHWILACH POEZJA POMAGA. ZWŁASZCZA dobra poezja. A Jerzy Jarniewicz jest dobrym poetą. Nie dlatego, że dostał Nike – po prostu jest i już. O czym możemy zapominać, skupieni na jego przekładach i esejach o literaturze anglosaskiej, kontrkulturze i translatologii.

Oczywiście pierwszą książkę poetycką po takiej nagrodzie czyta się trochę inaczej. W rozmowie z Anną Adamowicz autor mówi jednak zdecydowanie: „ani Nike, ani Silesius nie wpłynęły na to, jak pisało mi się kolejne książki. W zasadzie na nic nie wpłynęły". I tłumaczy, że chciał jednego: napisać książkę odmienną. „Nie całkiem odmienną, bo to chyba już niemożliwe, i niepotrzebne, ale jednak inną".

„Trzy kobiety" są inne w tym może sensie, że wyraźniej tworzą całość rozpisaną na kolejne wiersze (co nie znaczy, że we wcześniejszych tomach Jarniewicza brak spójności!). Opowieść o przedwcześnie zmarłej matce i jej trzech przyjaciółkach, Wandzie, Krysi i Irenie, czasem przybiera postać niemal reportażowej migawki, a czasem przenosi nas w rejony nieledwie baśniowe.

Ten świat, tak bardzo miniony, że już historyczny, oglądany oczami chłopca, jest mi w realiach bliski. Wiem, że Jarniewicz nie pisze poetyckiej autobiografii ani portretu pokolenia, ale przyjemnie się wyłapuje rozmaite znane szczegóły wplecione w gęstą poetycką tkankę. Wraca przeszłość, ale też mieszają się czasy, trochę jak we śnie. „Jeżeli powrót, to tylko taki, który zostanie z nami do jutra, / żebyśmy mogli, w chwilę po przebudzeniu, gdy / we śnie jeszcze imiona, powyciągać z cienia / to, czego dotychczas nie musieliśmy tłumaczyć, / nasze ukrywki, zdumki, potajomki (...)".

A czym są storie? Dzięki temu słowu, tłumaczy autor, „mogłem łacniej otworzyć się na to, co poza wiersz wykracza, co zbliża go do prozy, co gra narracją, postaciami, sceną". Ale dodaje: „mocowałem się z narracją w wierszach z tego tomu, ona musiała w nich być, a jednocześnie często mi przeszkadzała (...) Do wielu utworów podchodziłem kilkakrotnie, ociosywałem je z narracyjności albo rozregulowywałem ją tak, by móc wprowadzić do niej ciała obce".

Czekają was też niespodzianki. Gdy już zadomowicie się w tym świecie trzech, a właściwie czterech kobiet, traficie na takie wiersze, jak „Społeczeństwo obywatelskie" i „Torowiska". Ale nie będę uprzedzał... ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Arcypolskie

ROMAN BOSIACKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Siedem miliardów dolarów wart był sprzęt lotniczy, który Ukraina zniszczyła Rosjanom w zeszłą niedzielę podczas niesamowitego w swej „asymetryczności" ataku. Nawet jeśli ten szacunek jest naciągany, to w każdym razie rząd wielkości pozostaje godny większej uwagi, niż byliśmy gotowi poświęcić w ten wyborczy wieczór.

W miliardach (od półtora do trzech, zależy, kto się wypowiada) liczą się również utracone dochody Ukrainy z racji tego, że w ten piątek Unia cofnie ulgi i zwolnienia z ceł w handlu żywnością, których udzieliła Kijowowi tuż po wybuchu pełnoskalowej wojny. Te otwarte dla płodów rolnych granice już rok temu się trochę przymknęły, ale teraz sytuacja na dobre wraca do punktu wyjścia. 6 czerwca znaczy więc symboliczny koniec pewnego etapu naszej solidarności. Również ta data mogła wam umknąć w zgiełku kampanii, choć ścisły związek z wyborami jest jasny, bo Komisja chciała w ten sposób wspomóc ekipę Donalda Tuska. Chyba nie pomogło, polscy rolnicy (ściślej: segment elektoratu zależny od narracji lobby agrobiznesowego) nie dosłyszeli. Podobnie chyba wyborcy panicznie wystraszeni migrantami nie dosłyszeli, że nasz premier zrobił im piękny prezent i podpisał się pod zainicjowanym przez Giorgię Meloni listem domagającym się przemyślenia jeśli nie litery Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, to przynajmniej jej praktyki stosowania przez Strasburg.

Znalazłoby się jeszcze parę ważnych newsów osadzających nas twardo w rzeczywistości zamiast w majakach z fejsbuka. Ale może jest za wcześnie, gorączka w głowach musi powoli wystygnąć. Pewien mój znajomy, profesor o ścisłym umyśle, uznał po pierwszych wynikach *exit poll*, że Polacy woleli, aby ich dzieci zajmowały się zbieraniem szparagów w Niemczech. Zaraz zaraz, co jest upokarzającego w pracy przy zbiorach za uczciwe pieniądze? Na polskim polu plecy bolałyby tak samo, tylko stawka niższa, bo wyższej nie zniósłby polski portfel mojego znajomego. A może on już nie jada szparagów, bo są, powiedzmy to sobie znowu otwarcie, bardzo niepolskie? W żadnej znanej mi postaci rekonstruowania „prawdziwie polskiej" kuchni – czy może raczej składania jej na nowo z zastanych, często niespójnych klocków – szparagi nie występują.

GRAŻYNA MAKARA

Ale może za mało to śledzę. Wiem jednak, kogo zapytać. Fabio Parasecoli, profesor *food studies*, znany wam już z tej rubryczki, wydaje niebawem (z Agatą Bachórz i Mateuszem Halawą) nową książkę pt. „The Pierogi Problem", poświęconą „wymyśleniu na nowo polskiego jedzenia". Będziemy go ponownie maglować w związku z tematami, których dotknął w solidnie opracowanej, ale lekkostrawnej książce. Opowie nam wtedy rzeczy, przez które poczujemy się bardziej ciekawi jako naród w fazie wychodzenia z przykurczonej postawy prowincjusza o brzydkich rysach, choć jeszcze długo będziemy wlekli za sobą poczucie, że w kwestiach obyczajów mamy jakieś lekcje do odrobienia, żeby nas przyjęli na tym nieszczęsnym Zachodzie. Zawsze przy tym powtarzam, że skoro na zachód od nas leżą na mapie Niemcy, to może nie spieszmy się z okcydentalizacją stołu. Może lepiej orientować się na południe...

Przyjdzie czas na dłuższą rozmowę. Od razu wam jednak chciałem to zasygnalizować, bo przecież mimo postępów mamy resztkowe kompleksy, że napisali o nas w samej Ameryce! W kluczowym rozdziale poświęconym *tastemakers*, czyli, jak by tu rzec, kreatorom smaku, osobom różnego autoramentu tworzącym narracje o jedzeniu i nadającym mu określone wartości, jest krótka wzmianka o waszym pokornym felietonowym słudze. A w konsekwencji i o was wszystkich, bo kuch-

Produkt najbardziej polski: podwawelska na Festiwalu Pierogów. Bydgoszcz, 2019 r.

CHRISTIAN FISCHER / ADOBE STOCK

nia żyje tylko dzięki stołownikom, kucharz, który nikogo nie karmi, jest pusty jak niejedna kukiełka z instagrama.

W tę powyborczą noc, gdym kończył lekturę książki, uderzyła mnie szczególnie jedna z niej myśl. Cały wysiłek wypichcenia nowych tradycji i przepakowania ich w formy spełniające oczekiwania wielkomiejskiej sceny gastro, skupia się na pojedynczych składnikach, półproduktach najwyżej, jak np. kiszonki. Jesteśmy w tej perspektywie ziemią arcyciekawych komponentów, ale montownię złożonych dań muszą już nam ufundować ci, co liznęli szerokiego świata. Jeśli chcemy pokazać – oprócz nieszczęsnych pierogów – konkretne dania i pełne posiłki, to mają wciąż charakter regionalny, a nie „polski", przy czym np. uważnie badane w książce Podlasie samo nie wie, czy jest samodzielnym bytem, czy wciąż częścią fantomowej całości Wielkiego Księstwa Litewskiego (ziemniaki na ziemię białostocką przyszły stamtąd, nie z Korony). Różnice w rozumieniu tego, co lokalne i „swoje" między okolicą zurbanizowaną a wiejską oraz wedle podziałów statusowych nieraz mnie w tej książce zaskakiwały swą treścią, ale nie swoim istnieniem – są równie twarde, jak w polityce. Ale mam chwilowo dosyć czytania o Polsce „podzielonej na pół", może więc poskładam sobie jakąś nową tradycję i tożsamość. Ze szparagiem w herbie, właśnie są ostatnie dni sezonu.

Risotto truskawkowe

Dodalibyście kiełbasy do ogórkowej? Feel free – taką radę daje autorka przepisu w „New York Timesie", której gigantyczny dział kuchenny traktuję z rewerencją, ale umiem się zjeżyć, kiedy przegina. Kolor zupy na tamtejszym zdjęciu – zdecydowanie żółty – budzi moje podejrzenia; wyrosłem w innej tradycji, bardziej zielonej. Tymczasem zajmiemy się innym dziwnym pomysłem, który wzbudził niejedną salwę śmiechu we włoskich domach, ale dla nas może być całkiem przyjemny.

SKŁADNIKI: 320 g ryżu do risotta 400 g truskawek 1 mały por 40 g cukru ▪ masło ▪ bulion warzywny ▪ dobre białe wino lub mocno wytrawne prosecco

Siekamy pora na talarki, dajemy do garnuszka z łyżką masła, solimy, wlewamy tyle wody, żeby go przykryła, dusimy pod pokrywką pół godziny, podlewając odrobiną wody, jeśli ryzykujemy przypalenie. Po wystudzeniu miksujemy na rzadki krem. Podgrzewamy na patelni 2 łyżki masła, dodajemy cukier, ciągle mieszamy, kiedy zacznie się lekko złocić, wrzucamy połowę truskawek pokrojonych w kosteczkę, dusimy 2 minuty, miksujemy. Prażymy ryż na suchej patelni, wlewamy ok. 100 ml wina, odparowujemy, gotujemy dalej, dolewając stopniowo wrzący bulion warzywny. Po ok. 16-18 minutach, kiedy ryż będzie miękki i zacznie się robić kremowy, dodajemy łyżkę masła, 1-2 łyżki kremu z pora (trzeba samemu ustalić, jak mocno ma być wyczuwalny), małą ilość wina i resztę pokrojonych truskawek. Krótko mieszamy. Na talerzach polewamy sosikiem truskawkowo-karmelowym. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/ /tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

PRAWDZIWA GWIAZDA PARYŻA

Nie sposób kibicować temu klubowi. A równocześnie nie sposób nie kibicować temu trenerowi i tym piłkarzom. Odpowiedź na pytanie, czy cieszy nas triumf Paris Saint-Germain w finale Ligi Mistrzów, mówi też o tym, jak patrzymy na współczesny futbol.

MICHAŁ OKOŃSKI

Gdzieś około 87. minuty meczu, kiedy Paris Saint-Germain prowadziło już z Interem 5:0, kamerzysta odnalazł w loży honorowej monachijskiego stadionu Nassera Al-Khelaïfiego. Ten katarski biznesmen (oprócz funkcji prezesa klubu, który już za chwilę miał po raz pierwszy w historii wygrać Ligę Mistrzów, piastujący kilka kluczowych funkcji w świecie futbolu, m.in. kierujący rosnącym w potęgę Europejskim Stowarzyszeniem Klubów) cieszył się jak mały chłopiec. Kiedy 14 lat temu kupował PSG, zapowiadał, że sięgnie po Puchar Europy w ciągu pięciu lat. Jak widać, musiał czekać znacznie dłużej – przekonując się przy okazji, że pieniądze to nie wszystko.

Każdy się okrył łachmanem tej sławy Każdemu było dosyć – nadto było...

„Nigdy nie widziałem, by worek z pieniędzmi strzelił gola" to akurat cytat z Johana Cruyffa – człowieka, którego ostatnią misją na posadzie trenera Barcelony było przekonanie Luisa Enrique do zmiany barw klubowych. Decyzja o odejściu z Realu Madryt i kontynuacji kariery w drużynie znienawidzonego rywala wymagała od 26-letniego wówczas pomocnika, a dziś 55-letniego trenera PSG, szaleńczej zaiste odwagi – i niewielu było śmiałków w dziejach futbolu, którzy zdecydowali się iść tą drogą.

A może to nawet nie była odwaga, tylko zamiłowanie do doświadczeń ekstremalnych: już po zakończeniu kariery piłkarskiej, a przed rozpoczęciem pracy szkoleniowca Luis Enrique biegał maratony i triatlony, uczestniczył w amatorskim wyścigu kolarskim przez Pireneje, a nawet wziął udział w liczącym 250 kilometrów, siedmiodniowym ultramaratonie po saharyjskich piaskach.

Wygranie z PSG Ligi Mistrzów – przyznajmy – należało również do wyzwań ekstremalnych. Wcześniej w Parku Książąt (Parc de Princes to nazwa stadionu PSG; trudno o bardziej adekwatną) pracowali równie znamienici i utytułowani szkoleniowcy, m.in. Carlo Ancelotti, Unai Emery, Thomas Tuchel

MATTHIAS SCHRADER / AP PHOTO / EAST NEWS

Luis Enrique, trener Paris Saint-Germain, z trofeum Ligi Mistrzów. Monachium, 31 maja 2025 r.

czy Mauricio Pochettino, ale żaden nie znalazł sposobu na doprowadzenie dzieła do końca. „Czasami miałem wrażenie, że nie jestem trenerem, tylko jakimś ministrem sportu" – skarżył się Tuchel. Przed Luisem Enrique to on był najbliżej spełnienia marzeń Nassera Al-Khelaïfiego: w pandemicznym sezonie 2019/2020 przegrał w finale z Bayernem.

Ludzi nie dojrzysz... Lecz nad mgłami fali Stoją posągi (gdzie płynie Sekwana)

Polityki było wprawdzie w tym klubie mnóstwo jeszcze przed katarską inwestycją (jego rozwój wspierał m.in. mer Paryża i późniejszy prezydent kraju Jacques Chirac), ale to, co wydarzyło się 23 listopada 2010 r. w Pałacu Elizejskim, przebiło wszelkie miary – przynajmniej te przyjmowane zwykle w świecie demokratycznym.

Ówczesny prezydent Francji Nicolas Sarkozy – skądinąd również kibic PSG, mający jako mer podparyskiego Neuilly-sur-Seine zwyczaj schodzić do szatni piłkarzy i wdawać się z nimi w mobilizujące pogawędki – podjął wówczas lunchem księcia koronnego, a dziś emira Kataru Tamima al-Thaniego, kolejnym biesiadnikiem był zaś prezydent Europejskiej Federacji Piłkarskiej Michel Platini. Efekt? Kilka dni później władze światowej piłki, m.in. za sprawą Platiniego, powierzyły Katarowi organizację mundialu w 2022 r., a po siedmiu ↦

IMAGO SPORT AND NEWS / EAST NEWS

Przeżyła dziewięć lat, o których trener opowiada jako o najwspanialszych w życiu. Przed finałem mówił, że **córki nie będzie z nim fizycznie, ale będzie duchowo.**

Luis Enrique z córką Xaną świętują wygraną Barcelony w Lidze Mistrzów. Berlin, 6 czerwca 2015 r.

↦ miesiącach reprezentowany przez Nassera Al-Khelaïfiego Qatar Sports Investments przejął kontrolę nad szorującym gdzieś blisko dna francuskiej ligi ulubionym klubem francuskiej głowy państwa.

Interesów na linii Paryż-Doha było oczywiście więcej: Qatar Airways kupowało francuskie airbusy, katarska armia – myśliwce Rafale, nas jednak najbardziej zajmują inwestycje w futbol; niezależnie od przejęcia PSG przez Qatar Sports Investments, katarska telewizja beIN Sports – na której czele stoi, uwaga, Nasser Al-Khelaïfi – wydała setki milionów euro na prawa do transmisji francuskiej ligi; *de facto* subsydiując każdą z tamtejszych drużyn.

O! jak tu smutno, kędy wśród cyprysów Pobladłe w cieniu chowają się róże

O zjawisku sportswashingu i futbolu jako narzędziu politycznej softpower napisaliśmy już w „Tygodniku" sporo, zwłaszcza przy okazji triumfu w Lidze Mistrzów Manchesteru City, który przejęli szejkowie ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, oraz w związku z mundialem w Katarze. Przypomnijmy pokrótce: kraje arabskie inwestując w sport zapewniają sobie rozpoznawalność, bezpieczeństwo i wpływy, mające trwać dłużej niż czas, w którym kupować będziemy ich surowce.

Kiedy mistrzostwa w Katarze wygrała reprezentacja Argentyny i na ramiona triumfującego Leo Messiego organizatorzy turnieju wcisnęli arabską szatę, wywołało to falę negatywnych komentarzy, dziś jednak – jak pisze w „Guardianie" Barney Ronay – wszyscy nosimy biszt. Koszulki i stadiony największych klubów świata zdobią loga linii lotniczych, koncernów czy fundacji mających swoje siedziby nad Zatoką Perską; aniśmy się obejrzeli, a najważniejsze kluby i najsłynniejsi piłkarze zmienili się w banery reklamowe, dzięki którym roponośne mocarstwa przestają się kojarzyć np. z łamaniem praw człowieka.

Nowa Sodomo! pośród twych kamieni Mnoży się zbrodnia bezwstydna widomie

Nawet przed zwycięstwem w Lidze Mistrzów Katarczycy musieli mieć poczucie, że zrobili dobry interes. Kupowali za 70 mln euro klub, który po tym sukcesie wart będzie pewnie ze 4 mld euro. Owszem, nie żałowali pieniędzy, zatrudniając futbolowych celebrytów: Zlatana Ibrahimovicia, Davida Beckhama, Neymara (wydając na Brazylijczyka w 2017 r. 222 mln euro ustanowili obowiązujący wciąż transferowy rekord świata, rok później drugie miejsce na liście rekordów zajął Kylian Mbappé, za którego zapłacili 40 mln mniej), Sergio Ramosa, Gianluigiego Donnarummę, w końcu zaś Messiego, wyciągniętego z pogrążonej w finansowych tarapatach Barcelony.

Wyśmiewane czasem przez ekspertów zajmujących się wyłącznie sportową stroną przedsięwzięcia transfery starzejących się i rozleniwionych wcześniejszymi sukcesami gwiazd okazały się strzałem w dziesiątkę – nawet jeśli w decydujących starciach Ligi Mistrzów aż do tego roku okazywało się, że to rywale paryżan biegają szybciej i chcą bardziej, Neymar czy Messi przynosili do klubu więcej niż europejskie puchary. Z pojawieniem się każdej kolejnej gwiazdy rosła marketingowa potęga PSG, zwłaszcza że szejkowie działali kompleksowo.

Marka, którą budowali („Chciałem zbudować markę" to fraza z rozmowy Nicka Millera, autora książki „Who Owns Football?", z Nasserem Al-Khelaïfim), miała się rymować z glamurem francuskiej stolicy. Wielcy piłkarze byli w ich koncepcji jak plejada artystycznych i pisarskich gwiazd zaludniających „O północy w Paryżu" Woody'ego Allena – film, w którym nawiasem mówiąc wystąpiła także żona Sarkozy'ego, Carla Bruni. Drużyna dostała od nowych właścicieli nowe stroje i nowe logo, z wpisaną weń wieżą Eiffla. Zakorzeniając swój klub nad Sekwaną, Katarczycy zakorzeniali się w samym sercu starej Europy.

Czy słońca promień? czy spisa rycerza? Wysoko – strzela blaskiem ozłocona wieża

Oczywiście to nie jest tak, że PSG jest wyłącznie zimnym komercyjnym projektem, globalną firmą z branży rozrywkowej, ściągającą dzięki wspomnianym wyżej gwiazdom miliony fanów oślepionych celebryckim blichtrem. Na podparyskich osiedlach – od lat 70. XX wieku rozwijających się w gruncie rzeczy wraz z nim – klub miał zawsze rzesze wiernych fanów.

Banlieusards, mieszkańcy tychże przedmieść, często migranci lub dzieci migrantów, również szukali jakiegoś zakorzenienia. Wielu z nich zasilało szeregi klubowych ultrasów, z którymi katarscy właściciele po latach napięć nauczyli się jakoś żyć – w przekonaniu, że obecność fanatycznych kibiców na trybunach podnosi dodatkowo widowiskowość spektaklu, jaki sprzedają.

Człowiekiem z *banlieu* był także grający tu przez siedem lat Kylian Mbappé, symbol francuskiej *mixité* – różnorodności. Jego rodzice – matka pochodząca z Algierii, ojciec z Kamerunu – poznali się w podparyskim Bondy, gdzie zaczął trenować. Gdy w 2018 r. stał się objawieniem mundialu w Rosji i gdy swój status futbolowej supergwiazdy potwierdził jeszcze podczas mistrzostw w Katarze, jego związek z PSG urósł do kwestii racji stanu; kiedy w 2022 r. kuszony już przez Real Mbappé wahał się, czy przedłużać kontrakt z paryskim klubem, interweniował prezydent Macron; jeszcze w lutym 2024 r. piłkarz był gościem kolacji w Pałacu Elizejskim, gdzie zasiadał do stołu z gospodarzem i emirem Kataru. W kontekście takich informacji trudno się było dziwić pogłoskom, że PSG godziło się nawet na konsultowanie ze swoim najlepszym napastnikiem polityki transferowej.

Patrz! przy zachodzie, jak z Sekwany łona
Powstają gmachy połamanym składem

Seryjne zwycięstwa w lidze francuskiej, niepowodzenia w Lidze Mistrzów – tak wyglądała rzeczywistość, gdy w lipcu 2023 r. Luis Enrique rozpoczynał pracę w PSG. Z tą wszakże różnicą, że Hiszpan ani myślał wchodzić w politykowanie z emirami i prezydentami. Szedł własną ścieżką, nawet jeśli oznaczało to bezceremonialne pozbywanie się z klubu podstarzałych *galacticos*. Przez rok godził się jeszcze z faktem, że jedynym niewracającym do obrony piłkarzem jest Mbappé, ale później pożegnał się bez żalu także z nim. Jeśli sprowadzał jakichś zawodników, to przede wszystkim młodych, głodnych sukcesu, a jeśli to możliwe, to także mających francuski paszport – takich jak strzelcy bramek w finale z Interem, 20-letni Désire Doué i młodszy o rok Senny Mayulu. Ambitni i niezmanierowani, z otwartymi głowami, uczyli się od niego podstaw gry pozycyjnej z najlepszych lat Barcelony – przede wszystkim jednak musieli ekstremalnie dużo biegać.

Już droga paryżan do finału nie przypominała w niczym stereotypu sytego superklubu: nawet ze świadomością stojących za nimi katarskich inwestycji, trudno było nie podziwiać intensywnego pressingu, wysokich odbiorów piłki, płynnej wymiany podań i pozycji, efektownych dryblingów – ale zwłaszcza ciężkiej pracy środkowych pomocników i szczelnej obrony, od których odbijały się w kolejnych rundach faworyzowane zespoły z Premier League (kiedy graczom Liverpoolu, Aston Villi czy Arsenalu udało się sforsować te zasieki, świetnie bronił bramkarz Donnarumma).

W świecie często skrępowanym taktyczną kalkulacją, w świecie skupionym na ograniczaniu atutów rywala (co w drodze do finału udawało się znakomicie Interowi), nieustraszeni młodzieńcy grający dla Luisa Enrique nie oglądali się na nic i nikogo. Nawet będący do niedawna symbolem nieskuteczności Ousmane Dembélé wypełnił lukę po strzelającym mnóstwo goli Mbappé.

Czy wrócą czasy tych świętych tajemnic
Kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli

W finale akurat Dembélé strzelać nie musiał, ale naciskał na bramkarza i obrońców rywali w zasadzie bez przerwy, wymuszając ich błędy. Festiwal bramek zaczął boczny obrońca Hakimi, po wizjonerskim rozegraniu Vitinhi i kombinacji Fabiana Ruiza z fantastycznym Gruzinem Chwiczą Kwaracchelią – kombinacji, w trakcie której świetna zwykle włoska defensywa przypominała strajkujące paryskie metro.

Kiedy w 20. minucie meczu Doué strzelił kolejną bramkę dla PSG, stało się jasne, że gracze z Mediolanu już się nie podniosą; druga połowa finału przypominała zabawę w kotka i myszkę. Cierpliwe zarządzanie przebiegiem boiskowych wydarzeń przez dziesiątki podań, a kiedy Włosi mieli już dość i próbowali zaatakować większą liczbą zawodników – błyskawiczne szarże w miejsca zostawione za ich plecami... Trudno było nie współczuć pokazanemu przez telewizyjne kamery zapłakanemu kibicowi Interu: dawno nie oglądaliśmy równie jednostronnego starcia na szczycie europejskiego futbolu. Nawet w odbierających graczom Interu resztki ochoty do gry faulach taktycznych piłkarze z Paryża okazali się skuteczniejsi.

Ten jak rodyjski posąg świecznik trzyma
I jedną nogę wsparł na martwych grobie

Ale był w telewizyjnej transmisji z Monachium jeszcze jeden obrazek, przywracający proporcje całej tej opowieści o katarskich pieniądzach, francuskiej polityce i globalnym sportswashingu. Po zakończonym meczu fani PSG rozwinęli na trybunach wielki na kilkanaście metrów transparent, przedstawiający Luisa Enrique wbijającego w boiskową murawę flagę ich drużyny. Trenerowi na tym malowidle towarzyszyła dziewczynka w klubowej koszulce, z imieniem Xana na plecach.

W 2015 r. taka scena wydarzyła się naprawdę, kiedy Luis Enrique świętował z córeczką triumf Barcelony w Lidze Mistrzów. Cztery lata później najmłodsza z trójki rodzeństwa Xana zmarła jednak na rzadki nowotwór kości. Przeżyła dziewięć lat, o których trener opowiada dziś jako o najwspanialszych w życiu. Nie pogrążył się w żałobie: mówi o tysiącach wspomnień, które wciąż rozjaśniają życie jego rodziny; jeszcze przed finałem zapewniał, że córki nie będzie z nim fizycznie, ale będzie duchowo. „Moja mama pochowała wszystkie zdjęcia Xany – opowiadał kiedyś w poświęconym jego drodze do Paryża filmie dokumentalnym – aż w końcu ją o to zapytałem. »Nie mogę, nie jestem w stanie...«. »Mamo, Xana żyje, nawet jeśli nie fizycznie. Codziennie, kiedy o niej mówimy, kiedy patrzymy na te fotografie, nie możemy się nie uśmiechać. Ona wciąż nas widzi, a ja codziennie myślę, jak chciałaby, żebyśmy to życie przeżywali«".

Może wypada zakończyć prostym zdaniem, że tegorocznym zwycięzcą Ligi Mistrzów została najlepsza w tym roku drużyna w Europie, poprowadzona przez najlepszego w tym roku trenera (kibice wiedzą, że tak naprawdę to nie jest proste zdanie, bo w świecie futbolu najlepsi nie zawsze wygrywają). I że jedyna gwiazda, która zaświeciła tego wieczora na monachijskim niebie, miała na imię Xana. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Śródtytuły do tekstu pochodzą z wiersza Juliusza Słowackiego „Paryż".

TOMASZ

Stawiszyński: *Subtelna i wyrafinowana pogarda*

Piszę ten tekst w środę, 28 maja, do drugiej tury wyborów pozostało jeszcze kilka dni. Jest to sytuacja dla cotygodniowego felietonisty tyleż klasyczna, ile niewygodna. Przyszłości, jak wiadomo, nie sposób przewidzieć, chyba że się posiada naraz wyjątkowo przenikliwą intuicję, rozległą wiedzę, umiejętności analityczne oraz – na pierwszym miejscu – mnóstwo szczęścia. Ostrożnie przypuszczam jednak, że prezydenckie wybory może wygrać kandydat, o którym jeszcze do niedawna sądzono, że jest niewybieralny. I którego niesłabnące poparcie – pomimo kaskady sensacyjnych materiałów publikowanych na jego temat zarówno przed pierwszą, jak i przed drugą turą – stało się zagadką, nad którą wciąż głowią się publicyści, socjolodzy, politycy i facebookowi komentatorzy.

Teraz właśnie – kiedy ja piszę, ale być może także kiedy państwo czytają – karierę w mediach społecznościowych robi pewien post. Jego autor w sposób niezwykle malowniczy, z energią i literacką swadą odmalowuje moralną i estetyczną ohydę zarówno popieranego bez względu na wszystko kandydata, jak i zagadkowo wielbiących go rzesz. Parafrazując – mają to być, bez wyjątku, osobnicy sfrustrowani, brzydcy, zapóźnieni intelektualnie, w dzieciństwie bici i poniewierani zarówno w domu, jak i w szkole, miast wyszukanych wędlin jadający siermiężną kiełbasę, a do tego jeszcze – *last but not least* – obdarzeni cuchnącym oddechem. Dominującą emocją, która nawiguje całe ich opłakane życie – spędzane gdzieś na zapleczach, w ostatnich ławkach, kuchniach i przedpokojach salonów, na których brylują ludzie piękni, wpływowi, bogaci i zadowoleni – jest oczywiście resentyment. To z resentymentu, nie inaczej – choćby się nawet wyedukowali, choćby zarobili pieniądze i z pomocą drogocennej perfumy stłumili bijące z siebie odory – dozgonnie nienawidzić będą każdego, kto reprezentuje ten lepszy świat, im na zawsze niedostępny. I dlatego, tylko dlatego, z jakiejś demonicznej hardości, na złość, żeby pognębić tych elegancików i inteligencików, którzy symbolizują nieosiągalne apanaże i honory, głosują nieodmiennie przeciwko nim. Na pohybel, ku pognębieniu, ze złą satysfakcją, grymasem na szpetnej twarzy, aż żrące krople żółci skapują na karty do głosowania.

Nie byłoby w tym wpisie nic godnego uwagi, gdyby nie okoliczność, że, po pierwsze, jego autor jest liczącym się lewicowym intelektualistą, na dodatek zatrudnionym w ważnej instytucji kultury, a po drugie, że grono lubiących, udostępniających i aprobatywnie komentujących w znacznej mierze składa się z osób publicznych, na co dzień wprawionych w tropieniu skrywających się w języku zasobów przemocy i opresji, skłonnych do obrony i demonstracji, kiedy tylko komuś dzieje się w ich przekonaniu krzywda. Po trzecie natomiast – wpis ten jest emblematyczny dla pewnego typu mentalności, odbija się w nim mnóstwo podobnych wypowiedzi rozmaitych intelektualistów, artystów, publicystów i facebookowych komentatorów, w mediach konwencjonalnych, wirtualnych i społecznościowych. Wypowiedzi krążących w polskiej infosferze od lat, regularnie pojawiających się na rozmaitych łamach w tej czy innej wersji, w tej czy innej konfiguracji.

Mimo że nie ma tu zasadniczo niczego nowego, czytając ten elaborat i entuzjastyczne na niego reakcje zachodziłem w głowę, jak to w ogóle jest możliwe. Jak to jest możliwe, żeby nie dostrzegać pogardy i brutalności, która się z niego wprost wylewa? I jak to jest możliwe, żeby tego nie dostrzegać, a jednocześnie występować z pozycji arbitra dobrego smaku, subtelności, moralnej i intelektualnej rafinady, przynależności do kulturalnej elity, nośnika oświecenia, racjonalności i tolerancji? No jak? Może ktoś z państwa zna na to pytanie odpowiedź?

Poza wszystkim, w tej osobliwej nieświadomości – nie całkowitej, na szczęście, pod spodem pojawiło się także kilka głosów przytomnego *votum separatum* – zawiera się (i z niej wynika) również to bezbrzeżne zdziwienie, że ogromna część społeczeństwa może na pewne sprawy patrzeć zupełnie inaczej, niż by się tego od niej oczekiwało. Na to zdziwienie, wzorcowe doświadczenie poznawczego dysonansu, przychodzi oczywiście momentalny środek zaradczy, gwarantowana metoda redukcji: zohydzenie tych, którzy są tego dysonansu źródłem.

W ten sposób, jak to przy każdej podobnej redukcji bywa, umyka jednak pewna istotna prawda. Brzmi ona: jednym z ważnych powodów tych zaskakujących wyborów znacznej części społeczeństwa jest mianowicie właśnie ta opowieść, którą słyszy ona na swój temat od „tamtej strony". Jest to po prostu najlepsza możliwa metoda, żeby odstraszyć każdego, kto się waha – bo to znaczy, że się w zasadzie już kwalifikuje do żałosnej grupy cuchnących, resentymentalnych brzydali – tych zaś, którzy są na przeciwnym biegunie, utwierdzić w przekonaniu, żeby tej afiliacji nigdy, pod żadnym pozorem nie zmieniali.

Abstrahując już od tego, rzecz jasna, że ten, kto żywi tak bezbrzeżną pogardę dla innych, z definicji nie spełnia propagowanych przez siebie kryteriów elegancji, subtelności i rafinady.

©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

TYGODNIK POWSZECHNY

InPost

Kup prenumeratę

Dostawa przez Paczkomat® InPost za darmo

- Dostaniesz gratis naszą firmową torbę
- Dostęp do serwisu online za **1 zł**
- Cena egzemplarza do **2 zł** taniej niż w kiosku
- Łącznie oszczędzasz do **450 zł** rocznie

zamów:

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

BALTIC OPERA FESTIVAL MECENAS GŁÓWNY ORLEN

BALTIC OPERA FESTIVAL

WINTERREISE
10 LIPCA
SCHUBERT

SALOME
11, 13 LIPCA
STRAUSS

GŁOS POTWORA
12 LIPCA
NOWAK

PASJA WG ŚW. ŁUKASZA
PENDERECKI
12 LIPCA

WQLÔ BOSKÔ
15 LIPCA
GODYLA

REKLAMA

MECENAS GŁÓWNY

Organizatorzy Festiwalu

Opera Bałtycka w Gdańsku

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego